# EUCHARYSTIA

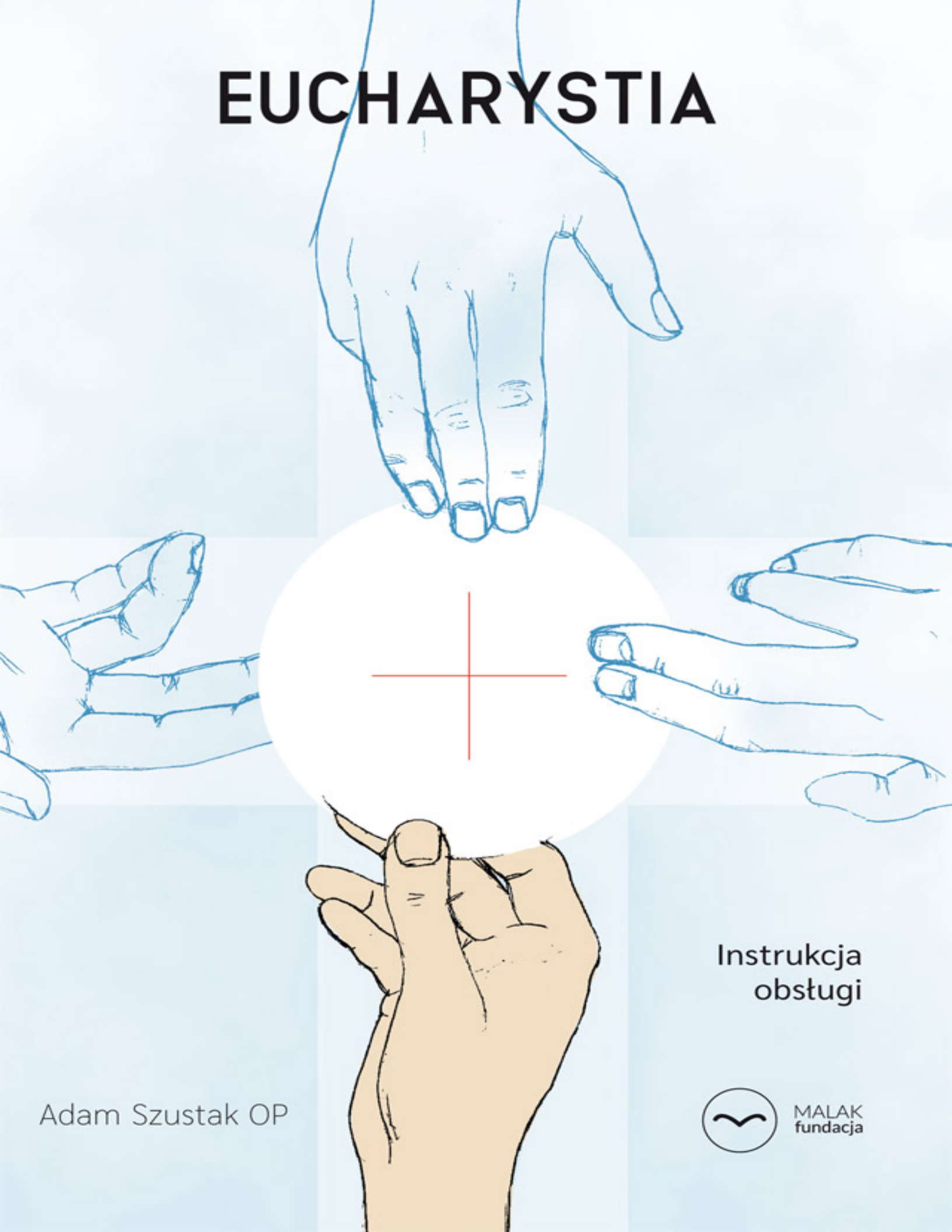

Instrukcja obsługi

Adam Szustak OP

MALAK fundacja

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Adam Szustak OP

# EUCHARYSTIA

Instrukcja obsługi

Fundacja MALAK
Kraków 2019

# WSTĘP

Na początku krótka historia. Gdy byłem jeszcze dość młodym księdzem, niedługo po święceniach, pojechałem z zaprzyjaźnionym małżeństwem na majówkę do ich domku letniskowego położonego nad jeziorem. Bardzo urocze i spokojne miejsce, chatka z dwoma pokojami i kuchnią, duża posiadłość, kawałek jeziora, cisza, spokój, generalnie odpoczynek. Tam codziennie odprawiałem Mszę Świętą na ich zwykłym kuchennym stole. Gdy pierwszy raz sprawowałem Eucharystię, moja znajoma płakała od samego początku aż do końca. Nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi. Ani nie powiedziałem żadnego wzruszającego kazania, ani nie zrobiłem jakiejś specjalnej oprawy liturgicznej, która mogłaby ją poruszyć, po prostu wydarzyła się zwykła Msza. Wystarczyło jednak, że usiedliśmy do stołu, zrobiliśmy znak krzyża, a ona zaczęła płakać i wylewała łzy aż do samego końca Eucharystii. Jej mąż próbował ją jakoś pocieszać, ale też zupełnie nie wiedział, co poradzić i skąd się to wszystko wzięło. Początkowo myślałem, że coś niedobrego dzieje się między nimi, coś sypie się w małżeństwie, więc chwilę odczekałem i szukałem sposobu, by o to zapytać.

Dopiero po dwóch dniach, gdy byliśmy na spacerze i tak się złożyło, że szedłem akurat tylko z nią, sama zaczęła opowiadać o tym, co miało miejsce podczas pierwszej naszej wspólnej Mszy. Powiedziała do mnie: „Ojciec, jak zobaczyłam, że odprawiasz Mszę na tym stole, to świat wywrócił mi się do góry nogami”. Dlaczego? Ponieważ ona na tym samym stole wcześniej bardzo grzeszyła. Gdy mieszkałem w klasztorze

w Poznaniu, przygotowywałem ją do chrztu, który przyjęła, mając trzydzieści dwa lata — wcześniej była zupełnie niewierząca. Opowiadała mi: „Zanim się ochrzciłam, zanim poznałam tego chłopaka, który teraz jest moim mężem, to do tego domku letniskowego jeździłam grzeszyć i ten stół był jednym z miejsc, na których to się działo. Gdy zobaczyłam ten sam stół, który do tej pory kojarzył mi się tylko z moim grzechem, że na nim Bóg przychodzi i staje się żywy, prawdziwy, obecny, to nagle po prostu zrozumiałam, na czym polega zbawienie”.

Właśnie takim miejscem jest każda Eucharystia. Bóg wchodzi w sam środek naszego grzechu, naszego życia, które często jest życiem bez Niego, i mówi: „Jestem. Ja tu rządzę. Ja tu rozdaję łaskę i Ja kocham bez granic”.

O tym pisał już święty Jan Ewangelista w pierwszym rozdziale swojej Ewangelii: *Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas* (J 1, 14a). Wszyscy doskonale znamy ten tekst, ponieważ Kościół zwykle czyta go w oktawie świąt Bożego Narodzenia. Gdyby jednak przyjrzeć się z bliska temu zdaniu, które brzmi nam w uszach niemalże jak hasło, to okazuje się, że tam, gdzie po polsku czytamy *Słowo stało się ciałem,* grecki oryginał mówi: „Słowo stało się mięsem”. Greka, w której został napisany cały Nowy Testament, ma dwa wyrażenia określające ciało. Pierwsze z nich to *soma* z pewnością kojarzące się nam z używanym w języku polskim przymiotnikiem „somatyczny”, czyli „cielesny”. Drugie to słowo *sarks* oznaczające już nie ciało postrzegane całościowo, ale tylko mięśnie lub też mięso. Nie chodzi więc o człowieczeństwo, jak w przypadku słowa *soma*, ale o bardzo fizyczną część człowieka, czyli mięśnie. Święty Jan w prologu swojej Ewangelii używa właśnie tego drugiego określenia — *sarks*.

Co próbuje powiedzieć nam w ten sposób autor czwartej Ewangelii? Święty Jan pokazuje, gdzie zszedł Bóg, decydując się na wcielenie. On doszedł do samego dna. Mało Mu było przyjąć człowieczeństwo, więc

poszedł dalej i sięgnął nawet ludzkich mięśni. Bóg wszedł w każdą komórkę tego świata. Co więcej, Bóg, który jest duchem, o którym święty Jan pisze, że nikt nigdy Go nie widział, przyjmując ludzkie ciało, stał się tak dotykalny jak mięśnie.

W prologu Ewangelii Jana czytamy, że Słowo nie tylko stało się ciałem, ale także zamieszkało między nami. Znów trzeba przyznać, że w oryginale brzmi to nieco inaczej niż w naszym polskim tłumaczeniu. W tym miejscu pojawia się bowiem grecki idiom, który obrazuje rozbijanie namiotu. Dosłownie więc Ewangelia mówi, że Słowo stało się mięsem i rozbiło sobie namiot między nami. Dla każdego Żyda czytającego te słowa było jasne, do jakiego namiotu odwołuje się święty Jan. Izraelici znali do tej pory tylko jeden sposób przebywania Boga wśród nich. Chodziło oczywiście o Arkę Przymierza, która podczas wędrówki narodu wybranego przez pustynię, aż do wybudowania Świątyni Jerozolimskiej mieszkała w namiocie. Wszyscy Żydzi żyli w namiotach, więc był w ich obozie także jeden szczególny, przeznaczony właśnie dla Arki z tablicami Dziesięciu Przykazań. Bóg przebywał między nimi w namiocie. Zatem, gdy Żydzi czytali Janowy prolog, od razu wiedzieli, że Bóg przez wcielenie znów zaczyna być między nimi, bardzo blisko, niemalże na wyciągnięcie ręki.

Za chwilę w tej książce będziemy przyglądać się w szczegółach Eucharystii, będziemy zerkać „pod podszewkę” różnych znaków i gestów. Święty Jan daje nam na tę wspólną wędrówkę po poszczególnych elementach Mszy Świętej dwie wskazówki. Po pierwsze pokazuje, że zbliżając się do Eucharystii, do jej rozumienia i przeżywania, zbliżamy się jednocześnie do samego Boga, bo On jest w niej obecny bardzo namacalnie, jak mięsień lub jak kawałek ludzkiego ciała. Po drugie zaś zwraca uwagę, że Msza niezwykle silnie dotyka naszego życia. W Eucharystii Bóg rozbija namiot pośród nas. A namiot nie jest przecież

budynkiem z solidnymi fundamentami, tylko czymś, co łatwo przenieść. Bóg nie ma uprzywilejowanych miejsc, w których się pojawia i przebywa — On jest tam, gdzie my jesteśmy. Chodzi za nami i rozbija namiot swojej obecności. Eucharystia to więc sakrament, w którym Bóg pokazuje, że nie ma takiego wycinka rzeczywistości, w którym nie można by Go spotkać.

Na tym właśnie polega szaleństwo Boga widoczne w Eucharystii. On się wcielił, a potem jeszcze sam stał się kawałkiem chleba, by wejść ze swoim zbawieniem we wszystkie miejsca naszego upodlenia. Żeby to jednak przyjąć i żeby to Boże szaleństwo zmieniało nasze życie, potrzebna jest wiara. A skoro, jak mówi święty Paweł, wiara rodzi się ze słuchania, to zapraszam Cię, byś teraz trochę posłuchał o Eucharystii, by potem za umysłem, który zgłębi poszczególne elementy Mszy, poszło też serce, które jeszcze szerzej otworzy się na Pana Boga przychodzącego w tym sakramencie.

# CZĘŚĆ PIERWSZA
# **TROCHĘ TEOLOGII**

Zanim przejdziemy do praktycznej części tej książki, zanim wyjaśnię, o co chodzi w poszczególnych elementach Mszy Świętej, opowiem, skąd się one wzięły i dlaczego tak, a nie inaczej dziś je przeżywamy, potem chciałbym krótko podpowiedzieć, z jakim sercem podchodzić do Eucharystii. Warto trochę teologicznie nastroić swoje wnętrze, by tego sakramentu nie traktować czysto praktycznie i intelektualnie. Msza swoją istotą przekracza wszystko to, co materialnie i intelektualnie się na niej dzieje, ponieważ doprowadza nas do samego Boga, którego przecież nie da się objąć umysłem ani zgłębić sercem. Zapraszam więc do zobaczenia tych tropów, które — mam nadzieję — choć trochę pomogą dostrzec w Eucharystii to Boże „coś więcej” i nauczą nas, z jakim sercem podchodzić do tego niezwykłego sakramentu.

> *W pierwszy dzień Przaśników, kiedy ofiarowywano Paschę, zapytali Jezusa Jego uczniowie: «Gdzie chcesz, abyśmy poszli poczynić przygotowania, żebyś mógł spożyć Paschę?». I posłał dwóch spośród swoich uczniów z tym poleceniem: «Idźcie do miasta, a spotka was człowiek, niosący dzban wody. Idźcie za nim i tam, gdzie wejdzie, powiecie gospodarzowi: „Nauczyciel pyta: gdzie jest dla Mnie izba, w której mógłbym spożyć Paschę z moimi uczniami?”. On wskaże wam na górze salę dużą, usłaną i gotową.*

*Tam przygotujecie dla nas». Uczniowie wybrali się i przyszli do miasta, gdzie znaleźli, tak jak im powiedział, i przygotowali Paschę.*

*A gdy jedli, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał i dał im mówiąc: «Bierzcie, to jest Ciało moje». Potem wziął kielich i odmówiwszy dziękczynienie dał im, i pili z niego wszyscy. I rzekł do nich: «To jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana. Zaprawdę, powiadam wam: Odtąd nie będę już pił z owocu winnego krzewu aż do owego dnia, kiedy pić go będę nowy w królestwie Bożym». Po odśpiewaniu hymnu wyszli w stronę Góry Oliwnej.*

(Mk 14, 12-16.22-26)

W tym krótkim fragmencie Ewangelii świętego Marka jest wszystko, czego potrzebujemy, by zobaczyć, czym jest lub raczej może być w naszym życiu Eucharystia. Każde słowo w tym tekście niesie niesamowity przekaz i pewnie lata zajęłoby nam wyjaśnienie każdego z nich. Skupimy się więc tylko na kilku szczegółach, które dla mnie są niesamowicie poruszającymi elementami pokazującymi, jak niewiarygodnie Bóg działa w tym sakramencie.

Otóż święty Marek opowiada, że gdy Pan Jezus wysłał swoich uczniów, żeby przygotowali Mu Paschę do spożycia, powiedział im dokładnie, że mają znaleźć człowieka, który będzie szedł ulicą, niosąc dzban wody. Gdy kogoś takiego spotkają, mają pójść razem z nim, po czym wejść do domu, do którego on wejdzie, i tam poprosić o miejsce na wieczerzę. Gdy to czytam, w mojej głowie od razu rodzi się pytanie: „Po co Jezus dał tak skomplikowaną instrukcję? Czy nie mógł powiedzieć, o jaki dom Mu dokładnie chodzi, tylko kazał szukać człowieka z dzbanem? Po co takie podchody?”. Okazuje się jednak, że w tym człowieku niosącym dzban

wody jest coś niezwykłego. Uczniowie Jezusa to bowiem pobożni Żydzi, doskonale znający historię Izraela, którzy, słysząc o człowieku niosącym dzban z wodą, prawdopodobnie mieli w głowie konkretne skojarzenie.

W Pierwszej Księdze Królewskiej jest opisana historia z życia proroka Eliasza opowiadająca o bardzo trudnym momencie jego życia. Eliasz doszedł do takiego stanu, że chciał umrzeć. Niemalże chwilę wcześniej pokonał czterystu pięćdziesięciu proroków Baala, udowadniając przedtem ludowi, że jego Bóg jest jedynym i wszechmogącym Panem. Może się więc wydawać, że Eliasz jest nie na dnie, ale na szczycie swojej kariery prorockiej. Jednak, jak to się zwykle dzieje w życiu, po czasie sukcesu często przychodzi kryzys. W przypadku Eliasza chodziło o to, że królowa Izebel, wysłała swoje wojska, by ścigały proroka za jego czyny. Eliasz był tak przestraszony działaniami Izebel, że chciał się zabić. Jego strach był tak ogromny, że nie chciał dłużej żyć, więc odszedł na pustynię, gdzie położył się pod jakimś krzewem i czekał na śmierć. Przestał jeść i pić, tylko leżał i wypatrywał śmierci. Po pewnym czasie przyszedł do niego anioł, szturchnął go i położył mu obok głowy dzban z wodą i podpłomyk. Dosłownie po hebrajsku napisano, że anioł kopnął Eliasza i powiedział mu: „Jedz i pij!”. Eliasz posłuchał anioła i posilił się, ale niczego to mu nie dało, więc dalej położył się z pragnieniem śmierci w sercu. W tej sytuacji anioł przyszedł po raz drugi i znów kopnął proroka, a następnie położył obok niego dzban z wodą i podpłomyk, każąc mu jeść i pić. Gdy Eliasz zjadł, wstąpiła w niego taka siła, że wstał i mocą tego pokarmu szedł czterdzieści dni i czterdzieści nocy przez pustynię, aż doszedł do góry Bożej Horeb. Tam zaś spotkał Boga twarzą w twarz. Na Horebie Bóg objawił się Eliaszowi i był z nim tak blisko, że już się bliżej nie da.

Co więc mogli pomyśleć sobie uczniowie, kiedy Pan Jezus kazał im szukać człowieka niosącego dzban z wodą? Z pewnością przypomnieli

sobie Eliasza i pokarm, który go tak wzmocnił, że ruszył do niewiarygodnych rzeczy, a przede wszystkim wszedł w niezwykłą bliskość z Bogiem. Być może Jezus już przez ten nakaz pokazał swoim uczniom, czym będzie dla nich i dla nas Eucharystia, którą po raz pierwszy tej nocy sprawował. Ten podpłomyk i dzban z wodą, które dostał kiedyś Eliasz, to nic innego jak symboliczna zapowiedź Chleba i Wina, czyli Ciała i Krwi Chrystusa.

Może ktoś jednak przekornie powiedzieć, że dzban nie zawierał wina, ale wodę. Tak, to prawda, ale dla Pana Jezusa — jak pamiętamy z Ewangelii świętego Jana — zamienienie wody w wino nie stanowi żadnego problemu. Dla Niego przemienienie wody naszych codziennych trudów w wino nie jest wyzwaniem. Być może, gdy uczniowie widzieli człowieka niosącego dzban wody, rozumieli, że w tym symbolu Bóg komunikuje im, że jeśli w życiu będą niczym Eliasz doświadczać śmiertelnego strachu i trudu ponad siły, to tu, na tej uczcie znajdą lekarstwo i pomoc.

Również dla nas to słowo o człowieku niosącym dzban wody jest obietnicą, że jeśli jest nam ciężko, nie chce się nam żyć, wszystko się wali, a po fali sukcesów następuje niemały kryzys, to czas wziąć podpłomyk i dzban wody, by się nimi nakarmić. To pierwszy sposób przeżywania Eucharystii, który podpowiada nam Ewangelia. Jeżeli bowiem mamy taki moment w życiu, że jest trudno, męcząco, frustrująco i wręcz beznadziejnie, to właśnie w tym miejscu Kościół, czyli oczywiście Pan Bóg, ma dla nas doskonałe lekarstwo, którym jest Eucharystia. Jeżeli będziemy przeżywać ją z wiarą, czyli nie traktować jej jako obrzęd czy spektakularne nabożeństwo, to ona da nam niewiarygodną siłę i otworzy nas na cuda.

Eucharystia jest bardzo niepozorna. Gdy się patrzy na biały opłatek i trochę wina w kielichu, można pomyśleć, że to takie nic, i powiedzieć: „Co zmienia fakt, że to przyjmuję?”. A Eucharystia niewiele zmienia, gdy się w nią nie wierzy. Gdy jednak spożywa się ją nie z przyzwyczajenia, ale z żywą i mocną wiarą, ona potrafi wypełnić każdy brak i każdą pustkę w życiu. Jeżeli czegoś nam bardzo brakuje, jeżeli czujemy jakiś paraliżujący strach lub dojmujący głód, którego nic nie może zaspokoić, jeśli się życiowo „szwendamy” i ciągle jest coś nie tak, to czas zacząć przyjmować Eucharystię z wiarą. Gdy będziemy ją spożywać w taki sposób, da nam ona wszystko, czego potrzebujemy, bo Eucharystia to sam Bóg. On niczego więcej nie ma, bo tam jest cały.

Pierwszym kluczem do Eucharystii jest zatem wiara. O tym zaś, czego jeszcze potrzebujemy do niej dołożyć, by Eucharystia promieniowała mocą na nasze życie, przekonałem się kiedyś, czytając fragment Ewangelii świętego Marka, pozornie opowiadający o czymś zupełnie innym.

> *Wtedy Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i czego nauczali. A On rzekł do nich: «Pójdźcie wy sami osobno na miejsce pustynne i wypocznijcie nieco!». Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu. Odpłynęli więc łodzią na miejsce pustynne, osobno. Lecz widziano ich odpływających. Wielu zauważyło to i zbiegli się tam pieszo ze wszystkich miast, a nawet ich uprzedzili.*
>
> *Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce nie mające pasterza. I zaczął ich nauczać.*
>
> (Mk 6, 30-43)

Ten fragment Ewangelii często pojawia się w Liturgii Słowa w okresie wakacyjnym i przez to nierzadko traktowany jest przez księży jako pretekst do tego, by powiedzieć ludziom, że trzeba odpoczywać. I choć oczywiście odpoczynek to ważna i potrzebna rzecz w życiu każdego człowieka, jak się łatwo domyślić, ta Ewangelia jednak nie jest o tym, a przynajmniej nie tylko o tym. Kiedy uważnie przyjrzymy się temu, co pisze święty Marek, okaże się, że Jezus kazał swoim uczniom pójść na bardzo specyficzne wakacje. Powiedział: „Chłopaki, zbierzcie się i razem pójdźcie na miejsce pustynne”. W naszych uszach brzmi to dziś: „Skrzyknijcie się i jedźcie na Saharę, na jakieś dobrze zorganizowane safari i odpoczynek” — w tamtych czasach takie słowa znaczyły jednak coś zupełnie innego. Pustynia, na którą mieli udać się apostołowie, to miejsce, w którym wtedy realnie można było zginąć. Nie było tam całej turystycznej infrastruktury, którą my znamy z katalogów biur podróży. W czasach Jezusa pustynia to istny *survival*, z którego można nie wrócić. Jezus, mówiąc swoim uczniom, by poszli osobno na miejsce pustynne, proponuje im coś innego niż relaks. Na pustyni żyją zwierzęta, które mogą zabić. Jak podaje Pismo Święte, biegają tam stada zdziczałych osłów, które tratują wszystko, co spotykają na swojej drodze. Są tam śmiercionośne węże i skorpiony. To nie jest idealne miejsce. O co więc chodziło Panu Jezusowi?

W Ewangelii czytamy, że Jezus wysłał swoich uczniów na pustynię, gdyż tak wiele ludzi z najróżniejszych stron świata przychodziło i odchodziło, że nawet nie mieli czasu na posiłek. Jezus popatrzył więc na swoich uczniów pomagających Mu w „ogarnianiu” tych wydarzeń religijnych i pomyślał, że tak dużo robią, że nie mają kiedy się posilić. Czy jednak chodziło tylko o głód fizyczny? Zastanawiając się nad tym, zauważyłem kiedyś, że słowo, którego używa w tym miejscu święty Marek, nie jest określeniem zwykłego posiłku, czyli jedzenia. Ten grecki wyraz,

który stosuje tu ewangelista, oznacza dosłownie „rozsmakowalnik”, czyli pokarm, którym można się rozkoszować. Jezus mówi więc, by uczniowie udali się na posiłek, który będzie wręcz rozkoszną ucztą, który zaspokoi ich najbardziej dotkliwe i najgłębsze głody.

Gdy sprawdziłem, gdzie jeszcze w Piśmie Świętym pojawia się to słowo, okazało się, że stosuje je także święty Łukasz w Dziejach Apostolskich, gdy opisuje pewne wydarzenie z życia świętego Pawła. Otóż pewnego dnia Paweł trafił do miasta o nazwie Troada, gdzie do późnych godzin nocnych głosił Ewangelię w sali położonej na trzecim piętrze domu. Gdy mówił, w oknie siedział młody chłopak, który w pewnym momencie nauczania świętego Pawła usnął i spadł na ziemię. Pewnie wieczór był gorący, jak to zwykle w tamtych szerokościach geograficznych, więc chłopak znalazł okno, by mu było nieco chłodniej. Paweł pewnie trochę przynudzał albo po prostu chłopak był zmęczony i niewyspany, więc się zdrzemnął, na skutek czego spadł i zabił się. Święty Paweł się przestraszył, bo pewnie pomyślał sobie, że zabił człowieka swoim kaznodziejstwem, więc pobiegł szybko na dół, chwilę się nad nim pomodlił, po czym wrócił do sali, a potem połamał chleb i wszyscy zjedli posiłek — i tu właśnie pojawia się to samo słowo, które wcześniej widzieliśmy u świętego Marka. Oczywiście wiadomo, o jaki posiłek chodzi — o Eucharystię. Co się potem stało? Chłopak powstał z martwych.

Zestawiając więc ze sobą te dwa fragmenty Biblii, łatwo można się domyślić, że Jezus, wysyłając uczniów na pustynię, nie mówił o normalnym odpoczynku i o zwykłym posiłku. Gdy wokół nas odbywają się różne religijne wydarzenia i spotkania, ludzie doznają uzdrowień i cudów, a my — choć może nawet słuchamy różnych konferencji i kazań, nie widzimy żadnych zmian — ciągle mamy wewnętrznego „suchara”, czyli czujemy się prawie niewierzący i niedoświadczający namacalnej

bliskości Boga, to właśnie na nas Jezus patrzy, jak kiedyś na swoich uczniów i mówi: „Kurczę, oni nawet nie mają czasu na posiłek, na Ten Posiłek”. On wie, że jest w nas głód, który tylko Jego Pokarm może zaspokoić. Żadne inne doświadczenia religijne, żadne spotkania, modlitwy, słowa i gesty nie mogą równać się z tym jednym — z Eucharystią. Tylko ona może wypełnić najgłębszy głód człowieka. Tylko ona — tak jak opowiada o tym wspomniana historia świętego Pawła i młodzieńca w oknie — jest w stanie ożywić nawet to, co już umarło.

Jego Posiłek nie jest jednak czymś jednorazowym. Nie wystarczy się nim raz nakarmić i wszystko na zawsze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, się zmienia. Ten Pokarm ma taką dziwną właściwość, że potrzeba stałego jego dopływu, nieustannego dostarczania do organizmu, by przyniósł efekty. W tym w sumie przypomina on każde inne jedzenie, bo przecież zmiana diety nie daje widocznych efektów po jednym dniu, ale dopiero regularne jej praktykowanie przynosi pożądane skutki. Eucharystia również potrzebuje pewnej stałości w nas, by mogła przemienić nasze życie.

Wiem z konfesjonału i z różnych rozmów, że dla wielu z nas Eucharystia nie jest codziennością, a nawet nie „cotygodniowością”, raczej jest czymś dalekim. Trzeba powiedzieć szczerze, że właśnie to jest przyczyną naszych wewnętrznych głodów, pustek i niedomagań. Jeżeli więc chcemy przestać żywić się „sucharami”, potrzebujemy zacząć regularnie karmić się tym Posiłkiem — on wymaga zaś długotrwałego przyjmowania, by doprowadzić do zmiany naszego duchowego systemu żywienia. Jeśli do tej pory żywiliśmy się grzechem, słabością, samotnością, beznadzieją, to nasz organizm nauczył się z tego czerpać życie, które jest oczywiście marnym quasi-życiem. Żeby przestawić się na inny sposób odżywiania, czyli na karmienie się miłością, dobrem, nadzieją, optymizmem czy

radością, potrzeba długotrwałego procesu zmiany żywienia. Czasem oczywiście Pan Bóg robi taką akcję, że raz kogoś nakarmi i nagle wszystko w jego życiu jest inne, nowe. Nie wiem jednak, od czego to zależy, bo takie cuda to Jego autonomiczne decyzje. Zwykle jednak potrzeba długotrwałego przyjmowania Eucharystii z wiarą, byśmy zaczęli naprawdę żyć.

W Starym Testamencie, a dokładniej w różnych fragmentach Pięcioksięgu, opisana została historia z dziejów narodu wybranego opowiadająca o tym, jak Bóg karmił Żydów manną podczas ich wędrówki przez pustynię, po tym, jak Izraelici wyszli z niewoli egipskiej, szli przez czterdzieści lat do Ziemi Obiecanej. W tym czasie Bóg nieustannie zsyłał im do jedzenia mannę. Gdy zestawi się teksty z Księgi Wyjścia, Księgi Liczb i Księgi Powtórzonego Prawa opisujące to zjawisko, łatwo zauważyć, że były trzy etapy spożywania manny przez Izraelitów. Na początku, gdy ją jedli, smakowała im jak trawa, papier, czyli po prostu nie miała żadnego smaku. Po spożyciu mieli poczucie sytości, ale czuli się, jakby *de facto* nic nie jedli, bo manna nie miała żadnego smaku. Jednak po pewnym czasie, być może po jakiś dwudziestu latach wędrówki, manna zaczęła w ich ustach smakować jak mleko i miód. Nie była już czymś nijakim, ale wywoływała w nich pewną słodycz, a co za tym idzie także rozkosz. Zaś na sam koniec, czyli prawie po czterdziestu latach jedzenia, tuż przed wejściem do Ziemi Obiecanej, manna każdemu smakowała tak, jak chciał. Czyli jeśli ktoś miał ochotę na marchewkę, to czuł marchewkę, gdy jadł mannę. Jeśli ktoś potrzebował McRoyala, to czuł w ustach McRoyala. Manna nabierała zatem takich właściwości, które najbardziej były potrzebne spożywającemu, które były spełnieniem jego pragnień.

To jest według mnie genialna opowieść o tym, czym jest Eucharystia i co w nas robi, gdy regularnie przyjmujemy ją z wiarą. Ona rzeczywiście, kiedy człowiek zaczyna przygodę z tym sakramentem, często wydaje się

nam jak papier — chodzimy do kościoła, niczego nie rozumiemy, a wszystko wydaje nam się nijakie. Z czasem jednak, jeśli jesteśmy wierni Eucharystii, jeśli wchodzimy w nią z wiarą i miłością, może stać się dla nas niezwykłą słodyczą. Ważne, by nie poprzestać na etapie papieru i nie zniechęcić się tym, że nie widzimy szybkich efektów. Niestety właśnie przez brak wytrwałości i zaangażowania większość ludzi w ogóle nie dochodzi do etapu miodu — do końca życia znają Eucharystię jako papier i myślą, że na niej się nic nie dzieje. Jeśli jednak uzbroimy się w cierpliwość i będziemy ją jedli, jedli i jedli, to pomału zacznie być coraz słodsza, by na końcu stać się w nas tym, czego najbardziej potrzebujemy. Eucharystia w końcu zacznie spełniać nasze największe pragnienia.

Może więc dziś i nam Jezus chce powiedzieć: „Idźcie, odpocznijcie nieco i posilcie się”, jednocześnie zapraszając na ucztę, którą sam wystawia, którą sam przygotowuje i na której cały się nam oddaje. Jezus przecież kiedyś powiedział: „Kto jest strudzony, niech przyjdzie do Mnie, a Ja go pokrzepię” (por. Mt 11, 28). W tych słowach mówi o takim odpoczynku, którym jest właśnie Eucharystia. Po grecku zaś słowo „odpoczynek” pojawiające się w tym fragmencie oznacza dosłownie „ja go odpocznę”, „ja sprawię, że on odetchnie”. Jeśli więc będziemy jeść ten Posiłek, którym jest Eucharystia, nabierzemy sił wewnętrznych, nareszcie odpoczniemy i zaczerpniemy życiowego oddechu. Jeśli ktoś jest duchowym „sucharem”, to mam nadzieję, że może ta książka stanie się dla niego początkiem drogi ku prawdziwemu życiu. Gdy zacznie regularnie jeść ten Pokarm — mimo że na początku nie dostarczy on żadnych atrakcji, będzie się wydawał dość nudny i marny — to z czasem stanie się on dla niego jak słodycz miodu, a potem spełni wszystko, czego tylko potrzebuje.

Czy jednak spożywanie Eucharystii ma nas doprowadzić tylko do tego, by nam było lepiej w życiu? Nie. Ona jest miejscem, gdzie Bóg uczy nas

być takimi jak On, czyli uczy nas kochać. Mamy Go spożywać, żeby urodziła się w nas miłość. Eucharystia — podobnie jak manna — działa z czasem. Może nam się wydawać, że przychodzimy, bierzemy kawałek chleba i odchodzimy, i to niczego nie zmienia w naszych relacjach z ludźmi. Jednak jeśli ktoś próbuje kochać i bardzo chciałby kochać, a nie potrafi mimo różnych starań i prób, to regularnie spożywając Eucharystię z wiarą, po czterdziestu latach będzie potrafił kochać. Najpierw będzie czuł, że jego kochanie ludzi jest jak mielenie trawy, ale z czasem zamieni się ono w słodycz, a potem stanie się prawdziwą miłością, której pragnęliśmy.

Mam ogromną nadzieję, że ta książka stanie się dla kogoś pierwszym krokiem do uczestniczenia w Eucharystii i przyjmowania Komunii z wiarą. Niech ten sakrament, w którym Bóg jest na wyciągnięcie ręki, przemieni nasze życie z papieru i trawy w słodycz i wszelką obfitość. O tym zaś, jak w praktyce wygląda przybliżanie serca do Eucharystii, więcej opowiem w kolejnej części tej książki.

# CZĘŚĆ DRUGA
# **PRAKTYKA**

W drugiej części tej książki prześledzimy krok po kroku poszczególne części Mszy Świętej, przyglądając się ich symbolice, pochodzeniu i znaczeniu, by nauczyć się je świadomie przeżywać i z wiarą w nich uczestniczyć. Nie będzie to więc żadne kompendium wiedzy historycznej o poszczególnych elementach Mszy, ale raczej bardzo praktyczny zbiór podpowiedzi i wskazówek, jak uczestniczyć w Eucharystii, by była żywym spotkaniem z Bogiem. Wszystkie ciekawostki i odwołania historyczne będą zatem służyły jedynie pogłębieniu naszego przeżywania Mszy.

Eucharystia jest źródłem i szczytem wszystkiego, co mamy, więc na to poznawanie jej poszczególnych części trzeba nastroić się miłością. Gdy mamy miłość, to ona wystarczy, by poznać Eucharystię i by pełniej w niej uczestniczyć.

# ROZDZIAŁ 1

## Przygotowanie przed Mszą

Zacznijmy od tego, co powinno wydarzyć się w nas przed rozpoczęciem Eucharystii. Każdorazowe przygotowanie do tego sakramentu jest bardzo ważne, jeśli chcemy go sensownie przeżywać. Oczywiście każdy z nas może mieć różne, własne sposoby przygotowania do Mszy, ale warto mieć świadomość, że istnieją pewne konieczne rzeczy, które muszą się w nas wydarzyć, byśmy mogli w pełni uczestniczyć w Eucharystii.

Najpierw kilka słów o tak zwanym „przygotowaniu dalszym”, przez niektórych też nazywanym „ogólnym”. Bardzo prostą, a jednocześnie najważniejszą rzeczą w przygotowaniu do Mszy jest czyste serce. Aby przyjście Jezusa mogło się w nas wydarzyć, potrzebujemy mieć serce wolne od jakiegokolwiek grzechu ciężkiego. Najlepszym przygotowaniem do Mszy jest więc po prostu spowiedź. Oczywiście, jeśli ktoś żyje w stanie łaski uświęcającej, nie musi przed każdą Eucharystią chodzić do spowiedzi. Jeśli jednak jakiś grzech zastawia nam drogę do przyjęcia Pana Jezusa, warto jak najszybciej się wyspowiadać, by móc w pełni wziąć udział we Mszy Świętej. Nie chcę powiedzieć, że Eucharystia bez przyjęcia Komunii Świętej jest zupełnie nieważna czy nieistotna. Trzeba jednak pamiętać, że cała liturgia tego sakramentu prowadzi nas do zjednoczenia z Panem w Komunii, więc przygotowując się do Mszy, najważniejszym naszym zadaniem jest doprowadzenie serca do stanu gotowości na przyjęcie Boga.

Z tym aspektem przygotowania do Mszy wiąże się bardzo praktyczna wskazówka. Otóż jeśli ktoś potrzebuje skorzystać z Sakramentu Pokuty i Pojednania, ponieważ nie może aktualnie przystąpić do Komunii, bardzo ważne, by nie spowiadał się podczas trwającej Eucharystii. Gdy stoimy pół Mszy w kolejce do konfesjonału, a potem po wyznaniu grzechów szybko biegniemy, by załapać się na Komunię, to *de facto* (nie ma się co oszukiwać) nie uczestniczyliśmy w Eucharystii. Nie chodzi tu przecież o „zaliczenie” dwóch rzeczy naraz. To są dwa osobne sakramenty, więc powinniśmy też oddzielnie w nich uczestniczyć.

Do spowiedzi warto iść przed Mszą Świętą lub — jeśli księża spowiadają tylko podczas Eucharystii i nie ma innej możliwości — po zakończeniu spowiedzi zostać na kolejną Mszę. Można też oczywiście iść w inny dzień lub znaleźć inny kościół w mieście. Nie czas i miejsce na szukanie pokrętnych wyjaśnień, że nie jesteśmy w stanie rozdzielać tych dwóch sakramentów. Żyjemy w kraju, gdzie niemalże o każdej porze dnia mamy bardzo dużą dostępność sakramentów, więc w największym stopniu od nas samych zależy, jak to rozwiążemy. Jeśli w jakimś kościele jest osobna kaplica do spowiedzi, można spowiadać się podczas trwającej Mszy, ale konfesjonały na końcu kościoła, gdzie spowiedź przekrzykuje Mszę, a Msza spowiedź, to według mnie bardzo zła praktyka. Co więcej, kościelne dokumenty również sugerują, by tak nie postępować, gdyż zwyczajnie nie przynosi to pożytku naszej relacji z Bogiem.

Gdy już nasze serca są gotowe na Eucharystię, warto przygotować się do niej w prostych, drobnych czynnościach, które będą ją bezpośrednio poprzedzać. O co konkretnie chodzi? Po pierwsze, jeśli chcemy dobrze przygotować się do Eucharystii, musimy wcześniej spróbować umiejscowić ją w swoim dniu. Msza Święta nie może być traktowana jako jedna z wielu czynności, która wydarzy się, gdy będziemy mieli czas, nic innego nam nie

wypadnie lub nie znajdzie się nic ciekawszego do roboty. Dla nas chrześcijan niedzielna Eucharystia powinna być najważniejszym wydarzeniem tygodnia. Dla każdego, kto kocha Pana Boga i kto chce budować z Nim bliskość, Msza nie może być tylko przykrym przykazaniem kościelnym lub obowiązkiem do spełnienia. Ona powinna być dla nas czymś absolutnie centralnym, najistotniejszym spotkaniem w ciągu tygodnia, a jeśli ktoś chodzi częściej na Mszę (co bardzo polecam) to najważniejszym spotkaniem danego dnia. Nie można traktować Mszy jako rzeczy drugorzędnej, którą się od rana przesuwa, bo na przykład najpierw zaspaliśmy, potem przyszli znajomi, potem był obiad, a na końcu chcieliśmy iść do kina, bo jakiś dobry film wszedł na ekrany, w związku z tym Eucharystia wylądowała gdzieś na końcu, późnym wieczorem, o ile w ogóle się wydarzyła.

Pójście na Mszę Świętą trzeba sobie zaplanować, niemalże wpisać w kalendarz, i pod nią ustawiać cały dzień. Ważne by, jeśli to możliwe, nie wciskać jej między inne spotkania i wydarzenia, ale dać jej przestrzeń i czas w naszym planie dnia. Oczywiście, jeśli tego dnia pracujemy lub mamy zaplanowane inne rzeczy niezależne od nas, to szukamy sposobu, jak ją w tym wszystkim zmieścić. Warto jednak wykształcać w sobie nawyk myślenia o Mszy, nie jako o kolejnym punkcie do odhaczenia, po spacerze czy wyspaniu się, ale jako o czymś absolutnie najważniejszym w danym dniu — najpierw i przede wszystkim Eucharystia. Centralne umiejscowienie Mszy w życiu to bardzo ważna rzecz dla naszego serca, ponieważ w ten sposób uświadamiamy sobie nasze priorytety i wartości.

Kiedy już wyznaczymy czas na Mszę, warto zadbać jeszcze o kilka szczegółów bezpośrednio ją poprzedzających. Pierwszym z nich jest post eucharystyczny. Niestety dziś bardzo często zapomina się o tej tradycji. Kiedyś zaś chrześcijanie mieli zasadę, że w dniu, w którym szli na

Eucharystię, pościli od rana. Jeśli więc na przykład Msza była zaplanowana na wieczór, cały dzień niczego nie jedli, by przyjąć Komunię na czczo. Dziś prawo kościelne podaje, że należy pościć godzinę przed przyjęciem Komunii, czyli przez ten czas zachować wstrzemięźliwość od wszelkich pokarmów i napojów poza wodą oraz lekarstwami. W praktyce oznacza to, że post powinniśmy zachować pół godziny przed Mszą, rzadko się bowiem zdarza, że obrzęd Komunii dzieje się szybciej niż po trzydziestu minutach liturgii niedzielnej.

Uwaga! W poście eucharystycznym nie ma wyjątków, które polegają na tym, że mówimy: „Jestem bardzo głodny i chce mi się pić”. Oczywiście, wodę można pić niemalże do ostatniej chwili, a jeśli głód zagraża naszemu życiu lub zdrowiu, to rzeczywiście w takiej sytuacji możemy coś zjeść. Z postu eucharystycznego wyłączeni są ludzie chorzy. Jeśli jednak chodzi tylko o zwykły głód, to nic nam się nie stanie, jeśli poczekamy półtorej godziny i zjemy posiłek już po zakończeniu Eucharystii.

Dlaczego to takie ważne, by zachować post? Ponieważ post posiada nie tylko wymiar cielesny, ale także duchowy. Przez głód lub nienajedzenie nasze ciało jest puste, a co za tym idzie łaknące, więc i czekające, by Ktoś je wypełnił sobą. Nie warto zatem najadać się przed postem eucharystycznym, bo wtedy uczucie sytości, a nawet przejedzenia, dalej będzie w nas obecne. Dobrze jest przygotować swoją duszę na spotkanie z Bogiem, posługując się także swoim ciałem, by wszystko w nas czekało na Pana Jezusa i pragnęło Go. Post eucharystyczny ma wzbudzić w nas myślenie: „Pragnę, łaknę, chcę Pana Boga, potrzebuję, jestem pusty, potrzebuję, żeby przyszedł i żeby mnie wypełnił”. Co więcej, dobrą praktyką po Mszy (przed którą zachowaliśmy post eucharystyczny) jest udać się na obiad lub kolację, które mogą być przedłużeniem świętowania tego sakramentu.

Kolejną rzeczą, którą warto zrobić przed Mszą, by dobrze przygotować się do jej przeżycia, jest przeczytanie sobie z uwagą i w spokoju czytań z Liturgii Słowa przeznaczonych na dany dzień. Dobrze jednak nie tylko zapoznać się z tym, jaki jest psalm lub o czym opowiada Ewangelia, ale także chwilę pomodlić się tymi tekstami. Niektórzy ludzie praktykują piękny zwyczaj polegający na tym, że codziennie rano, kiedy się budzą, zanim zaczną robić jakiekolwiek inne czynności, czytają słowo z liturgii na dany dzień, by potem z tymi tekstami chodzić aż do wieczora. Gdy więc po całym dniu pracy idą wieczorem jeszcze na Mszę, to wcześniej przeczytane słowo dopełnia się w nich podczas Eucharystii. Taką praktykę warto wcielić w życie szczególnie w odniesieniu do niedzielnych czytań. Zupełnie inaczej przeżywa się Eucharystię, gdy wcześniej rozważaliśmy Słowo Boże podczas osobistej modlitwy. Czasem zdarza się tak, że rozproszymy się podczas Mszy i nie usłyszymy dokładnie Słowa. Gdy zaś nie ma kazania, nie mamy też możliwości, by chwilę się nad nim zatrzymać. W ten sposób Słowo nam umyka, tracimy je, a co za tym idzie, nie żyjemy nim.

Następną sprawą, którą koniecznie trzeba wziąć pod uwagę podczas przygotowania się do Mszy, jest wcześniejsze dotarcie do kościoła. Poza sytuacjami losowymi, kiedy dzieje się coś naprawdę ważnego i pilnego, co powoduje, że wpadamy na Mszę w ostatniej chwili, bo inaczej się nie dało, zasadniczo powinniśmy zawsze przyjść na Eucharystię mniej więcej piętnaście minut wcześniej. Chodzi o to, by nie wpadać na ostatnią chwilę i tym sposobem przez połowę Mszy być myślami jeszcze gdzieś indziej. Pewnie, że jeśli praca lub obowiązki rodzinne nam to uniemożliwiają, Bóg się nie obraża i dalej nas kocha, ciesząc się niezmiernie, że dotarliśmy i chcemy z Nim być, ale dla nas samych i dla dobrego przeżycia tego sakramentu potrzeba zjawić się wcześniej w kościele.

Przychodząc do kościoła, po pierwsze nie omijamy kropielnicy. Gest robienia znaku krzyża wodą święconą to oczywiście nie tylko znak przyporządkowany Mszy — w Kościele praktykuje się go w wielu różnych sytuacjach. Warto jednak nie zapomnieć o nim, gdy przychodzimy do świątyni. Na czym polega ten gest? Ma on podwójne znaczenie. Z jednej strony jest po prostu obmyciem — oczywiście symbolicznym, ponieważ nie myjemy rąk w kropielnicy, tylko delikatnie zanurzamy w wodzie święconej końcówki palców. Gdy w Kościele obowiązywał jeszcze ryt trydencki, kapłani przed każdą Mszą myli ręce, odmawiając specjalną modlitwę, w której prosili Pana Boga, by ich oczyścił. To był dowolny rytuał, ale wielu księży go stosowało. Dokładnie taką samą istotę posiada gest, który wykonujemy przy wejściu do kościoła. Wchodzimy tam ze świata, w którym żyjemy, a który często nie jest święty i czysty, więc tym znakiem prosimy Boga, by nas oczyścił. Wykonując znak krzyża wodą z kropielnicy, warto modlić się w sercu: „Panie Jezu, proszę Cię, abyś teraz w Twoje imię obmył całe moje życie, abyś je oczyścił, bym, wchodząc w Twoją świętą przestrzeń, do miejsca, w którym przebywasz, wszedł też sercem do Twojego Królestwa Niebieskiego”.

Z drugiej strony ten gest ma także inne znaczenie. Nie tylko wyraża nasze pragnienie stanięcia czystymi przed Bogiem, ale jest także przypomnieniem naszego chrztu. Na początku Mszy ma on nam na nowo uświadomić, że żyjemy w sercu Trójcy Świętej, że Bóg wszczepił nas w siebie podczas tego pierwszego w naszym życiu sakramentu, a w Eucharystii chce w nas tę jedność pogłębić i odnowić.

Kolejną rzeczą, którą trzeba się zająć, przychodząc do kościoła, jest wybranie sobie właściwego miejsca. Wiem, że to brzmi głupio, ale wbrew pozorom to dość istotna sprawa. W wyborze miejsca na liturgię powinna przyświecać nam jedna idea — szukam miejsca, które pozwoli mi wziąć

pełny udział w Eucharystii. Czyli nie chodzi o skoncentrowanie się na sobie, a co za tym idzie poszukiwanie miejsca zgodnego z naszym nastrojem czy preferencjami estetycznymi. Jeśli jest mi smutno i chcę pobyć w samotności, to siadam na końcu kościoła lub gdy mi radośnie i lgnę do ludzi, to wybieram pierwsze ławki — nie, nie to jest istotą tej czynności. Eucharystia składa się z widzialnych gestów, znaków i słów. Powinniśmy więc wybierać takie miejsca, by słyszeć i widzieć wszystko, co się na niej dzieje.

Ta zasada oczywiście nie oznacza, że wszyscy mamy „pchać się” do pierwszych ławek. Powinniśmy usiąść w kościele tak, by widzieć i słyszeć. Jasne, że trzeba wziąć poprawkę na sprawy grzecznościowe i gdy wylądujemy w ostatniej ławce, bo ustąpiliśmy miejsca komuś potrzebującemu, wszystko będzie w porządku. Głupotą byłoby zapieranie się rękami i nogami w obronie swojego miejsca, gdy ktoś inny go potrzebuje. Ważne, by po prostu nie stawać specjalnie pod filarem albo pod schodami na chór. We Mszy bierzemy udział cali, także nasze oczy i uszy.

Na koniec zaś najważniejsze. Gdy już dotrzemy wcześniej do kościoła, miniemy kropielnicę i wybierzemy miejsce, to siedząc tam przez piętnaście minut, powinniśmy się zwyczajnie pomodlić. Najpierw dobrze jest podziękować Bogu za to, że możemy być w tym miejscu. Pewnie niewielu z nas dziękuje Mu za to, że żyje w kraju, gdzie wolno sprawować Eucharystię, gdzie jest ona dostępna niemalże o każdej porze, a to przecież jest łaska, o której warto pamiętać i za którą trzeba dziękować, może szczególnie wtedy, gdy z niej korzystamy. Słowo „Eucharystia” oznacza dosłownie „dziękczynienie”, może zatem to dobry pomysł — zacząć ją w swoim sercu od dziękowania, czyli od tego, czym ona tak naprawdę jest — dziękować za to, że na nią dotarliśmy, że znów dostaliśmy łaskę bycia z Bogiem i że On zaraz przyjdzie do nas niewiarygodnie blisko.

Po dziękowaniu koniecznie potrzeba zamilknąć, wyciszyć się, niczego nie mówiąc i z nikim już nie rozmawiać. Nawet jeśli jesteśmy na jakiejś Mszy, na której spotykamy wielu znajomych czy to z duszpasterstwa, czy ze wspólnoty, to choć oczywiście Eucharystia ma także swój wymiar wspólnotowy, czas ją poprzedzający najlepiej spędzić w ciszy i skupieniu. Na ten moment trzeba więc zostawić relacje i różne sprawy życia codziennego, by kilka minut czekać w ciszy. Minimum na dziesięć minut przed rozpoczęciem Mszy powinniśmy „wylądować” ze wszystkimi naszymi sprawami, powinniśmy wszystko zamknąć, po to, by się skupić na Bogu i na tym, czego On za chwilę wobec nas dokona.

Modlitwa przed rozpoczęciem Mszy powinna mieć więc dwa wymiary: dziękczynny i wyciszający, czyli skupiający całkowicie na Bogu. Jeśli to możliwe, warto uciąć wszystkie śpiewy, nawet te, w których uczymy się pieśni na liturgię. Dobrze jest nie czytać już w te ostatnie minuty żadnych komentarzy, tylko siąść w ciszy w obecności Pana Boga i czekać.

# ROZDZIAŁ 2

## Ubiór na Mszy Świętej

### Szaty liturgiczne

Ten rozdział będzie dotyczył sprawy, która może nie jest najistotniejszą kwestią w temacie Eucharystii, ale nad którą według mnie warto się zastanowić, ponieważ jej zrozumienie może nam bardzo pomóc w przeżywaniu liturgii. Chodzi oczywiście o tak zwaną modę księżowską, czyli *de facto* o strój, którego używa się podczas sprawowania Eucharystii. Nie będziemy się więc zajmować sutanną ani strojami duchownych, które są znakami pewnych godności kościelnych, ale skupimy się na ornacie, stule i albie, czyli szatach noszonych przez księży tylko podczas liturgii i sprawowania sakramentów.

**Ornat.** Skąd wzięło się coś takiego? Nazwa tej szaty prawdopodobnie pochodzi od jednego z dwóch łacińskich słów: *ornatus* lub *ornare*. *Ornatus* znaczy po prostu „ozdobiony”, co oznaczało, że strój duchownych był ubraniem czymś przyozdobionym. Początków pochodzenia tej części stroju liturgicznego trzeba upatrywać w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, czyli w czasach Cesarstwa Rzymskiego. Pierwsi chrześcijanie żyli — ubierali się, zachowywali, kultywowali różne tradycje — podobnie jak

Rzymianie, ponieważ to były czasy im współczesne, które miały określone mody i zwyczaje. Codziennym strojem w Cesarstwie Rzymskim były zaś tuniki przepasane paskiem lub sznurkiem, początkowo z krótkim rękawem, potem zaś w wersji z dłuższym i poszerzonym. Na tunikę zakładano pewnego rodzaju płaszcze, długie i grube, które miały chronić przed zimnem. Zwykle wyglądały one jak kapy zapinane z przodu klamerką (stąd wzięła się w ogóle potem kapa liturgiczna czy zakonna), ale też mogły nimi być płaszcze zwane „paenula”, przypominające swoim krojem ponczo, czyli duży kawał materiału z dziurą na środku, który wkładało się przez głowę. Właśnie ta paenula była pierwowzorem współczesnego ornatu.

Myślę, że bardzo ważne jest zobaczenie kontekstu historycznego i kulturowego, z którego wziął się ornat, ponieważ jego pochodzenie pokazuje też istotną prawdę o tym, kim jest kapłan. Wśród pierwszych chrześcijan ci, którzy byli przeznaczeni do służby, czyli diakoni, kapłani, biskupi, nie odróżniali się strojem od reszty wiernych. Nawet podczas sprawowania liturgii nie posiadali oni specjalnego ubioru, bo nosili płaszcze, które wtedy miała większość obecnych na sali. Kapłan był wyróżniony jedynie przez miejsce, na którym siedział podczas Mszy. Poza tym jednym aspektem, czyli miejscem za ołtarzem, nie wyróżniał się niczym. Wyglądał i ubierał się dokładnie tak samo jak reszta wiernych.

Do dziś zachowało się nawet świadectwo papieża Innocentego I, pochodzące z V wieku, w którym ten następca świętego Piotra odnosi się do pojawiającej się wtedy mody księżowskiej. Innocenty I zauważył, że księża zaczęli się tak ubierać, że wyróżniali się strojem od reszty wiernych. Upominał ich, że jako kapłani powinni odróżniać się nie strojem, ale obyczajami, nauką, doktryną i pełnym miłości sposobem mówienia. Jego słowa oczywiście są aktualne także dziś. Wielu ludzi oburza się, że niektórzy zakonnicy czy księża nie chodzą w habitach czy sutannach tak

często, jak powinni. W tym kontekście bardzo potrzebujemy słów Innocentego I, by nigdy nie zapomnieć, że nie o strój tu chodzi, ale o serce. I oczywiście ta zasada nie dotyczy tylko księży, ale wszystkich chrześcijan. Nas powinny wyróżniać przede wszystkim, a może tylko miłość i dobroć, one powinny być znakiem tego, kim jesteśmy, a nie to, jak się ubieramy.

Wracając jednak do historii stroju liturgicznego, trzeba koniecznie powiedzieć, że wszystko zaczęło się zmieniać wraz z nastaniem czasów barbarzyńskich, czyli wtedy, gdy cesarstwo przestało istnieć. Ludy barbarzyńskie przyniosły do Europy nowe sposoby ubierania się, które z czasem przejęła większość społeczeństwa. Kapłani natomiast zostali przy swoich wcześniejszych strojach. Wtedy właśnie pojawił się rozdźwięk między tym, jak wyglądało duchowieństwo, a jak ubierała się reszta społeczeństwa. Ornaty używane dziś przez księży podczas sprawowania Mszy są modyfikacją tych strojów, które zostały ustanowione jako szaty duchowieństwa mniej więcej w X-XII wieku. W tamtym okresie pojawiła się bardzo mocna hierarchia kościelna, co oznaczało w praktyce, że funkcje oraz zależności w Kościele były ściśle nazwane i określone, a do tego wyrażone na zewnątrz odpowiednim strojem. Szaty od tamtego czasu mówiły, kim ktoś jest i jaką rolę pełni w hierarchii kościelnej, a co za tym idzie także w liturgii.

W czasach Soboru Trydenckiego szaty liturgiczne, w tym przede wszystkim ornaty, zmieniły znacznie swój wygląd. Ornat trydencki — wycięty po bokach, wyglądający jak płachta z tyłu szersza, z przodu węższa, z dziurą na głowę — czyli tak zwane trydenckie skrzypce, pojawił się w odpowiedzi na wcześniejsze ornaty, bardzo obszerne i ciężkie. Stare modele ornatów sprzed Trydentu były obficie zdobione, wyszywane drogimi i ciężkimi kamieniami, więc ważyły kilogramy. Gdy księża sprawowali w nich Mszę, czasem mieli trudności z podnoszeniem rąk

podczas przeistoczenia, tak były ciężkie ich stroje. Wycięty po bokach ornat trydencki miał ułatwić odprawianie Eucharystii i umożliwić swobodę ruchów podczas liturgii.

Dzisiejszy wygląd szat liturgicznych jest powrotem do tego, co było przed Soborem Trydenckim. Ornaty współcześnie stosowane w liturgii są odwzorowaniem szat z czasów rzymskich i średniowiecznych, oczywiście bez dokładania mnogich ozdób zwiększających ciężar strojów. Dziś ornaty są lekkie i proste, swym krojem przypominają płaszcze typu paenula. Gdy więc słyszy się czasem w Kościele głosy, że trzeba koniecznie wrócić do „trydenckich skrzypiec", że one były czymś pierwotnym, to warto pamiętać, że przed tym typem ornatu było coś wcześniejszego. W historii Kościoła były takie czasy, że postanowienia Trydentu nazywano czymś nowym i — używając współczesnych pojęć — modernistycznym. Kiedy więc pierwszy ksiądz na świecie założył ornat skrzypcowy (dzisiaj uznawany przez niektórych za tradycyjny i najbardziej prawowierny), prawdopodobnie patrzono na niego i myślano: „Eh, nowinki". Dzisiejsze stroje liturgiczne, choć inne, bo zmienione wielowiekową ewolucją, nawiązują do czasów sprzed Soboru Trydenckiego.

Jeśli chodzi o sam wygląd ornatu, pomijając już omówiony krój, ważne jest, by na każdym ornacie był umieszczony krzyż. Czasem jest on wyszywany z tyłu na całych plecach, czasem z przodu niewielki na piersiach, nie ma to w sumie większego znaczenia, gdzie się znajduje i jaką ma wielkość, najistotniejsze jest to, by w ogóle się pojawił. Krzyż na ornacie jest znakiem krzyża Chrystusa, który kapłan przyjmuje na siebie, gdy przystępuje do sprawowania Mszy. Istotę tego znaku oddaje modlitwa, którą tradycyjnie kapłan odmawia podczas zakładania tej szaty. Nie jest to modlitwa obowiązkowa, ale wielu księży nią się modli. Brzmi ona tak:

*Panie, który powiedziałeś „jarzmo moje jest słodkie, a ciężar lekki”,*
*daj, ażebym mógł je tak dźwigać, żeby zasłużyć na Twoją łaskę.*

Te słowa mają więc przypominać księdzu zakładającemu ornat, że za każdym razem, gdy wkłada te szaty, jednocześnie bierze na siebie także krzyż Jezusa i Jego jarzmo, bierze Jego prawo, Jego miłość, Jego mękę i wszystko, co Jezus zrobił. Włożenie ornatu jest symbolem zgody na to, że kapłan chce to wszystko nosić i tym żyć. Ksiądz, zakładając na siebie to jarzmo, staje się więc kimś, kto niesie krzyż Jezusa — staje się jakby mułem lub osiołkiem, który niesie innym Jezusa.

Samo nakładanie szaty liturgicznej ma bardzo piękną symbolikę. Jak wszyscy wiemy, człowiek po grzechu pierworodnym nagle zobaczył, że jest nagi. Wcześniej nagość nie była wstydliwa ani krępująca. Gdy jednak człowiek zgrzeszył, Bóg postanowił ubrać go w szaty, by go ochronić, by zakryć jego nagość, by zabrać wstyd. Wielu proroków Starego Testamentu opowiada o tym, że Bóg ubiera grzesznika w szatę zbawienia. Podobną sytuację obserwujemy w przypowieści o synu marnotrawnym — powracający syn zostaje ubrany przez swojego ojca w nową szatę. Wkładanie szat przed Liturgią Eucharystyczną symbolizuje więc ubieranie nas grzeszników — których reprezentuje ksiądz — przez Boga w nowe szaty. Kapłan, zakładając ornat, bierze na siebie jarzmo Chrystusa, bo tak jak Jezus pragnie, by grzesznicy zostali ubrani w łaskę.

Kolejnym elementem stroju liturgicznego jest **stuła.** Co ciekawe, stuła jest o wiele ważniejsza od ornatu, ponieważ jest obowiązkowym strojem, który kapłan musi założyć na Mszę. Ksiądz może nie mieć ornatu, ale koniecznie powinien założyć na szyję stułę. Dlaczego? Samo pochodzenie słowa „stuła” do dziś jest dość enigmatyczne, do końca nie wiadomo, skąd się

wzięło. Najstarsze źródła mówią, że prawdopodobnie był to element stroju kobiecego, który Rzymianie przejęli od Greków. W Grecji zaś ta część garderoby była przeznaczona tylko dla kobiet zamężnych i wyglądała jak szata wzbogacona pasami przypominającymi właśnie stułę. Taki strój nosiły tylko mężatki, ponieważ był on znakiem zaślubienia. W związku z tym faktem w Kościele stuła często uznawana jest za symbol zaślubienia kapłana Panu Jezusowi — ksiądz jest poślubiony tylko Jemu.

Inna hipoteza historyczna (bardziej prawdopodobna) dotycząca tego, skąd wzięła się stuła, mówi, że Rzymianie używali czegoś podobnego podczas posiłków. Oczywiście znów jest to element kultury greckiej przejęty przez Rzymian, którzy podczas uczt wieszali sobie na szyi szarfę zwisającą po dwóch stronach, by mogli jej używać do wycierania sobie ust w trakcie posiłku. Pierwotnie więc stuła służyła do wycierania ust i rąk podczas uczt. Chrześcijanie, wiedząc, że Eucharystia jest również ucztą, przejęli ten zwyczaj noszenia stuły, nadając mu jednak inne znaczenie. Stuła nie stanowi oczywiście kawałka materiału do wycierania. W pewnym momencie historii Kościoła nazywano ją *orarium*, co pochodziło od słowa *ora*, „mówić”, więc oznaczało, że ten, kto miał stułę, mógł mówić. Ta symbolika jest aktualna do dziś. Kapłan na Mszy jest przecież tym, który mówi, który sprawuje Eucharystię, przewodzi na niej i prowadzi Słowem lud. Stuła jest zatem wyróżnikiem i symbolem kapłaństwa. Kto ma stułę, ten jest kapłanem, czyli może odprawiać Eucharystię i głosić Słowo.

Przez wieki stuła nabrała również wielu innych symbolicznych znaczeń. I tak na przykład czasem niektórzy księża, szczególnie ci starsi lub biskupi, kultywują zwyczaj krzyżowania stuły na piersiach. Ten gest oznacza zaś nic innego jak krzyż, czyli kolejny symbol przyjęcia na siebie jarzma Jezusa Chrystusa.

Inne znaczenie stuły pokazuje przepiękna modlitwa, która może towarzyszyć jej zakładaniu:

*Zwróć mi, Panie, szatę nieśmiertelności, którą postradałem przez upadek pierwszego naszego rodzica. I acz niegodny, to zbliżam się do Twoich świętych tajemnic. Niech jednak zasłużę na radość wiekuistą.*

Stuła jest więc też znakiem pokory w zbliżaniu się do Bożych tajemnic i świętych obrzędów. O jeszcze innym znaczeniu stuły pisali Ojcowie Kościoła, którzy wyjaśniali, że jej podwójność (czyli te dwa pasy po dwóch stronach) symbolizuje to, że ksiądz ma w życiu przyjmować zarówno to, co dobre oraz błogosławione, jak i niedobre oraz niebłogosławione, szczęście i nieszczęście, czyli wszystko, co mu się w życiu wydarza.

Podsumowując, stuła jest po prostu znakiem posiadania przez kogoś sakramentu święceń prezbiteratu, które uprawniają go do tego, że może sprawować Mszę Świętą. Diakoni też noszą stuły, ale mają je założone na ukos i przewiązane z boku, co jest symbolem tego, że otrzymali już święcenia diakonatu, ale nie są jeszcze księżmi.

Kolejnym elementem stroju liturgicznego oprócz ornatu i stuły jest **alba**, czyli ta biała długa szata, która znajduje się bezpośrednio pod ornatem. Zwykle alba przepasana jest pasem lub sznurem zwanym cingulum. Nazwa *cingulum* pochodzi z języka łacińskiego i oznacza pas wojskowy, taki do służby. Jeśli więc ksiądz przepasuje się *cingulum* (co według przepisów kościelnych nie jest konieczne, ale dobrowolne), symbolicznie oznacza to gotowość do służby Bożej, tak jakby mówił: „Idę jako żołnierz Pana Jezusa. Idę Mu służyć, gdziekolwiek będzie chciał mnie posłać”.

Ciekawym, choć dziś już rzadko używanym, strojem liturgicznym jest tak zwany **humerał**. Jego nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *humerus*, czyli „ramię”. Humerał jest to bowiem prostokątna chusta z dwoma

sznurkami, którą ksiądz zakłada na plecy i ramiona. Humerał według uznania umieszcza się na albie lub pod nią, ponieważ jego funkcją jest zakrycie ubrań, które mogłyby ewentualnie wystawać spod ornatu. Humerał zapewnia też pewną higienę szat, ponieważ zbiera pot, by nie spłynął on na albę lub ornat. W związku z tym jest używany jednorazowo. Obecnie niewielu księży używa tego stroju. Można go jednak czasem zobaczyć szczególnie u starszych kapłanów, którzy wokół szyi mają jakby pozakładane kołnierzyki, czyli *de facto* noszą humerał.

Zanim kilka słów o kolorach szat liturgicznych, czas na małą dygresję, czyli krótki komentarz dotyczący dzisiejszego wyglądu „mody" liturgicznej. Niestety z przykrością trzeba stwierdzić, że stroje liturgiczne w wielu parafiach to straszny „badziew". Często wykonane są z jakiegoś materiału bardzo słabej jakości, a do tego ozdobione kiczowatymi elementami. Przyznam szczerze, że gdy jeżdżę do różnych parafii na rekolekcje, czasem wstydzę się założyć szaty, które mi dają. Nie dlatego oczywiście, że będę w nich głupio lub nieoryginalnie wyglądał, ale ponieważ do najświętszych rzeczy, jakie tylko mamy na świecie, przeznaczono jakiś totalnie słaby i brzydki strój — najtańszy materiał, okropne świecące elementy, zupełnie niepotrzebne, a jednocześnie nachalne symbole patriotyczne. Na ornacie powinien znajdować się krzyż. Na inne rzeczy nie ma tam miejsca. Oczywiście, że jeśli dla ozdoby zostaną tam przyszyte delikatne motywy związane z Duchem Świętym, Trójcą, Maryją czy świętymi, to nic w tym złego. Ornaty powinny jednak być możliwie jak najprostsze, z krzyżem jako najważniejszym ich elementem, a do tego wykonane z dobrego materiału. Mam świadomość, że w sklepach z dewocjonaliami nie ma zbyt wielkiego wyboru w kwestii ładnych i dobrych ornatów, bo kiczu i „badziewia" jest ogrom… W takim wypadku warto szaty liturgiczne po prostu uszyć. Czasem myślę sobie, że gdy Pan Jezus patrzy na te nasze

ornaty, to oczywiście z miłością, ale mówi: „Dziecko, w coś ty się ubrało? Jak ty wyglądasz? Świecisz się po prostu jak choinka”. Jeżeli więc ktoś z nas ma jakikolwiek wpływ na „modę” liturgiczną w swojej parafii, niech koniecznie zadziała w tej kwestii.

Jak pewnie wszyscy doskonale wiemy, szaty liturgiczne w ciągu roku zmieniają swoje kolory. Zarówno ornaty, jak i tak zwane sutanny ministranckie (jeśli w danej parafii coś takiego się jeszcze praktykuje) w zależności od okresu roku liturgicznego oraz od poszczególnych dni świątecznych, pojawiają się w liturgii w różnych kolorach. Spróbujmy zatem po kolei zobaczyć, dlaczego tak jest, kiedy stosuje się poszczególne kolory oraz jakie jest ich znaczenie.

Pierwszym z nich jest zieleń. Kolor zielony przyporządkowany jest do tak zwanego okresu zwykłego, czyli do wszystkich dni w roku, które nie są dniami niezwykłymi — we wszystkie dni powszednie, które nie są Wielkim Postem, Wielkanocą, Bożym Narodzeniem, Adwentem lub innymi świętami, kapłan zakłada na Mszę szaty w kolorze zielonym. Ta barwa zaś ma oznaczać po prostu nadzieję i nasze oczekiwanie wszelkiego dobra z ręki Pana Boga.

Bardzo lubię okres zwykły, ponieważ on jest nijaki w dobry sposób. Pamiętam, że nasz nieżyjący już współbrat ojciec Feliks Bednarski, który pod koniec życia uczestniczył w Eucharystii już tylko w swojej celi, widząc nas wchodzących w zielonych ornatach — bo akurat skończył się jakiś świąteczny czas w liturgii i zaczął się okres zwykły — zawsze mówił: „No wreszcie, jak dobrze, że nie świętujemy Pana Jezusa małego, dużego, cierpiącego ani zmartwychwstałego, tylko nareszcie całego”. Podoba mi się ten sposób patrzenia na zielony, powszedni czas w Kościele. Nie jest to przecież okres mniejszych lub mniej ważnych tajemnic, ale czas, gdy

możemy cieszyć się wszystkimi tajemnicami, czyli wszelkim bogactwem tego, co zrobił dla nas Pan Bóg. To właśnie kryje się za kolorem zielonym.

Kolejną barwą szat liturgicznych jest biel. Koloru białego używa się w okresie Zmartwychwstania Pańskiego, czyli przez sześć tygodni, zaczynając od Wielkanocy, w okresie Bożego Narodzenia, czyli od uroczystości Bożego Narodzenia do Niedzieli Chrztu Pańskiego, a także we wszystkie święta Jezusowe niezwiązane z Jego męką, we wszystkie święta wspominające Maryję i świętych, ale tych, którzy nie byli męczennikami. Generalnie biały to świąteczny kolor. Symbolizuje on niewinność, czystość, zwycięstwo, wszystko, co zostało wyprane z brudu grzechu, co jest po prostu święte. Czasem podczas dużych uroczystości księża wychodzą na Mszę w złotych ornatach albo w białych ze złotymi elementami. Oczywiście nie ma w liturgii koloru złotego. Jego pojawienie się to w rzeczywistości wariant białego liturgicznego, który z racji wysokiej rangi danej uroczystości został podkreślony zdobieniami.

Oprócz zielonego i białego Kościół używa jeszcze koloru czerwonego. Ta barwa szat liturgicznych związana jest z Duchem Świętym i z męczeństwem. Czerwieni używamy więc wtedy, gdy wspominamy świętych, którzy byli męczennikami, ponieważ czerwony oznacza krew przelaną za Chrystusa, a także wtedy, gdy obchodzimy święta związane z Duchem Świętym, na przykład Zesłanie Ducha Świętego. Myślę, że te dwie rzeczywistości — Duch Święty i męczeństwo — ściśle się ze sobą łączą. Nie da się przecież oddać życia za wiarę i w imię Chrystusa, jeśli wcześniej nie przyjdzie do nas prawdziwie Duch Święty i nie dotknie swoją mocą naszego życia. Co ciekawe, także w Wielki Piątek używa się koloru czerwonego, który tego dnia przypomina nam o śmierci Jezusa, czyli oddaniu życia i przelaniu Jego Krwi, byśmy mogli otrzymać nowe życie w Duchu Świętym.

W dwóch okresach w roku w liturgii pojawia się także kolor fioletowy. Chodzi oczywiście o Adwent i Wielki Post. Fiolet symbolizuje pokutę i oczekiwanie. Jest to kolor uniżenia, nawracania się, umartwienia, a jednocześnie też wyczekiwania zmian. Również podczas Mszy wspominających zmarłych stosuje się tę barwę, czyli na przykład w listopadzie, w okolicy Dnia Zadusznego, a także podczas pogrzebów. Wymiennym kolorem pogrzebowym jest czarny, ale używa się go bardzo rzadko — do Mszy prawie w ogóle, częściej zaś w kondukcie pogrzebowym, gdy księża zakładają kapy.

Wśród kolorów szat liturgicznych istnieje jeszcze jeden, bardzo wyjątkowy kolor, który pojawia się tylko dwa razy w roku — w trzecią niedzielę Adwentu oraz w czwartą niedzielę Wielkiego Postu, zwane po kolei „Gaudete” i „Laetare”, kapłan zakłada różowe szaty. Te dwie niedziele to tak zwane niedziele radości, przypadające mniej więcej w połowie tych szczególnych okresów. Kościół lekko rozjaśnia fiolet szat Adwentu i Wielkiego Postu różem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Idziemy i jesteśmy już naprawdę blisko. Trzeba się cieszyć, bo wkrótce dojdziemy do celu”.

Na tym kończą się kolory szat liturgicznych i mam nadzieję, że od dziś, kiedy ktoś zobaczy księdza wychodzącego na Mszę w danym kolorze, nie będzie myślał, że kolor ornatu jest kaprysem. Warto także zapamiętać, że biały kolor w liturgii jest kolorem zastępującym wszystkie inne. W praktyce oznacza to zaś, że gdy odpowiedni kolor szat z jakiś przyczyn nie jest dostępny, zawsze można go zastąpić białymi szatami, bez względu na okres liturgiczny.

# Jak się ubrać do kościoła?

Od kiedy tylko pamiętam, czy to w realu, czy na różnych forach lub stronach katolickich, toczą się zażarte dyskusje na temat tego, jak należy, a jak nie powinno się ubierać do kościoła. Chodzi oczywiście w tym przypadku nie o księży sprawujących Eucharystię, ale o wiernych, którzy w niej uczestniczą.

Przyznam szczerze, że w tych dywagacjach denerwują mnie dwie rzeczy. Pierwsza z nich to podejście do stroju na Mszę, które próbuje powyznaczać sztywne i drobiazgowo określone kanony i granice. Na przykład próbuje określić długość spódnic, szerokość dekoltów, wysokość odkrytego ramienia czy krój ubrania. To jest oczywiście absurdalne i zupełnie niepotrzebne. Z drugiej strony jednak podobnie irytujące jest podejście, które można by streścić w zdaniu: „Cokolwiek włożę na siebie, będzie dobrze, bo przecież idę na spotkanie z Bogiem, a Pan Bóg mnie kocha, więc cokolwiek założę, On mnie będzie kochał”. Oczywiście prawdą jest, że Bóg w każdej sytuacji nas kocha, ale bzdurą i czymś niewłaściwym jest wykorzystywanie takiego argumentu w kwestii ubioru do kościoła. Kiedy ktoś modli się sam, w domu lub gdziekolwiek indziej poza kościołem, może ubierać się, jak chce, ale Eucharystia to coś innego.

Według mnie żadna z tych skrajności nie jest więc dobra, ponieważ wybierając strój na Mszę, trzeba pamiętać o tym, że Eucharystia ma podwójne znaczenie — jest ucztą i ofiarą. Uczta zaś oznacza wyjątkowe spotkanie, a nie naszą prywatną modlitwę w pokoju. Oczywiście nie chodzi o negowanie wartości osobistej modlitwy, ale o zauważenie, że to są dwa rodzaje spotkań.

By lepiej to zrozumieć, możemy porównać to do relacji ludzkich. Modlitwa prywatna jest podobna do zwykłego spotkania z przyjacielem, gdy siadamy z nim gdzieś w kawiarni bądź przy herbacie w domu lub

idziemy razem na spacer. Tam możemy ubierać się dowolnie, jak nam wygodnie i jak nam się żywnie podoba. Natomiast Eucharystia to wyjątkowe spotkanie przypominające przyjęcie urodzinowe przyjaciela, na które nie wypada przyjść w kąpielówkach. Na specjalne okazje obowiązuje specjalny ubiór. Mało tego! Wśród specjalnych okazji są jeszcze bardziej specjalne okazje. Czym innym są na przykład urodziny, a czym innym ślub. Na urodziny można przyjść ubranym porządnie, ale niekoniecznie, czego oczywiście nie można powiedzieć o ślubie, na którym obowiązują szyk i elegancja. Strój powinien być stosowny do okazji — należy o tym pamiętać także, gdy wybieramy się na Eucharystię. Ona jest specjalnym, wyjątkowym wydarzeniem, na które trzeba przygotować się także pod względem ubioru. Stosując ten sposób myślenia o Eucharystii, można łatwo określić, jak powinno się na niej wyglądać. Gdy na przykład idziemy na Mszę w dzień powszedni, ubieramy się porządnie i schludnie, czyli nie w szortach lub w koszulce na ramiączkach. Gdy jednak wybieramy się na niedzielną, a więc uroczystą i wyjątkową, Eucharystię, to wkładamy coś odświętnego — marynarki, krawaty i eleganckie sukienki. Tym bardziej, kiedy wypadają jakieś święta kościelne, typu Wielkanoc czy Boże Narodzenie, wtedy rzeczywiście te dni podskakują do rangi ślubu i trzeba być na nie ubranym absolutnie wyjątkowo i elegancko.

Taki sposób myślenia o Mszy stosujemy od wielu lat na Weekendach Pełnych Łaski. Są to trzydniowe rekolekcje na Górze świętej Anny, na których sprawujemy trzy Eucharystie — w piątek, w sobotę i w niedzielę. Przez pierwsze dwa dni ludzie przychodzą na Msze ubrani dość normalnie, schludnie, ale zwyczajnie. Nie ma tam żadnych klapków Kubota, krótkich spodenek, koszulek na ramiączkach lub prześwitujących bluzek. Natomiast w niedzielę, mimo że są to rekolekcje wyjazdowe, obowiązuje pewna niepisana zasada, że chłopaki zakładają na Eucharystię garnitury, koszule

i krawaty, a dziewczyny najlepsze sukienki. Dla mnie to przepiękna rzecz. Tak powinniśmy działać, ponieważ ubiór w tym wypadku mówi bardzo wiele o naszym podejściu do Tego, z kim się spotykamy.

Miłość jest kluczem do myślenia o ubraniu na Eucharystię, a nie różne argumenty cielesne typu: „Gdy odsłonisz trochę ciała, będziesz nim kogoś kusić”. Najważniejszą kategorią doboru stroju na Mszę jest świadomość, że spotykam się na niej z Kimś, kogo bardzo kocham. Kiedy więc planujemy prywatne spotkania towarzyskie, takie jak modlitwa osobista, możemy ubierać się, jak chcemy. Gdy jednak przychodzimy na specjalną uroczystość, na Eucharystię, która jest ucztą, ale i ofiarą, więc czymś bardzo poważnym, świętym, ponieważ związanym ze wspomnieniem śmierci Jezusa, to nie możemy zakładać czegokolwiek. Nie wybierzemy przecież szortów na pogrzeb, a Msza ma również ten aspekt, ponieważ uobecnia mękę i śmierć Jezusa. Oczywiście wiemy, że zakończyły się one zmartwychwstaniem, zatem czymś niezwykle radosnym i godnym świętowania, ale mimo to dalej są czymś trudnym i poważnym, więc wymagającym szacunku również przez nasz strój. Ani przesadne wymierzanie i ustalanie zasad, ani totalna swoboda w kwestii stroju na Mszy nie są więc dobre, bo kryje się za nimi jakiś faryzeizm. Jedynym kryterium jest miłość.

Co jednak, gdy w kościele zjawimy się przypadkiem? Często spotykam się z pytaniami o to, jak należy się zachować, gdy pewien zbieg okoliczności spowoduje, że będziemy chcieli wybrać się na Mszę lub adorację, ale nie będziemy mieli odpowiedniego stroju. Takie sytuacje dość często się zdarzają. Na przykład w piękny, słoneczny dzień ktoś poszedł ze znajomymi na spacer, wspólnie pili kawę i jedli lody. W związku z tym, że było upalnie wszyscy byli ubrani w krótkie spodenki czy letnie sukienki. Nagle wpadli na pomysł, że pójdą do kościoła, bo podczas rozmowy

wyszło, że ktoś bardzo potrzebuje modlitwy, więc stwierdzili, że od razu zadziałają. To był zwykły dzień, więc nie mieli tego wcześniej zaplanowanego. Czy w takim razie mogą wejść do kościoła, skoro nie mają odpowiedniego stroju? Czy muszą w te pędy lecieć do domu i się przebrać? Oczywiście mogą wejść i nie muszą się przebierać. Jeśli ktoś wie, że w planie ma Mszę, to oczywiście powinien ubrać się właściwie, ale jeśli wejście do kościoła na modlitwę lub Eucharystia nie były zaplanowane, ktoś nie miał możliwości tego przewidzieć, to pewnie, że może tam być i się modlić. W takiej sytuacji zawsze najważniejszym jest pytanie o miłość do Pana Jezusa i o to, jak w danym momencie można Mu ją okazać.

# ROZDZIAŁ 3

## Skąd wzięła się nazwa?

Ten rozdział to mała lekcja słowotwórcza — chciałbym, byśmy zapoznali się nieco z nazwami, których używa się do określania tego sakramentu, a także tym, co znaczą i skąd pochodzą. A zatem po kolei.

Jedno z najczęstszych określeń tego sakramentu to oczywiście **Eucharystia**. Dosłownie ten pochodzący z greki wyraz oznacza „dziękczynienie”. Źródeł tej nazwy można doszukiwać się w żydowskich modlitwach, którymi Jezus posługiwał się podczas wieczerzy będącej pierwszą Mszą w historii świata. Gdy Pan Jezus sprawował w Wieczerniku Eucharystię, oczywiście nie robił tego według dziś obowiązujacych rytuałów, ale modlił się słowami, które w tradycji żydowskiej były przeznaczone na ten dzień, czyli na czas wieczerzy otwierającej święto Paschy. Żydowskie modlitwy paschalne składały się z trzech części, z których jedna była właśnie dziękczynna. Wyrażano w niej Bogu wdzięczność za Jego dzieła, szczególnie za wyprowadzenie z Egiptu. Żydzi więc stawali przed Bogiem w pozycji kogoś, kto sam nie ma niczego, a wszystko otrzymał od Boga. Chrześcijanie przejęli więc słowo „dziękczynienie” jako nazwę liturgii, ponieważ było ono jasnym i bezpośrednim odwołaniem do tego, jak sprawował ją Jezus.

Dziś słowo Eucharystia podpowiada nam, że w tym sakramencie chodzi o to, byśmy dziękowali Bogu za różne rzeczy, które dostajemy.

Przychodząc na Mszę, powinniśmy stawać przed Bogiem w postawie dziękczynienia za wszystkie niesamowite dary i dobra, które wydarzyły się w naszym życiu, a wyszły z Jego ręki. Dziękczynienie to zatem postawa serca, które wie, że nie ma niczego, czego by nie dostało od Boga. Na Eucharystię przychodzimy więc zawsze puści i nadzy, bez względu nawet na to, jaką składamy ofiarę, jakie aktualnie dary przynosimy, ile dajemy pieniędzy na utrzymanie Kościoła, czy też w jaki sposób pomagamy, by ta liturgia mogła się odbyć. Wobec Boga tak naprawdę zawsze stajemy jako żebracy, którzy otrzymują od Niego wszystko, czego im potrzeba, a co za tym idzie, chcą też Bogu za to zwyczajnie podziękować. Nie idziemy tam bowiem po to, by pokazać Bogu nasze dobre uczynki, by udowodnić Mu, że jesteśmy kimś, i by wykazać się w wypełnianiu Jego przykazań. Iście eucharystyczną postawą, jedyną sensowną, jest dziękowanie, czyli stawanie przed Bogiem z modlitwą: „Panie Boże, niczego nie mam, czego nie dostałbym od Ciebie. Moje ręce są zupełnie puste. Daj mi, bo nie mam niczego, a Ty masz wszystko”. Stąd właśnie wzięło się słowo Eucharystia i stąd też powinien brać się nasz sposób przychodzenia do Pana Boga.

Określeniem, którego także często używa się w odniesieniu do Mszy, jest słowo **Ofiara**. Historycznie wynika ono oczywiście z żydowskich tradycji składania ofiar Panu Bogu. Dla nas chrześcijan jednak odnosi się ono przede wszystkim do ofiary życia Pana Jezusa, czyli do tego, co On zrobił na krzyżu. Jezus złożył siebie samego w najdoskonalszej ofierze swojemu Ojcu — oddał swoje życie, czyli w miłości dał Bogu wszystko. Dlatego do dziś jednym z określeń Eucharystii jest Najświętsza Ofiara, ponieważ nie chodzi o jakąś zwykłą ofiarę, ale o tę wyjątkową ofiarę Pana Jezusa.

Czasem mówi się o Eucharystii jako o **Łamaniu Chleba**. To określenie ma swoje biblijne źródło, ponieważ Ewangelia podaje, że właśnie ten

charakterystyczny dla żydowskiego posiłku gest wykonał Pan Jezus podczas pierwszej Mszy. Wziął chleb, połamał go i dawał swoim uczniom, co jasno sugeruje, że ten obrzęd ma także charakter wspólnotowy. Łamanie chleba dzieje się między braćmi, we wspólnocie, jest więc znakiem jedności i miłości.

Bardzo rzadko w codziennym użyciu, ale w teologii dość często, stosuje się natomiast określenie **Święte Zgromadzenie**. Pojawia się ono na przykład we wprowadzeniu do mszału rzymskiego, czyli w tekście, który wyjaśnia, jak należy sprawować Eucharystię. Ten termin zarezerwowany jest zasadniczo dla Liturgii Mszy Świętej, mimo że można powiedzieć potocznie, że istnieją też inne święte zgromadzenia, które mogą być różnymi nabożeństwami lub spotkaniami modlitewnymi, na których zbiera się Kościół, by się modlić. Nazwa Święte Zgromadzenie wzięła się od wyrażenia *sacra synaxis* oznaczającego dosłownie „święte połączenie”, co według mnie jest pięknym wyjaśnieniem, że podczas Mszy zostajemy połączeni czymś świętym — łamaniem chleba, Ciałem i Krwią Jezusa.

Co ciekawe, nasi bracia Koptowie, mówiąc o Eucharystii, używają określenia *hagiasmos*, które oznacza „uświęcenie”, „ofiarowanie”, a które także pokazuje, że podczas sprawowania Mszy całe zgromadzenie wiernych jest uświęcane. Syryjczycy zaś korzystają ze słowa, które na język polski tłumaczy się jako „przybliżenie”, „przystąpienie”. Gdy więc ktoś pyta Syryjczyka, gdzie idzie w niedzielę, ten odpowiada: „Idę na przybliżenie”, bo rzeczywiście Msza jest miejscem realnego zbliżania się do Boga.

Dziś bardzo powszechną i chyba najczęściej stosowaną nazwą tego sakramentu jest oczywiście **Msza Święta**. To określenie jest niemalże na przemian używane z Eucharystią. Ma ono dwa źródła — jedno uznawane za bardziej prawdopodobne, drugie trochę mniej. Pierwsze z nich to słowo *missio*, pochodzące z samej końcówki Mszy. Gdy kapłan pobłogosławi już

wiernych, wypowiada słowa: „Idźcie, jesteście posłani”, co po łacinie brzmi: *Ite missa est*. Właśnie od tego posłania wzięła się nazwa „Msza”, która kryje w sobie myśl, że Eucharystia to sakrament, który nas posyła. Msza Święta to zatem „święte posłanie”.

Niektórzy twierdzą jednak, że być może słowo Msza wzięło się od łacińskiego określenia stołu tudzież ołtarza — *mensa*. Do dziś używa się wyrażenia „mensa” ołtarzowa oznaczającego po prostu stół ołtarzowy, czyli ołtarz. W tym wypadku słowo Msza bardziej kojarzyłoby się ze stołowaniem, z ucztowaniem.

Bardziej prawdopodobną tezą pochodzenia słowa Msza jest oczywiście obrzęd rozesłania. Myślę, że choć określenie Msza Święta nie dotyczy istoty sakramentu, kryje w sobie piękną prawdę o tym, że Eucharystia i to, co się na niej dzieje, musi się przekładać na nasze życie. Nie ma Eucharystii, która jest tylko spotkaniem zamkniętym w ścianach kościoła czy tylko liturgią i obrzędami, które się dzieją w jej obrębie. Msza powinna być czymś, co wychodzi na zewnątrz, co przekłada się na codzienną rzeczywistość, w której żyjemy. Ona wysyła nas do świata i życia z ludźmi. Co więcej, Ojcowie Kościoła, tłumacząc znaczenie tej nazwy, mówią, że niesie ona prawdę o tym, że wszyscy byliśmy w niewoli grzechu, zła i szatana, ale zostaliśmy wypuszczeni na wolność. W tym kluczu Msza to uwalnianie i wyprowadzanie na wolność, Bóg wysyła nas w niej do prawdziwego życia, ona jest w nas drogą do wolności, narzędziem, którym Pan Jezus uruchamia nas do pełni i szczęścia.

Ostatnim, dość popularnym w Kościele określeniem Mszy jest słowo „liturgia” — mówimy: **Liturgia Mszy Świętej**, Liturgia Eucharystyczna, Liturgia Ostatniej Wieczerzy. To słowo wzięło się z greki i pierwotnie w tamtej kulturze używane było w świeckim kontekście. Dosłownie można je przetłumaczyć jako „dzieło ludu” albo „dzieło dla ludu”. Liturgią

nazywano dzieła publiczne wykonywane dla ludu w miastach greckich, na przykład igrzyska lub budowanie akweduktu. Ten, kto organizował lub dawał pieniądze na daną inwestycję, był nazywany „liturgiem”, ponieważ wykonywał jakąś służbę dla ludu. Przekładając to na nasze realia, liturgami są ci, którzy budują drogi, a ich praca może być nazywana z greki liturgią. Oczywiście dziś to słowo pojawia się w naszym słowniku tylko w kontekście religijnym, ponieważ już nawet w Piśmie Świętym zostało oderwane od świeckiego kontekstu, a jego znaczenie zawężone do wszelkich działań wspólnotowych związanych z kultem czy świątynią.

Dla mnie niezwykle istotne są obydwa znaczenia tego słowa. Po pierwsze, uczestnicząc w Eucharystii, musimy mieć świadomość, że to wszystko, co na niej robimy, jest dla dobra wspólnego. Tak Kościół, a raczej Pan Jezus, ustanowił jej kształt i przebieg, by przynosiła korzyść ludziom i by była dziełem całego ludu. Oczywiście wiadomo, że wygląd liturgii na przestrzeni wieków uległ wielu przekształceniom, ale wszystkie zmiany miały służyć wiernym, ponieważ Msza to dzieło ludu i dla ludu — może nawet znacznie ważniejsze jest to „dla ludu”, bo głównym działającym na liturgii jest i tak sam Pan Bóg. Wszelkie więc zmiany, które są dokonywane w obrzędach na przestrzeni wieków czy lat, nie są tak istotne jak to, że Bóg działa na liturgii dla nas. Liturgia, szczególnie zaś Liturgia Mszy Świętej, to domena Bożego działania, gdzie Bóg może dokonać niezwykłych dzieł i dać człowiekowi najwięcej dobra. Ważne, by idąc na liturgię, myśleć o tym, że idziemy na działanie Boga w nas i dla nas.

Tyle w temacie różnych nazw Mszy. Jak widać, słów określających ten sakrament jest mnóstwo — Eucharystia, Msza Święta, Najświętsza Ofiara, liturgia, Łamanie Chleba, *synaxis* i wiele innych. Każde z nich pokazuje jednak jeden z jego aspektów, żadne nie oddaje go w pełni, co jest kolejnym dowodem na to, że Eucharystia kryje w sobie niezwykłe bogactwo.

# OBRZĘDY WSTĘPNE

## ROZDZIAŁ 4

## Procesja wejścia

Pierwszym elementem obrzędów wstępnych Mszy Świętej jest tak zwana procesja. Można by pomyśleć: „Cóż ciekawego w procesji? Przecież ksiądz musi jakoś dojść do ołtarza, a że nikt z nas nie umie się teleportować, to on też po prostu idzie”. Otóż nic bardziej mylnego. Ten początek ma swoje bardzo piękne znaczenie teologiczne.

Samo słowo „procesja” wzięło się od łacińskiego *procedere*, czyli „postępować”. Procesja to więc inaczej przyjście kapłana i całej asysty do ołtarza. Ten element liturgii ma swoje bardzo praktyczne początki. Dawniej zakrystie zwykle były usytuowane przy drzwiach kościoła, dokładniej przy głównym wejściu. Kapłan, żeby dojść do ołtarza, musiał przejść przez całą świątynię, od drzwi do prezbiterium leżącego zupełnie po przeciwnej stronie, stąd więc wziął się ten obrzęd, który ma oczywiście także swoje teologiczne znaczenie.

Kapłan idący do ołtarza jest zwykle otoczony grupą ludzi, czyli asystą. Wśród nich znajdują się ministranci, ale też inni księża lub diakoni — szczególnie jeśli Msza jest bardzo uroczysta. Jeśli więc danego dnia

wypada jakieś święto lub uroczystość i asysta jest rozbudowana, procesja ma ściśle określony porządek. Na samym jej początku idzie kadzidło, następnie świece, a pomiędzy nimi krzyż, dalej zaś asysta liturgiczna, czyli ministranci, lektorzy, akolici, szafarze nadzwyczajni i wszyscy inni, potem niesiony jest ewangeliarz ze Słowem Bożym, a na końcu idzie główny celebrans.

Te wszystkie elementy procesji mają przepiękną symbolikę. Kadzidło niesione na początku oznacza modlitwę. Dla nas uczestniczących we Mszy jest to więc jasny sygnał, że gdy zaczynamy czuć kadzidło lub je chociaż widzimy, zaczynamy się modlić i oddawać chwałę Panu Bogu. Tym uwielbieniem niejako oczyszczamy drogę prowadzącą do spotkania z Nim. Świece wraz z krzyżem, które idą tuż za kadzidłem, mają przypominać i uświadamiać, że wszystko, co się za chwilę wydarzy na naszych oczach, dzieje się dlatego, że Chrystus umarł i zmartwychwstał. On sam nas prowadzi do niezwykłej tajemnicy, która z kolei oświetla wszystko w nas. Następnie w procesji idzie asysta liturgiczna, czyli wszyscy służący do Mszy, a tuż za nimi Słowo Boże — ewangeliarz, który uniesiony do góry jest znakiem tego, że podczas Eucharystii Chrystus będzie nas nauczał, On sam opowie o dziele zbawienia, którego dokonał. Na końcu procesji znajduje się główny celebrans, zwany „ręką Boga”. I choć może to określenie trochę śmiesznie brzmi, jest bardzo prawdziwe, ponieważ podczas Mszy Bóg najpierw działa Słowem, a potem ręką kapłana robi to, co wcześniej powiedział. W procesji, nawet w samym jej układzie, symbolicznie widać już cały scenariusz Eucharystii, czyli to, że za chwilę spotkamy się z Bogiem (dym kadzidła), że będzie to spotkanie w tajemnicy męki i zmartwychwstania Jezusa (krzyż), że to wszystko oświeci nasze życie (świece), a także, że Chrystus najpierw nam to opowie (ewangeliarz), a potem wykona to rękami kapłana.

Celebrans, który idzie do ołtarza, przechodzi przez kościół, mijając wiernych, by na końcu znaleźć się sam przy ołtarzu, czyli najpierw jest między ludźmi, a potem wychodzi spośród nich. To nic innego jak zastosowanie w praktyce słów Listu do Hebrajczyków, mówiących, że kapłan jest z ludu wzięty i ustanowiony po to, by dla niego sprawować święte obrzędy (por. Hbr 5,1). Ksiądz jest takim samym człowiekiem jak wszyscy inni wierni. Tylko na ten jeden moment sprawowania Eucharystii zostaje wzięty z ludu i postawiony na środku po to, by dać zebranym to, co chce ofiarować im sam Pan Bóg. Gdy to jednak zrobi, wraca z powrotem do ludu, idąc w procesji. Myślę, że to bardzo wzruszający symbol ukazujący kapłanowi, że jest tylko jednym z wiernych, którego Pan Bóg na chwilę potrzebuje, by sprawował sakrament, i którego Bóg wybrał, by na ten czas stawał się Jego ręką. W Eucharystii rzeczywiście bardzo jasno jest rozróżniona rola wiernych i kapłana. Nie znaczy to jednak, że my księża jesteśmy lepsi lub stanowimy wyższą klasę, ale że po prostu w tym sakramencie mamy zupełnie inne funkcje i zadania.

Oczywiście procesja wejścia w historii chrześcijaństwa szybko nabrała także duchowego znaczenia. Istnieją dwa teologiczne skojarzenia dotyczące tego momentu Mszy. Pierwsze z nich to odniesienie do wszystkich pielgrzymek biblijnych, a szczególnie do wędrówki Izraelitów z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Podobnie jak naród wybrany wychodził z niewoli, tak my, lud Boży, gromadzimy się na Mszy, by Bóg mógł nas wyzwolić z grzechu i byśmy mogli wyjść z tego wszystkiego, czym byliśmy uciemiężeni, ku wolności. Drugie duchowe znaczenie tego obrzędu kryje się w odwołaniu do nietypowej procesji, którą odbyli Izraelici wokół murów Jerycha. To miasto było ostatnią twierdzą stojącą na drodze narodu wybranego do Ziemi Obiecanej i zostało pokonane w taki sposób, że Izraelici przez siedem dni chodzili wokół Jerycha, po czym jego mury upadły. Co to

znaczy w kontekście Mszy? Rozpoczynamy procesję, czyli rozpoczynamy również walkę duchową — a raczej Jezus ją za nas zaczyna. Na Eucharystii za każdym razem Jezus podejmuje walkę ze złem, by swoją śmiercią i zmartwychwstaniem je zwyciężyć.

Co ciekawe, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa procesja wejścia odbywała się w ciszy. Dopiero mniej więcej od V wieku zaczęto wprowadzać śpiewy. Najpierw były to po prostu psalmy, które śpiewano lub recytowano, podchodząc do ołtarza. Psalmy wyewoluowały w inne pieśni i hymny, które wykonuje się do dziś. Oczywiście i obecnie, gdy nie ma kantora lub człowieka, który może poprowadzić śpiew, kapłan z asystą wchodzą w milczeniu, potem zwykle zaś czyta się tak zwaną antyfonę na wejście, czyli krótki werset psalmu lub inny fragment z Biblii.

Podsumowując, procesja to zaledwie piętnaście sekund, gdy kapłan z ministrantami podchodzą do ołtarza, a już tyle się w niej dzieje — i pielgrzymka do Ziemi Obiecanej, i pokonanie Jerycha, i ustanowienie roli kapłana w zgromadzeniu. Taka jest cała Msza — pełna symboli i ukrytej głębi.

# ROZDZIAŁ 5

## Podchody i pocałunki

Po dojściu celebransa i asysty do ołtarza dzieje się kolejna ważna rzecz. Trawa ona zaledwie kilka sekund, więc zwykle jest niezauważana lub pomijana, mimo że stanowi bardzo ważny obrzęd. Często, gdy pytam ludzi, od czego zaczyna się Msza Święta, słyszę odpowiedź: „Od *W imię Ojca*…” — to jest oczywiście nieprawda. Msza zaczyna się od przywitania z ołtarzem, które kapłan robi w imieniu całego ludu. Składa się ono z trzech elementów: z pokłonu, pocałunku i okadzenia.

Obecnie w większości kościołów tabernakulum jest centralnym miejscem świątyni i zwykle znajduje się ono za ołtarzem. Gdy patrzy się na ołtarz, w tle widać tabernakulum, więc właściwie to ono skupia uwagę patrzącego. Centralnym miejscem podczas Eucharystii jest nie tabernakulum, ale ołtarz. Oczywiście nie chodzi o umniejszanie wagi Najświętszego Sakramentu przechowywanego w tabernakulum, ale podczas Mszy Najświętszy Sakrament jest na ołtarzu i ważne, by o tym nie zapominać.

Tabernakulum pojawiło się w świątyniach, ponieważ zaistniała potrzeba przechowywania Eucharystii dla chorych. Zdarzały się takie sytuacje, że Mszę odprawiano wieczorem, a dopiero następnego dnia można było zanieść Komunię chorym. Stwierdzono więc, że potrzeba miejsca, w którym Najświętszy Sakrament byłby bezpiecznie i godnie przechowany.

Dawniej nie było zatem zwyczaju przechowywania Najświętszego Sakramentu na stałe. Oczywiście to wielkie dobro, że dziś o każdej porze dnia możemy wejść do kościoła i adorować Pana Jezusa ukrytego w tabernakulum, w Kościele od początku panowało jednak silne przekonanie, że cały czas trzeba robić „świeżą" Komunię. Co więcej, z różnych dokumentów kościelnych wynika, że najlepiej, gdy tabernakulum znajduje się gdzieś w bocznej kaplicy lub w bocznym ołtarzu, by podczas Mszy nie było zamieszania, co jest centralnym miejscem sakramentu i przed czym należy klękać lub czemu się kłaniać.

Absolutnym centrum Eucharystii jest więc ołtarz i tylko wokół niego (oczywiście poza momentem Komunii, gdy przynosi się Najświętszy Sakrament z tabernakulum) wszystko powinno się kręcić. Dlaczego? Ponieważ ołtarz symbolizuje Chrystusa. On jest stołem, na którym dokonało się i nieustannie dokonuje się zbawienie, dlatego na samym początku Eucharystii okazuje się mu cześć. **Pokłon** przed ołtarzem rozpoczynający każdą Mszę oznacza postawę serca, które tym gestem mówi: „Właśnie rozpoczynamy dzieło, które nie tylko zamknie się w czasie spędzonym na liturgii, ale także wejdzie do mojego życia, dzieło polegające na tym, że nie będę się kłaniać nikomu i niczemu poza Panem Jezusem". W tym momencie Eucharystii wzbudzamy w sobie pragnienie, by wszystkie bożki, sprawy i różne rzeczy, które odciągają nas od Pana Boga, zostały odłożone na bok, ponieważ Jedynym, któremu chcemy oddawać cześć, któremu chcemy służyć, jest Jezus. Gdy więc kapłan podchodzi do ołtarza i klęka lub się kłania (w zależności od tego, czy za ołtarzem jest tabernakulum czy też nie), cały lud zgromadzony na Eucharystii duchowo powinien zrobić to samo. Wszyscy, patrząc na pokłon oddawany ołtarzowi przez kapłana, powinniśmy w sercu mówić: „Nikomu innemu nie będę się kłaniał, tylko Tobie, Boże".

Po tym pierwszym obrzędzie przywitania ma miejsce cudowna rzecz, czyli **pocałunek**. Kapłan podchodzi do ołtarza, zazwyczaj kładzie na nim dłonie i całuje go. Dawniej przepisy liturgiczne pozwalały także służącemu do Mszy diakonowi całować ołtarz, nie mógł on jednak kłaść na nim rąk, co oznaczało, że kapłan może bardziej zaangażować swoje ciało w liturgię, może wejść w dotyk niedozwolony nikomu innemu.

Czym jest ten pocałunek ołtarza? Skoro ołtarz symbolizuje Chrystusa, to ten niezwykle czuły gest ustawia relację między nami a Bogiem. On pokazuje, że Msza to nie tyle służba lub pobożne działanie (choć to oczywiście prawda), ale przede wszystkim spotkanie z Ukochanym. Pocałunek to jedna z najintymniejszych rzeczy, jakie mogą wydarzyć się między ludźmi. Jeśli więc Kościół zaczyna Eucharystię od pocałunku, który kapłan składa na ołtarzu w imieniu nas wszystkich, to przypomina nam tym, że wchodzimy z Bogiem w ogromną bliskość. Wiem, że praktycznie byłoby to trudne do wykonania, ale myślę, że szczególnie podczas małych zgromadzeń liturgicznych każdy powinien podchodzić do ołtarza i zaczynać Mszę od ucałowania go, by tym gestem powiedzieć: „Panie Jezu, chcę być z Tobą w relacji miłości. Ty jesteś moim oblubieńcem. Wiem, że mnie wybrałeś i że mnie kochasz. Chcę, byśmy budowali przez najbliższe kilkadziesiąt minut niesamowitą relację miłości”. Pocałunek składany na ołtarzu ma więc fundamentalne znaczenie w przeżywaniu Eucharystii i w zrozumieniu tego, kim jesteśmy w tym sakramencie dla Boga, a On dla nas.

Ucałowanie ołtarza ma jeszcze jedno znaczenie. Otóż zwykle na ołtarzu pod obrusem znajdują się relikwie świętych. Umieszczanie ich w tym miejscu w specjalnie wyciętej wnęce to dość dawny zwyczaj, który ma swoje początki w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kiedy to Eucharystie sprawowano w katakumbach, czyli na grobach męczenników.

Gdy kapłan całował ołtarz, całował jednocześnie męczeństwo świętych, czyli oddawał cześć tym, którzy kochali Boga ponad wszystko, którzy tak w Niego wierzyli i tak Mu ufali, że poświęcili swoje życie.

I tu małe dopowiedzenie dotyczące samego ołtarza. Każdy z nas z pewnością zauważył, że ołtarze w kościołach są nakryte obrusami. Oczywiście nie chodzi o to, by było ładnie i czysto, ale ten fakt ma także swoje symboliczne znaczenie. Otóż w tekstach liturgicznych, a także w pismach Ojców Kościoła, znajdziemy wyjaśnienie, że obrus na ołtarzu oznacza całun, w który było zawinięte ciało Pana Jezusa po Jego śmierci. Całun przez trzy dni skrywał ciało Jezusa, a potem stał się jednym ze świadków zmartwychwstania. Pocałunek ołtarza to zatem także ucałowanie tajemnicy śmierci Chrystusa, Jego złożenia do grobu i zmartwychwstania, a co za tym idzie ucałowanie Jego miłości, która doprowadziła Go przez śmierć do tego miejsca, gdzie został zawinięty w całun i martwy leżał w grobie. Kapłan, całując ołtarz, oddaje też cześć męce Chrystusa i Jego ofierze do końca.

Trzecim elementem obrzędu przywitania jest **okadzenie**. Nie jest ono obowiązkowe i zwykle pojawia się tylko podczas uroczystych lub świątecznych Mszy. Okadzenie symbolicznie oznacza po pierwsze modlitwę. W Starym Testamencie można znaleźć wiele fragmentów mówiących o tym, że modlitwa unosi się do Pana Boga niczym dym kadzidła. Wznoszący się dym symbolizuje zatem naszą modlitwę płynącą do Boga. Drugie znaczenie tego obrzędu wiąże się z pewnym mesjańskim proroctwem opowiadającym o tym, że kadzidło będzie dymiło się wokół ofiary zbawienia, której dokona zapowiedziany Mesjasz. Trzecie wyjaśnienie symboliki okadzenia podczas Mszy odwołuje się zaś do fragmentu Drugiego Listu świętego Pawła do Koryntian, w którym apostoł pisze o woni Chrystusa. Ten gest jest więc naszą prośbą: „Panie Jezu, tak

nas przemień na tej Eucharystii, byśmy cali pachnęli Tobą, byśmy po wyjściu z liturgii byli przeniknięci tym, kim jesteś, byśmy byli tacy jak Ty i roznosili Twoją woń wszędzie, dokąd pójdziemy”.

Mamy więc trzy gesty — pokłon, pocałunek i okadzenie — rozpoczynające Eucharystię i jednocześnie niezwykle mocno wprowadzające w tajemnicę tego, co się będzie dalej działo. Warto ich nie pominąć, choć w praktyce są szybkie i czasem zdominowane przez pieśń na wejście. Samo jednak patrzenie na nie może być już naszą modlitwą, naszym duchowym pokłonieniem się Jezusowi, wyznaniem, że tylko On jest Panem, potem przypomnieniem o relacji miłości między nami, a na koniec prośbą o to, byśmy pachnęli w naszym codziennym życiu Jego wonią.

# ROZDZIAŁ 6

## Znak krzyża

Po pokłonie, pocałunku, a czasem także okadzeniu kapłan udaje się na miejsce przewodniczenia. Podczas sprawowania Eucharystii są trzy miejsca, w których dzieją się różne obrzędy — ołtarz, ambona i miejsce przewodniczenia. Niestety często w kościołach są tylko dwa z nich, czyli ołtarz i ambona, więc początek Mszy odbywa się przy jednym z nich. To jednak nie są miejsca do tych obrzędów. Ambona służy do odprawiania Liturgii Słowa, z niej powinno się przemawiać: czytać Słowo, głosić homilię czy mówić modlitwę wiernych. Ołtarz natomiast jest przeznaczony do sprawowania ofiary, czyli do Liturgii Eucharystycznej. W każdej świątyni powinno być jeszcze trzecie, osobne miejsce, zwane miejscem przewodniczenia. Tam właśnie padają pierwsze słowa podczas Mszy, które są niczym innym, jak zrobieniem znaku krzyża.

Kapłan z miejsca przewodniczenia mówi: *W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen* i równolegle oczywiście kreśli znak krzyża na swoim ciele. Gest krzyża świętego oraz przywołanie Trójcy Świętej to dosyć nowa rzecz w Liturgii Mszy. Oczywiście krzyż w chrześcijaństwie jest bardzo starym symbolem — nie najstarszym i nie jedynym, ponieważ na przykład ryba czy pelikan były także dawnymi znakami przynależności do Pana Jezusa, ale za to bardzo powszechnym. Znak krzyża kreślony na całym ciele rozpoczynający Eucharystię pojawił się jednak dosyć niedawno. Wcześniej

w liturgii było wiele tak zwanych małych krzyży, które dziś na przykład robimy przed wysłuchaniem Ewangelii na czole, na ustach i na sercu.

Znak krzyża na początku Eucharystii ma bardzo piękną symbolikę. Przywołanie trzech Osób Trójcy Świętej pokazuje, z kim przyszliśmy się tu spotkać. Tym Kimś zaś nie jest sam Jezus, ale Bóg, który jest w Trzech Osobach. Wypowiadanie poszczególnych imion Osób Trójcy Świętej jest niesamowicie istotne, ponieważ oznacza to, że przychodzimy na spotkanie nie z jakąś bliżej nieokreśloną siłą wyższą, ale z Kimś, kto ma imię oraz niezwykle bogatą, a jednocześnie określoną osobowość. Eucharystia to spotkanie wynikające z wiary w bardzo konkretnego, wręcz namacalnego Boga. To tak, jak spotykamy się na co dzień z ludźmi. Gdy umawiamy się z kimś na kawę, nie przychodzimy do kogokolwiek z danego bloku, ale do przyjaciela, który ma imię i tożsamość. Wymawiając imię Boże na początku Mszy, uświadamiamy sobie, że w tym sakramencie nasza relacja z Bogiem jest czymś konkretnym.

Gest krzyża, którym znaczymy nasze ciało, najpierw czoło, potem piersi, a następnie ramiona od lewego do prawego, nie zawsze tak wyglądał. Do mniej więcej XIII wieku chrześcijanie robili znak krzyża w innej kolejności, mianowicie najpierw dotykali dłonią prawego ramienia, a potem lewego. Dziś taki sposób wykonywania znaku krzyża mają na przykład prawosławni. Pierwotna kolejność dotykania ciała podczas znaku krzyża oznaczała po kolei, że zbawienie przyszło z góry i zeszło na dół, Bóg zstąpił z nieba i przyniósł zbawienie ludziom, co wyrażone było tym, że ręka najpierw dotyka czoła, a potem klatki piersiowej. Następnie przeniesienie dłoni na prawe ramię, a potem lewe, oznaczało, że zbawienie najpierw było dane narodowi wybranemu (którego symbolem było prawe ramię), a potem rozszerzyło się też na pogan (lewe ramię). Te dwa kierunki: góra — dół, prawo — lewo, pokazywały, że człowiek znaczący swoje ciało

krzyżem powinien uświadomić sobie, że jego zbawienie przyszło z góry, przeszło przez naród wybrany i zostało rozdane wszystkim narodom, czyli też jemu.

Jednak od XIII wieku w Kościele zachodnim sposób wykonywania znaku krzyża się zmienił, co miało swoje teologiczne uzasadnienie. Początek, czyli gest góra — dół, nie uległ zmianie, więc i znaczenie zostało to samo. Odwrócenie kolejności kreślenia krzyża na ramionach mówiło zaś, że zbawienie, które przyszło z góry i zstąpiło na ziemię, spowodowało, że jako ludzie przeszliśmy z ciemności, grzechu, słabości, wszelkiej biedy i śmierci do chwały. Krzyż kreślony w zachodni sposób ukazuje przepiękną chrześcijańską perspektywę, która została nam dana w tym, co Jezus uczynił w swojej śmierci i swoim zmartwychwstaniu. O wschodniej tradycji wykonywania znaku krzyża mówi się, że jest to teologia Objawienia Pańskiego, ponieważ eksponuje objawienie się Chrystusa narodom. O zachodnim sposobie robienia znaku krzyża zaś, że jest to teologia paschalna, gdyż niesie prawdę o tym, że Boże zbawienie wydobyło nas z grzechu do życia.

Innym szczegółem, na który koniecznie warto zwrócić uwagę przy okazji omawiania znaku krzyża, jest sposób układania dłoni podczas tego gestu. Dziś zazwyczaj robimy to całą dłonią, czyli pięcioma palcami, co niektórzy interpretują jako symbol pięciu ran Chrystusa. Według mnie jednak jest to trochę naciągana teologia. Dawniej, gdy wykonywano znak krzyża na ciele, robiono to złączonymi ze sobą trzema palcami. Ten układ dłoni od zawsze zaś oznaczał Trójcę Świętą. Chodziło o to, by wymawiając ustami imiona Trójcy Świętej, jednocześnie znaczyć wszystkie części swojego ciała Trójcą Świętą. Myślę, że to piękny sposób modlitwy ciałem, więc zachęcam do tego, by gdy robimy znak krzyża na swoim ciele, wykonywać to trzema palcami, jednocześnie naznaczając siebie Trójcą.

Dlaczego? Ponieważ jedną z podstawowych funkcji znaczenia krzyżem swojego ciała jest egzorcyzm. Znak krzyża to najbardziej podstawowy, najprostszy, a jednocześnie posiadający niezwykłą moc egzorcyzm. Jeśli więc naznaczamy krzyżem i znakiem Trójcy Świętej całe swoje człowieczeństwo, wszystko, co się w nas dzieje, czyli swoją duszę, psychikę, emocje, ciało, to zło jest w nas pokonywane. Dlatego właśnie warto praktykować ten gest, czyli robić go z wiarą w to, że Trójca Święta wyznacza w nas wszystko.

W dzieciństwie pewnie większość z nas uczono, że znak krzyża kończy się złożeniem rąk. Co ciekawe, to znów jest dosyć nowa tradycja, ponieważ wcześniej na końcu znaku krzyża kładło się rękę na sercu. Oznaczało to pragnienie, by wszystko, co wyraziliśmy gestami, by cała rzeczywistość zbawienia opowiedziana przed chwilą ruchem ręki weszła w najskrytszą głębię nas samych. Serce w teologii biblijnej oznaczało od zawsze najgłębszą istotę człowieka, czyli to, co Nowy Testament określa także jako duszę. Położenie ręki na sercu na zakończenie znaku krzyża to więc prośba: „Panie Boże, włóż tę całą rzeczywistość Trójcy i tę prawdę o zbawieniu na samo dno mojego serca”.

Symultanicznie ze złożeniem rąk lub położeniem ręki na sercu wypowiadamy słowo „amen”. Podczas Mszy Świętej pojawia się ono wiele razy. Dosłownie oznacza zaś „Niech się tak stanie”, czyli jest potwierdzeniem, że jest dokładnie tak, jak ktoś mówi. Wspólnie wypowiadane „amen” to tak zwana aklamacja, którą możemy kojarzyć na przykład z posiedzeń parlamentu. Gdy podczas głosowania coś zostało przyjęte przez aklamację, to znaczy, że nie było żadnego naciskania guzików i liczenia głosów, tylko wszyscy jednogłośnie zgodzili się na coś wcześniej zaproponowanego. Podobnie jest z „amen” w liturgii. Wypowiadając to słowo, potwierdzamy, że zgadzamy się z tym, co znak

krzyża obwieścił, że zbawienie przyszło z góry, zeszło na ziemię, objęło wszystkie ludy i wyprowadziło je z niewoli. „Amen” to więc z jednej strony wyznanie wiary w to, że Bóg rzeczywiście dokonał tych rzeczy, a z drugiej także zgoda na to, że chcemy w tej Bożej rzeczywistości wziąć udział.

# ROZDZIAŁ 7

# „Pan z wami”

Po znaku krzyża następuje tak zwane pozdrowienie, które osobiście nazwałbym wzajemnym prawieniem sobie komplementów. W kanonie Mszy świętej mamy wiele różnych formuł, których używa się w tym miejscu w liturgii. Najstarsza z nich i według mnie najpiękniejsza brzmi: *Pan z wami*. Dość często w kościołach słyszy się także: *Miłość Boga Ojca, łaska naszego Pana Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym niech będą z wami wszystkimi*. Poza tymi dwoma w mszale znajdziemy jeszcze dwie lub trzy inne, nieco rzadziej stosowane. *Pan z wami* jest formułą najbardziej biblijną, ponieważ są to słowa, które archanioł Gabriel powiedział do Maryi w chwili Zwiastowania. Nasza odpowiedź *I z duchem twoim* wprowadza zaś w rzeczywistość zgromadzenia eucharystycznego coś zupełnie niezwykłego.

Aby to odkryć, koniecznie trzeba zajrzeć do źródeł tego pozdrowienia, czyli do błogosławieństw znanych ze Starego Testamentu. W kulturze żydowskiej błogosławieństwa polegają na życzeniu komuś dobra połączonego z wiarą, że to życzenie niemalże od razu stanie się rzeczywistością. Na przykład, gdy mówimy komuś „Szczęść Boże”, oznacza to oczywiście, że życzymy mu szczęścia, gdy go zaś pozdrawiamy słowami „Dzień dobry”, to pragniemy dla niego dobra i wszelkiego błogosławieństwa w tym dniu oraz wierzymy, że Pan Bóg w tym kimś

sprawi, że jego dzień będzie dobry i pełen radości. *Pan z wami* jest zatem jednym z najpiękniejszych błogosławieństw, ponieważ w nim kapłan mówi zebranym wiernym (a przecież wiadomo, że każdy jest w różnej odległości od Pana Boga i w innej sytuacji życiowej), że pośród nich, a raczej w każdym z nich jest obecny zmartwychwstały Pan. Słowo „Pan", które jest jednym z elementów tego pozdrowienia, nie jest przypadkowe. Ono odnosi się do roli Chrystusa w zbawieniu, do Jego totalnego i absolutnego zwycięstwa nad grzechem i śmiercią. Pan to ktoś ponad wszystkimi, więc kapłan, mówiąc *Pan z wami*, ogłasza, że Bóg nie tylko jest pośród nas, ale także w nas chce działać z mocą, niszcząc dzieła szatana.

Na słowa *Pan z wami* odpowiadamy: *I z duchem twoim*. Powstaje więc pytanie: dlaczego nie mówimy po prostu „I z tobą"? Dzieje się tak, ponieważ dołożenie tak pozornie niewielkiego szczegółu odsłania inną, niezwykłą rzeczywistość. Nie chodzi tutaj bowiem tylko o powiedzenie: „Księże, z tobą i w tobie też jest Pan Bóg", ale raczej o wyznanie, że w kapłanie jest coś specjalnego, że w jego duszy Pan Bóg umieścił coś wyjątkowego, co pozwala mu stanąć przy ołtarzu i sprawować Eucharystię. Formuła *I z duchem twoim* to tak naprawdę niezwykły komplement względem księdza, który w rozbudowanej wersji mógłby brzmieć: „Wierzymy, że Pan jest z tobą tak jak z każdym z nas, ale masz też w sobie specjalnego ducha, którego Pan Bóg ci dał, byś mógł tę Eucharystię dla nas poprowadzić i przygotować. Bóg cię posyła, byś nam ją dał".

Te dwa wyrażenia pojawiające się na Mszy po znaku krzyża to zatem nic innego jak piękna wymiana komplementów. Myślę, że warto o tym pamiętać podczas Eucharystii, szczególnie zaś w miejscach, gdzie Msza odprawiana jest w niewielkich wspólnotach, gdzie na przykład w jakiejś wiosce od lat jest jeden i ten sam proboszcz, gdzie wszyscy się znają, a co za tym idzie znają wszystkie swoje słabości, czyli ksiądz zna wady swoich

parafian, a oni znają jego. Zaraz oczywiście nastąpi akt pokuty i wszyscy będą przyznawać się do swoich win, ale najpierw Pan Bóg zaprasza nas do tego, byśmy mówili sobie komplementy, byśmy błogosławili sobie nawzajem, ponieważ On rzeczywiście jest pośród nas. Te słowa mogą być także takim wyznaniem, że wierzymy w siebie nawzajem dlatego, że jest z nami Pan. Ludzie, choć znają słabości księdza, wierzą, że ma w sobie ducha Chrystusa, który pozwala mu odprawiać Mszę, a ksiądz, choć zna wady wiernych, wierzy, że Bóg jest pośród nich i w nich.

Na koniec tego rozdziału małe dopowiedzenie. Tuż po pozdrowieniach czasem pojawia się też na Mszy krótkie wprowadzenie. Nie jest ono czymś obligatoryjnym, ponieważ jego zadaniem jest wprowadzenie wiernych w liturgię danego dnia. Jeśli więc wypada jakieś święto lub uroczystość, kapłan w tym miejscu może w kilku słowach opowiedzieć ludziom o tej tajemnicy, która jest wspominana. Jak mówi mszał, wprowadzenie ma być krótkie, czyli nie może być wstępnym kazaniem lub co gorsza niekończącym się witaniem gości. Nie jest to także miejsce na czytanie intencji, choć niestety zwykle właśnie wtedy księża je odczytują. Intencje powinno się wymieniać przed Mszą, zanim w ogóle zacznie się jakakolwiek akcja liturgiczna, lub podczas kolekty, czyli specjalnej modlitwy po akcie pokuty.

# ROZDZIAŁ 8

## Akt pokuty

Akt pokuty to nic innego jak stanięcie w prawdzie wobec naszej słabości i naszych grzechów, które jest nam wszystkim bardzo potrzebne na początku każdej Mszy Świętej. Od strony praktycznej warto zauważyć, że akt pokuty można odprawić podczas Eucharystii na cztery różne sposoby. Trzy z nich są raczej używane w dni powszednie, ostatni zwykle w niedziele, święta lub uroczystości, czyli podczas najważniejszych zebrań wiernych.

Pierwszy akt pokuty to powszechnie znana formuła rozpoczynająca się od słów: *Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry*. Ten akt to jednocześnie wyznanie grzechów i wspólna modlitwa Kościoła. Co ważne, ta formuła pokazuje, że akt pokuty podczas Mszy nie jest tylko osobistym wyznaniem grzechów lub stanięciem w prawdzie wobec własnej słabości, ale czymś wspólnotowym. Wypowiadając te słowa, mówimy: „Przyznaję, że jest ze mną słabo, a jeśli u mnie jest źle, to ma to wpływ na tych, którzy są obok mnie w Kościele. Wiem, że każdy we wspólnocie doświadcza skutków mojej słabości i mojego grzechu”. Pamiętam, że gdy byłem w seminarium diecezjalnym, mówiliśmy zmienioną formułę tego aktu pokuty, czyli „i wam bracia” — bez „siostry”, ponieważ na sali byli tylko mężczyźni. Myślę, że to błąd, ponieważ w tym obrzędzie nie chodzi tylko o stanięcie wobec aktualnie zgromadzonych w świątyni, ale wobec

całej wspólnoty Kościoła, w której są i bracia, i siostry. Wypowiadamy te słowa, prosząc o przebaczenie grzechów i zmiłowanie nie tylko Boga, ale i cały lud Boży. Ten moment Eucharystii uświadamia nam więc, że nasze grzechy nie dotyczą tylko nas, lecz ranią cały Kościół.

Drugim sposobem odprawiania aktu pokuty na Mszy są tak zwane tropy, czyli mówiąc obrazowo, rozbudowane wersje *Kyrie eleison*. Tropy to bowiem trzy wezwania, z których pierwsze i trzecie rozpoczyna apostrofa *Panie Jezu*, a środkowe *Chryste*. Po bezpośrednim zwrocie do Pana Jezusa w tej modlitwie pojawia się krótki opis pokazujący, czym dla nas jest zbawienie, które On przyniósł, jak się ono dokonało lub też jak to się dzieje, że nasze grzechy mogą być odpuszczone. Na koniec każdego z tych wezwań odpowiadamy oczywiście: *Zmiłuj się nad nami*.

Trzecia formuła aktu pokuty jest dość rzadko używana w liturgii. Wzięła się ona z Biblii, a dokładniej z Księgi Ezechiela, i jest po prostu parafrazą słów proroka. Ma formę krótkiego dialogu kapłana z wiernymi: *Zmiłuj się nad nami, Panie*, wierni odpowiadają: *Bo zgrzeszyliśmy przeciw Tobie*, kapłan: *Okaż nam, Panie, miłosierdzie swoje*, reszta: *I daj nam swoje zbawienie*.

Ostatni, czwarty sposób wyznania grzechów podczas Mszy to aspersja, która jest nie tylko modlitwą, ale także pewnym obrzędem. Aspersja dosłownie znaczy „pokropienie” i polega na tym, że kapłan najpierw głośno odmawia modlitwę, a następnie przechodzi z kropidłem i wodą święconą między wiernymi, kropiąc ich. Ten obrzęd jest przypomnieniem chrztu, a także symbolizuje nasze wewnętrzne przyznanie się do słabości i wyznanie, że potrzebujemy zbawienia.

Kiedyś w Kościele używano jeszcze jednej formuły aktu pokuty, która dziś już raczej zaniknęła. U nas w zakonie dominikanów stosujemy ją często podczas wieczornej komplety, a dokładniej w miejscu rachunku

sumienia. Ten akt pokuty ma formę dialogu kapłana z wiernymi. Otóż najpierw kapłan staje przed wiernymi, prosząc o przebaczenie grzechów i wtedy wierni określonymi słowami modlą się za kapłana, a potem wierni stają przed kapłanem, wyznając swoje grzechy, a on modli się za nich. Dziś rzadko stosuje się tę formę obrzędu pokuty, ponieważ wierni nie znają tekstów tej modlitwy. Według mnie warto jednak w mniejszych wspólnotach do tego wrócić, ponieważ taka formuła głęboko ukazuje konieczność nieustannego stawania wobec siebie nawzajem w prawdzie i potrzebę modlitwy wstawienniczej jednych za drugich.

Co jest więc istotą aktu pokuty podczas Mszy Świętej? Nie chodzi przecież tylko o proste przyznanie: „No tak, mam grzechy”. O wiele ważniejsze jest to, że stajemy w prawdzie zarówno o naszych grzechach, jak i o naszym dobru, ponieważ za chwilę razem z Chrystusem chcemy złożyć w ofierze na ołtarzu całe nasze życie. Oczywiście to Pan Jezus jest głównym składającym ofiarę, ale my, próbując do Niego dołączyć, chcemy zebrać wszystko, czym żyjemy. A skoro chcemy oddać wszystko, to posiadając grzechy i słabości, również je powierzamy Panu Bogu. Nasze dobro i piękno to podstawa, ale ofiarowując Bogu całe życie, musimy mieć świadomość, że jest w nim i dobro, i zło, świętość i grzeszność, piękno i brzydota, czystość i nieczystość.

Jak może niektórzy wiedzą, akt pokuty na początku Mszy gładzi wszelkie grzechy powszednie. Do zmazania grzechów ciężkich potrzebna jest oczywiście spowiedź, natomiast grzechy lekkie zmazywane są właśnie podczas tego wyznania. W związku z tym ważne jest, by kapłan, odprawiając ten obrzęd, zostawił chwilę ciszy po tym, jak wezwał wiernych do przeproszenia Boga za swoje grzechy. W tym miejscu nie chodzi rzecz jasna o szczegółowy rachunek sumienia, ale raczej o stanięcie wobec Boga w prostej i szczerej modlitwie: „Tato, jestem słaby, potrzebuję Twojej

pomocy, nie radzę sobie z moimi słabościami, proszę Cię, pomóż mi w nich, proszę, przyjdź do mnie ze swoją łaską i miłosierdziem”.

Co jeszcze ważne, akt pokuty wbrew pozorom nie jest skoncentrowany tylko i wyłącznie na grzechu. Kościół używa w nim starodawnej formuły *Kyrie eleison*, *Chryste eleison*, w której słowo *Kyrie* od zawsze odnosiło się do Chrystusa Zmartwychwstałego. Od początków chrześcijaństwa tym tytułem odnoszono się do Chrystusa, wspominając Jego zmartwychwstanie, czyli Jego zwycięstwo nad grzechem i śmiercią. W akcie pokuty o wiele ważniejsze jest więc nie tyle skonfrontowanie się z naszymi grzechami i słabościami, ale spotkanie ze zmartwychwstałą mocą Pana Jezusa, który może pokonać w nas wszelkie zło. Zatem akt pokuty to moment uwielbienia. Gdy śpiewamy *Kyrie eleison* to oczywiście prosimy, by Bóg zmiłował się nad nami, ale jednocześnie wychwalamy także Jego zwycięstwo nad naszym grzechem. Akt pokuty to zatem trzy rzeczywistości: stanięcie w prawdzie wobec naszej słabości i grzeszności, ofiarowanie Panu Bogu całego swojego życia, ale i uwielbienie mocy zmartwychwstałego Pana, który jedyny może pokonać w nas wszelkie zło.

# ROZDZIAŁ 9

# „Gloria”

Hymn *Chwała na wysokości Bogu* to bez wątpienia jeden z najstarszych tekstów kościelnych. Pochodzi on z III wieku i początkowo był sciśle związany z Bożym Narodzeniem. Powstał jako hymn sławiący narodzenie Chrystusa, z czasem zaś zaczął być śpiewany także w okresie Wielkanocy, a następnie w inne święta. Dziś modlimy się nim w każdy specjalny dzień, czyli w niedziele i wszystkie uroczystości kościelne. Hymn *Chwała na wysokości Bogu* potocznie nazywa się „hymnem anielskim”, ponieważ jego tekst zawiera w sobie słowa, które pojawiają się w Biblii, gdy aniołowie opowiadają pasterzom o narodzinach Jezusa, dosłownie: *Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli* (por. Łk 2, 14). W tej pieśni pochwalnej łączymy się więc z aniołami, którzy wychwalają to, że Chrystus stał się człowiekiem, dzięki czemu także mógł nas zbawić, a co za tym idzie dziś możemy uczestniczyć w Mszy Świętej.

W związku z tym, że hymn *Chwała na wysokości Bogu* jest bardzo starym tekstem, cechuje go nieco inna duchowość niż wszystkie współczesne pieśni liturgiczne. Według mnie jest dość mocno emocjonalny i wylewny, czego dowodem są na przykład liczne powtórzenia czy omówienia. Pojawiają się w nim zwroty: *Chwalimy Cię, błogosławimy Cię, wielbimy Cię, wysławiamy Cię,* co pokazuje, że te słowa mówi osoba, która bardzo kogoś kocha i próbuje na różne sposoby opowiedzieć swoją miłość,

ale ciągle brakuje jej słów, więc się powtarza. Nie jest to zatem modlitwa, która ma ściśle określoną strukturę, nie napisano jej przy biurku z linijką w ręku. Hymn *Chwała na wysokości Bogu* to pieśń uczucia wylewającego się z serca człowieka. Właśnie takimi słowami, czyli powtórzeniami wynikającymi z braku słów, chcemy opowiedzieć Bogu o naszej miłości do Niego.

Warto zobaczyć też powody chwalenia Boga wymieniane w tym hymnie. Gdyby mu się dobrze przyjrzeć, okazuje się, że uwielbiamy Boga nie dlatego, że coś zrobił, że nas zbawił i wyzwolił, ale dlatego, że po prostu jest Bogiem. To zaś jest najpiękniejszy sposób modlitwy, jaki w ogóle istnieje. Nie koncentrujemy się w nim na sobie i na tym, czego my chcemy i czego potrzebujemy, ale ponad wszystko stawiamy to, kim jest Bóg. Dlatego podczas Mszy, gdy śpiewamy lub recytujemy ten hymn, koniecznie trzeba włożyć w niego całe swoje serce i wszytko, co w sobie mamy. *Chwała na wysokości Bogu* to na Eucharystii moment totalnego wylania swojego rozkochanego w Bogu serca.

# ROZDZIAŁ 10

# Kolekta

Ostatnim elementem obrzędów wstępnych jest kolekta, czyli modlitwa, która następuje po akcie pokuty i po hymnie *Chwała na wysokości Bogu*, mająca na celu poprowadzenie uczestników Eucharystii do Liturgii Słowa. Nazwa tej modlitwy pochodzi z łaciny i dosłownie oznacza „zbieranie”.

Kolekta ma ściśle określoną strukturę, ponieważ składa się zawsze z czterech części zwanych po kolei anaklezą, anamnezą, epiklezą i doksologią. Te elementy zawsze występują w kolekcie, a do tego ich kolejność się nigdy nie zmienia. Po słowach *Módlmy się* na początku pojawia się **anakleza** (czyli wezwanie), która jest pewnym zawołaniem do Pana Boga, na przykład: *Boże*, *Ojcze wszechmogący*. Po niej następuje **anamneza**, której nazwa pochodzi od czasownika oznaczającego przypominanie lub wspominanie. Jest to część kolekty mówiąca o tym, co Pan Bóg zrobił w tajemnicy, którą świętujemy danego dnia, lub przypominająca Mu jakieś Jego działanie, do którego się odnosimy. Potem następuje **epikleza**, która jest prośbą związaną z wcześniej wspomnianym działaniem Bożym. Skoro najpierw zawołaliśmy Boga, potem pokazaliśmy Mu, co zrobił, to teraz w związku z tym prosimy Go, by udzielił nam jakiejś określonej łaski. Wszystko zaś kończy się tak zwaną **doksologią**, czyli uwielbieniem Boga w całej Trójcy Świętej. W praktyce może to wyglądać na przykład tak:

*Boże*, **(anakleza)**

*Ty przy chwalebnym Przemienieniu Twojego Jedynego Syna potwierdziłeś tajemnice wiary świadectwem Ojców i ukazałeś chwałę, jaka czeka Twoje przybrane dzieci*, **(anamneza)**

*spraw, abyśmy posłuszni głosowi Twojego umiłowanego Syna, * stali się Jego współdziedzicami.* **(epikleza)**

*Przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, Twojego Syna, † który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha Świętego, * Bóg, przez wszystkie wieki wieków. Amen.* **(doksologia)**

Każda kolekta, czy to świąteczna, czy z dnia powszedniego, ma więc taką samą strukturę. Zawsze jest najpierw zawołaniem do Boga, potem przypomnieniem Mu Jego dzieł, a następnie prośbą i uwielbieniem całej Trójcy w Jej działaniu.

Kolektę powinna poprzedzić dłuższa cisza. Po słowach kapłana *Módlmy się* wierni powinni mieć czas na zebranie w myślach wszystkiego, z czym przyszli na Eucharystię. Niestety często brakuje tego momentu milczenia, a szkoda, bo jest to czas, by każdy z nas pokazał Bogu swoje serce i to wszystko w nim, za co chce Mu podziękować oraz o co poprosić. Ta modlitwa kończąca obrzędy wstępne nie bez przyczyny nazywa się kolektą, ponieważ właśnie w niej, po krótkim milczeniu, kapłan zbiera wszystkie intencje i sprawy, z którymi wszyscy przyszliśmy, by razem zanieść je do Pana Boga. Czas przed kolektą to zatem dobry moment, by przeczytać intencję, w jakiej sprawowana jest dana Msza, ponieważ wtedy każdy wierny robi to samo w sercu — składa Bogu swoje prośby.

Podczas kolekty kapłan po raz pierwszy na Eucharystii podnosi ręce i modli się także gestem. Te wzniesione ręce to tak zwany gest oranta, który w liturgii Kościoła pojawia się od samego początku. Znamy go już ze

Starego Testamentu, a posiada on w teologii podwójne znaczenie. Po pierwsze, ten starożytny gest jest przypomnieniem krzyża. Gdy kapłan rozkłada ręce, to uświadamia sobie i nam, że wszystko, co mamy i o co prosimy, zawdzięczamy Chrystusowi, Jego męce, śmierci i zmartwychwstaniu. Jednocześnie jednak gest oranta to także gest otwartych i pustych rąk, gest człowieka, który staje przed Bogiem i prosi: „Ojcze, daj nam, pomóż”. Kolekta to zatem taki moment Mszy, gdy Kościół zbiera wszystkie intencje, a kapłan bierze je w ręce i przedstawia Ojcu, mówiąc: „Tato, niczego nie mamy, jesteśmy puści, potrzebujemy Twojej pomocy i łaski”.

Kolejną częścią Mszy Świętej jest Liturgia Słowa Bożego. Składa się ona z czytań, homilii lub kazania, wyznania wiary i modlitwy wiernych.

# LITURGIA SŁOWA

## ROZDZIAŁ 11

## Czytania

Liturgia Słowa, choć jest jedną z najstarszych części Mszy, o wiele starszą od obrzędów wstępnych, których kiedyś w ogóle nie było, nie jest wymysłem chrześcijaństwa. Istniała ona od samego początku, ponieważ wzięła się z tradycji żydowskiej. Apostołowie przejęli ją ze znanych im doskonale żydowskich form modlitwy, a także z tego, jak sam Pan Jezus poprowadził pierwszą Eucharystię, wykorzystując elementy tradycyjnych modlitw na święto Paschy. Podczas cotygodniowych szabatowych modlitw w synagodze pobożni Żydzi czytali teksty Tory i innych ksiąg biblijnych, a potem komentowali je. Również Ewangelia potwierdza, że Jezus uczestniczył regularnie w szabatowych modlitwach, co widać na przykład u świętego Łukasza, który opisuje, jak Jezus czytał, a potem wyjaśniał zgromadzonym w synagodze fragment proroctwa Izajasza (por. Łk 4, 16-30).

Ten zwyczaj czytania i komentowania Słowa Bożego przejęli chrześcijanie, więc od pierwszych wieków nieodłączną częścią wspólnych zgromadzeń była Liturgia Słowa. Najpierw oczywiście czytano Stary

Testament, różne proroctwa i psalmy, a potem dopiero włączono listy apostolskie, na końcu zaś ewangelie. Przez długi czas czytano Słowo według zasady *lectio continua*, polegającej na sukcesywnej, stopniowej, chronologicznej lekturze poszczególnych ksiąg. Dziś ta zasada — choć w wielu okresach roku liturgicznego dalej jest stosowana i rzeczywiście czytamy w liturgii po kolei następujące po sobie fragmenty Ewangelii — często zostaje jednak przerywana z powodu różnych świąt i uroczystości.

Lekcjonarz, czyli księga zawierająca uporządkowany zbiór tekstów Liturgii Słowa, to dość nowa rzecz, ponieważ został on wprowadzony dopiero w ramach reform zapoczątkowanych na Soborze Watykańskim II. Początkowo w liturgii odczytywano teksty Pisma Świętego bezpośrednio z Biblii, potem zaznaczano na marginesach ksiąg poszczególne fragmenty do proklamacji na liturgii, aż w końcu wybrane fragmenty przeniesiono do oddzielnych ksiąg zwanych kapitulariami. Zawierały one albo teksty ewangelijne i nazywano je wówczas *capitularia evangeliorum*, lub też czytania pozaewangelijne i nosiły one nazwę *comes*, *liber comicus*. Od Soboru Watykańskiego II w liturgii używa się lekcjonarza, w którym wszystkie teksty ułożone są dniami i okresami liturgicznymi.

Czytania, które współcześnie pojawiają się w liturgii, są podzielone na dwa cykle — cykl dni powszednich i cykl niedzielny. Pierwszy z nich uporządkowany jest w systemie dwuletnim, co w praktyce oznacza, że co dwa lata czytania w dni powszednie powtarzają się. Ta zmiana nie dotyczy Ewangelii, która co roku jest ta sama. By rozpoznać, który rok (I czy II) aktualnie wypada w cyklu codziennych czytań, warto po prostu zapamiętać, że nieparzysty rok to zawsze pierwszy, a parzysty to drugi.

Cykl niedzielny podzielony jest na okres trzyletni, więc czytania na liturgii niedzielnej powtarzają się co trzy lata. Ta zmienność dotyczy zarówno Ewangelii, jak i innych czytań z Liturgii Słowa. Wszystko

uporządkowane jest według danego roku oznaczonego literą A, B lub C. By sprawdzić, jaki rok obowiązuje w czytaniach niedzielnych, wystarczy wiedzieć, że rok C jest zawsze podzielny przez trzy. Jeśli więc wiemy, który rok był w liturgii rokiem C, to możemy obliczyć sobie, jaki aktualnie wypada. Na przykład rok 2019 jest podzielny przez 3, więc rokiem A był 2017, rokiem B był 2018, a 2020 znów będzie rokiem A, 2021 znów rokiem B i tak dalej. Warto również zapamiętać, że rok liturgiczny zaczyna się zawsze w pierwszą niedzielę Adwentu, co oznacza, że dany rok A, B lub C liczy się nie od pierwszego stycznia, ale od pierwszej niedzieli Adwentu poprzedniego roku.

Kolejną bardzo ważną kwestią związaną z czytaniami mszalnymi jest to, kto może je proklamować podczas liturgii. W Kościele do tej czynności została ustanowiona specjalna posługa, czyli lektor. Zwykle jest to ministrant, który wcześniej porządnie się do tej służby przygotował, ale lektorem może być też ktoś spoza asysty liturgicznej. Kościół posiada specjalny obrzęd ustanowienia lektora, który jednak nie jest żadną formą święceń, ale raczej błogosławieństwem na pełnienie tej posługi. Jeżeli w kościele jest obecny lektor, to on powinien czytać czytania i śpiewać psalm. Jeśli jednak nie ma takiej osoby, może to robić każdy, kto jest w stanie dobrze, ze zrozumieniem proklamować Słowo. Nie powinien to być kapłan ani diakon, posługa w tej części Liturgii Słowa należy do wiernych.

Bardzo złą praktyką jest według mnie dawanie czytań mszalnych dzieciom. Z całą miłością do dzieci i ze świadomością, że Pan Jezus bardzo chce, by były one obecne na Eucharystii, uważam, że ledwo czytający i dukający siedmio- czy nawet dwunastoletni ministranci nie powinni czytać podczas Mszy. W tej posłudze ważne jest, by proklamował je ktoś, kto jest w stanie dobrze to zrobić, kto naprawdę potrafi czytać i jest

w stanie tak to wykonać, by inni zrozumieli Słowo. Dlaczego to takie ważne? Ponieważ Słowo w liturgii uobecnia Chrystusa.

W naszym klasztorze w Łodzi funkcjonuje bardzo prosta praktyka, która polega na tym, że choć nie ma żadnych stałych ministrantów ani lektorów, to przed każdą Mszą ksiądz odprawiający liturgię wychodzi i pyta, czy ktoś z obecnych nie chciałby przeczytać czytania lub zaśpiewać psalmu. Zawsze ktoś się zgłasza i dzięki temu ksiądz nie musi czytać tych tekstów, które należą do wiernych. Warto więc, gdy idziemy na Mszę, zatroszczyć się o to, by był ktoś do czytań, a najlepiej samemu pójść do zakrystii i się zgłosić.

W Liturgii Słowa ważna jest także postawa, jaką przyjmujemy podczas słuchania. Czytań ze Starego Testamentu lub z Listów Apostolskich (jedno w dzień powszedni, dwa w niedzielę) oraz śpiewu psalmu słuchamy na siedząco. Taka postawa jest postawą ucznia, który słucha swojego nauczyciela. Ten, kto czyta, wchodzi w rolę Pana Jezusa, czyli nauczyciela, który przekazuje Słowo, naukę.

Jeśli chodzi o psalm, zasadniczo powinno się go śpiewać, jeżeli tylko jest to możliwe. Gdy nie ma w kościele człowieka, który potrafi śpiewać, można go wyrecytować. Psalm również traktujemy jako tekst, który nas uczy, a kiedy śpiewamy refren z psalmistą czy organistą, jest to moment modlitwy, po którym znów następuje czas słuchania tego, co Pan Bóg mówi w poszczególnych zwrotkach. Bardzo ważne, by nie zamieniać psalmu na inne piosenki. Niestety słyszałem, że w niektórych parafiach w okresie Bożego Narodzenia śpiewa się kolędy zamiast psalmu, co jest oczywiście strasznym błędem. Podczas Liturgii Słowa proklamuje się Słowo Boże, nic innego. Nie wolno go zamieniać na jakieś opowieści, poezję śpiewaną, kolędy czy (o zgrozo!) cytaty z „Małego Księcia”. Tu proklamujemy tylko

i wyłącznie Słowo Boże, a nie coś innego, nawet jeśli byłyby to najgenialniejsze teksty świata.

Po czytaniach i psalmie następuje aklamacja, czyli śpiew *Alleluja* z dołączonym do niego wersetem. Kilka razy w roku zdarza się też, że aklamacja poprzedzona jest tak zwaną sekwencją, czyli śpiewem obwieszczającym uroczyście tajemnicę wiary, którą w danym dniu świętujemy. Dwa najbardziej znane tego typu śpiewy to sekwencja wielkanocna, zaczynająca się od słów: *Niech w święto radosne Paschalnej Ofiary…*, oraz sekwencja do Ducha Świętego śpiewana w uroczystość Zesłania, *Przybądź, Duchu Święty, spuść z niebiosów wzięty…* W niektórych parafiach pojawia się także sekwencja na Boże Ciało lub sekwencja na święto Matki Bożej Bolesnej, są one jednak mniej znane, więc i rzadziej śpiewane. Gdy w danym dniu wykonywana jest sekwencja, warto pamiętać, że jest ona częścią słuchania Słowa Bożego. Sama w sobie nie jest Słowem z Biblii, ale w związku z tym, że ułożono ją na podstawie Słowa Bożego, to powinniśmy jej słuchać tak jak czytań czy psalmu — na siedząco. Sekwencja nie jest hymnem, który wykonują wszyscy wierni, nawet jeśli znają dobrze jej tekst. Powinien proklamować ją ktoś, kto potrafi śpiewać — naszym zadaniem jest po prostu jej wysłuchanie. W niektórych kościołach sekwencja wykonywana jest po śpiewie *Alleluja*, co oczywiście jest błędem. Sekwencji słuchamy, siedząc, dopiero na *Alleluja* wstajemy.

Aklamacja jest zaś entuzjastycznym wstępem do Ewangelii, czyli do momentu, w którym zmartwychwstały i obecny wśród nas Chrystus proklamuje nam swoje Słowo. Samo słowo *Alleluja* dosłownie oznacza „chwalmy Pana”. German z Konstantynopola w jednym ze swoich tekstów rozkłada to słowo na części i twierdzi (nieco jednak wymyślając), że jest ono złożeniem trzech członów: *ale* — „On przychodzi”, *el* — „Pan Bóg”

oraz *uja* — „śpiewajcie hymn żyjącemu Bogu”, czyli *Alleluja* mówiłoby zgromadzonym, że przychodzi Bóg żyjący, któremu śpiewamy pieśń. O to właśnie chodzi w tym śpiewie przed Ewangelią. Po tym, jak wysłuchaliśmy nauki, siedząc, mamy się zerwać, wstać i uwielbić Chrystusa, który nadchodzi, a z którym zaraz spotkamy się w słowach Ewangelii.

*Alleluja* jest częścią Liturgii Słowa, którą powinno się śpiewać. Nie ma takiego zwyczaju w Kościele, że aklamację z wersetem się czyta. Jeśli nie jest śpiewana, powinno się ją po prostu pominąć. Warto to wiedzieć, ponieważ często podczas recytowanych Mszy, na których niczego się nie śpiewa, aklamacja w ogóle się nie pojawia. Nie jest ona konieczna, jeśli się jej nie śpiewa, jeżeli jednak już jest, to jedynym słusznym i poprawnym sposobem jej wykonania jest śpiew.

Śpiew *Alleluja* przygotowuje na najważniejszy moment Liturgii Słowa, którym oczywiście nie jest kazanie, ale Ewangelia. Ona jest kwintesencją tej części Mszy, gdyż w niej spotykamy Zmartwychwstałego. Samo proklamowanie Ewangelii ma różne formy zależne od tego, czy dana liturgia sprawowana jest w dzień powszedni, czy w uroczystość. Zawsze jednak kapłan najpierw podchodzi do ołtarza, czyli najważniejszego miejsca podczas Mszy, kłania mu się, oddając cześć Chrystusowi, którego ten ołtarz symbolizuje, i jednocześnie modli się słowami: *Wszechmogący Boże, oczyść serce i usta moje, abym godnie głosił Twoją świętą Ewangelię*, prosząc, by Bóg go oczyścił i przygotował do godnego głoszenia Jego Słowa. Jeśli jest to uroczystość, kapłanowi towarzyszą kadzidło i świece. Gdy zaś w liturgii uczestniczy też diakon, to on czyta Ewangelię, ponieważ zasadniczo on jest pierwszym proklamatorem Ewangelii — taka jest jego główna funkcja podczas liturgii. Jeśli zaś nie ma diakona, robi to kapłan lub biskup, czyli jedynie wyświęcony członek zgromadzenia. Diakon nie odmawia sam zacytowanej wyżej modlitwy, ale idzie po nią do głównego

celebransa, przed którym się pochyla, gdyż w tym momencie jest on dla diakona reprezentantem Chrystusa posyłającego go do głoszenia Słowa. Wtedy z ust księdza padają słowa modlitwy, by Bóg oczyścił serce i wargi diakona, by mógł godnie proklamować Słowo.

Po dojściu do ambony diakon lub kapłan wypowiada słowa: *Pan z wami*, którymi znów chce nam przypomnieć: „Słuchajcie, ciągle jesteśmy w obecności Pana, On tu jest", na co my odpowiadamy tym samym: *I z duchem twoim*, czyli: „I my wierzymy, że On jest w Tobie i stajesz w Jego imieniu". Po tym dialogu wykonujemy bardzo piękny gest, ponieważ znaczymy krzyżem nasze czoło, usta i serce. Zrobienie znaku krzyża w tych trzech miejscach naszego ciała po słowach kapłana: *Słowa Ewangelii według świętego…* oznacza pragnienie przyjęcia tego, co usłyszymy, do naszych umysłów, naszej mowy i naszych serc. Te trzy gesty to modlitwa: „Panie, niech mój umysł przyjmie Twoje Słowo, bym był w stanie je zrozumieć. Niech moje wargi się nim napełnią i potem je głoszą innym. A co najważniejsze, niech moje serce je pokocha z całych sił, niech ono wejdzie we mnie i przemieni mnie całego od wewnątrz". Potrójny znak krzyża przed wysłuchaniem Ewangelii to zatem bardzo piękny gest uświęcenia myśli, pragnienia zrozumienia Słowa, przyjęcia go do całego swojego życia i głoszenia innym.

W tym samym momencie powinien mieć miejsce jeszcze jeden gest. Chodzi mianowicie o zwrócenie się całym ciałem w kierunku ambony, czyli miejsca, z którego będzie czytana Ewangelia. Być może niektórzy z nas zauważyli, że czasem, gdy ksiądz podchodzi do czytania Ewangelii, reszta asysty, inni celebransi i ministranci, obracają się w kierunku ambony. Tak też powinno dziać się z nami. Jeżeli więc podczas Mszy siedzimy w miejscu, w którym nie jesteśmy skierowani ku ambonie, to na ten czas powinniśmy się do niej odwrócić, bo w tym momencie ona jest centralnym

miejscem Eucharystii. Podejście kapłana do ambony w jakiś sposób symbolizuje, że Chrystus powstał z martwych, przyszedł, jest pośród nas — powinniśmy się na Nim w pełni skoncentrować i swoją stojącą postawą upodobnić do Niego.

Dawniej panował bardzo piękny zwyczaj polegający na tym, że na czas czytania Ewangelii wszystkie kobiety obecne w kościele ściągały rękawiczki, czapki i kapelusze, jeśli takie miały, panowie zaś zdejmowali płaszcze, a jeśli byli obecni żołnierze, to w tym czasie prezentowali broń. Dziś pozostałości tej tradycji można zobaczyć na uroczystych Mszach, w których uczestniczą poczty sztandarowe. Podczas czytania Ewangelii sztandary są pochylane do przodu na znak szacunku i czci. Myślę, że te wszystkie elementy pobożności ludowej także w jakiś sposób pokazują, o co chodzi w tym momencie Eucharystii. Gdy bowiem słuchamy Ewangelii, wszystko ma kręcić się wokół niej i być gotowe do przyjęcia jej do swojego życia.

Samo miejsce odczytywania Ewangelii w niektórych kościołach, na przykład w naszej krakowskiej Bazylice Świętej Trójcy, również podpowiadało wiernym, jak przeżywać ten obrzęd Liturgii Słowa. Ci, którzy widzieli ambonę z naszego krakowskiego kościoła wiedzą, że jest ona zawieszona wysoko nad głowami ludzi i ma kształt ośmiokątnej bryły. Z niej dawniej czytało się Ewangelię, a także głosiło kazania. Ośmiokątna ambona — tak zwany oktagon — miała wywoływać skojarzenia z ósmym dniem tygodnia, czyli kolejnym dniem po szabacie, a raczej pierwszym po szabacie, gdy Chrystus zmartwychwstał. Przekładając to na nasze liturgiczne obliczenia, każda niedziela jest pierwszym dniem po szabacie, a zarazem ósmym dniem tygodnia, co w żydowskiej symbolice oznacza nic innego jak początek czasów mesjańskich. Gdy więc słuchamy Ewangelii, to

wchodzimy w nowy czas, w erę po zmartwychwstaniu, w nową rzeczywistość, którą przyniósł Jezus.

Po przeczytaniu lub (jak to się dzieje w uroczystości i święta) zaśpiewaniu Ewangelii diakon całuje księgę, z której proklamował. Mamy więc kolejny pocałunek podczas Mszy, który znów wyraża wiarę w to, że w tym Słowie spotkaliśmy Jezusa, z którym łączą nas intymne więzi miłości. Wtedy też czytający mówi szeptem: *Niech słowa Ewangelii zgładzą nasze grzechy*, które warto sobie zapamiętać i samemu również się nimi modlić po wysłuchaniu Słowa Bożego. Są one bowiem wyznaniem wiary w moc usłyszanego Słowa i jednocześnie prośbą, by ono nas oczyściło, odnowiło nasze serca, gdyż nimi jest nikt inny jak Zmartwychwstały Chrystus.

# ROZDZIAŁ 12

# Homilia

Tuż po wysłuchaniu Ewangelii następuje komentarz do czytań będący homilią lub kazaniem. Co ciekawe, tradycja komentowania słów Biblii w liturgii to bardzo stary zwyczaj. Jako chrześcijanie przejęliśmy go od naszych starszych braci w wierze, czyli Żydów. W synagogach od wieków czyta się fragmenty Biblii i komentuje je wobec wiernych, by jeszcze lepiej je zrozumieli. Pierwszym chrześcijańskim kaznodzieją był oczywiście Pan Jezus, o którym Ewangelia mówi, że sam podczas szabatowych modlitw w synagodze brał zwoje Pisma, czytał je i komentował, pokazując, w jaki sposób różne proroctwa Starego Testamentu spełniły się w Nim. Również Jego liczne kazania, przypowieści i nauczania były pierwszymi homiliami, aczkolwiek trzeba pamiętać, że głoszenie podczas liturgii jest czymś wyjątkowym.

Owa wyjątkowość głoszenia podczas Mszy podkreślona jest w Kościele tym, że kazanie lub homilię po Ewangelii może głosić jedynie ktoś wyświęcony — diakon, kapłan lub biskup. Nie ma żadnej możliwości, by po Ewangelii słowo do wiernych kierował świecki, na przykład w formie świadectwa. Oczywiście świeccy mogą i powinni głosić Słowo, ale miejscem ich głoszenia na pewno nie jest ta część Eucharystii, przeznaczona na wyjaśnianie Słowa Bożego. Niestety czasem się tak zdarza, że gdy w jakiejś parafii trwają rekolekcje i prowadzi je świecki lub

jakaś wspólnota, to wtedy te osoby głoszą Słowo. Nie powinno tak być, ponieważ tylko wyświęcony kapłan, diakon lub biskup może podczas Liturgii Słowa wyjaśniać zgromadzonym to, co przed chwilą usłyszeli. Wszyscy inni oczywiście mogą głosić po zakończeniu Mszy Świętej. Podczas rekolekcji na Eucharystii kazanie powinien mówić celebrans, a nauka rekolekcyjna powinna być wygłoszona na przykład w postaci konferencji lub świadectwa po liturgii.

Powszechnie przyjęło się rozróżnienie głoszenia podczas Liturgii Słowa na homilię i kazanie. Homilią nazywa się bezpośredni komentarz do czytań, bardzo ściśle związany z odczytanym wcześniej Słowem, wyjaśniający je i pomagający wiernym lepiej je zrozumieć. Natomiast, gdy mowa o kazaniu, to tym określeniem nazywa się głoszenie niekoniecznie dotyczące wysłuchanego Słowa Bożego, ale jakiegoś szerszego tematu w pewien sposób związanego z czytaniami. Kazanie może na przykład tłumaczyć zasady życia chrześcijańskiego lub prawdy wiary. Oczywiście nie może być ono zupełnie oderwane od Słowa z danego dnia i powinno się w nim znaleźć choć niewielkie odwołanie do czytań. Kazanie może jednak poruszać temat, który nie jest bezpośrednio związany z usłyszanym Słowem Bożym, ale w jakiś sposób z niego wypływa.

Gdy słuchamy kazań lub homilii, warto, byśmy pamiętali o jednej bardzo ważnej rzeczy, że *de facto* najistotniejszym nie jest ani wykształcenie kaznodziei, ani też jego inteligencja czy elokwencja (choć to wszystko oczywiście pomaga w zrozumieniu Słowa Bożego i przeżyciu Mszy), ale to, czy ksiądz mówi z wiarą i czy jego słowa z wiary wypływają. Im więcej słucham różnych kazań i homilii, mam wrażenie, że dzielą się one na te wygłoszone przez wierzących księży i te mówione przez niewierzących. Może brzmi to zaskakująco, ale może się tak zdarzyć, że kazanie głosi niewierzący ksiądz. Być może wielu z nas zna takie kazania

ze swoich parafii, gdzie słyszy się słowa jakby kwadratowe, puste, bez serca, czyli głoszone bez wcześniejszej modlitwy nad Słowem. Kazanie jest prawdziwe i dobre wtedy, kiedy jest autentyczną próbą zmierzenia się ze Słowem Bożym i próbą życia nim na co dzień. Gdy ktoś tak przygotowuje się do kazania, gdy autentycznie spotyka się na modlitwie i w życiu ze Słowem Bożym, to może być nawet najbardziej nieudolnym kaznodzieją świata, a Duch Święty tak nim pokieruje, że jego słowa przyniosą owoc. Kazanie nieprzygotowane na modlitwie jest do niczego, nawet jeśli zaskakuje słuchaczy inteligentnymi przykładami, porywającą elokwencją czy bystrymi zestawieniami faktów i cytatów. Jeżeli w kazaniu nie ma wiary tego, kto głosi, to ono nie ma żadnego znaczenia. Jeśli zaś kaznodzieja wierzy i żyje Słowem, wtedy jego kazania mają sens i przynoszą obfity owoc, najpierw w jego życiu, a potem też słuchających.

Gdy słuchamy różnych kazań, niestety często działa w nas mechanizm oceniania jakości całej liturgii przez jakość kazania. Jeśli więc kazanie było świetne, to całą Mszę postrzegamy jako coś wyjątkowego, jeśli jednak było słabe, to i Eucharystia wydaje się mniej atrakcyjna. Koniecznie musimy wystrzegać się takiego myślenia i przyjmowania takiego klucza w przeżywaniu Mszy. Oczywiście mam świadomość, że gdy ktoś gada głupoty na kazaniu, to potem trudno się skupić na reszcie liturgii, ale nawet najsłabsze kazanie nie zmniejsza świętości i wartości Mszy. Eucharystia ma taką samą moc, gdy odprawia ją lub głosi Słowo najświętszy i pełen Ducha ksiądz oraz gdy sprawuje ją ktoś bardzo grzeszny i zupełnie nieprzygotowany do głoszenia. Nie warto więc odcinać się od tej łaski, zbyt mocno skupiając się na nieudolności księdza.

W Polce często się tak zdarza, że po Ewangelii czyta się listy pasterskie biskupa lub listy episkopatu. Myślę, że to zły i katastrofalny w skutkach zwyczaj. Nie twierdzę oczywiście, że kiepskim pomysłem jest w ogóle

kierowanie listów do wiernych — jeśli są sensownie napisane i dotyczą naprawdę ważnych spraw, to jasne, że mogą być cenne i pomocne dla wiernych — ale zupełnie nietrafionym pomysłem jest czytanie ich podczas Liturgii Słowa. Często księża czytają listy zamiast głosić kazania, kierując się nakazem zapoznania wiernych z ich treścią. Nie oszukujmy się jednak, można to zrobić w zupełnie inny sposób, na przykład umieszczając list w gablocie, czytając go po Mszy lub w ramach ogłoszeń, lub po prostu drukując go wiernym, by zabrali go sobie do domów. Liturgia Słowa nie jest miejscem na czytanie listów pasterskich, niestety niektórzy księża to robią z czystego lenistwa, bo nie chce im się przygotować kazania.

Wracając jednak do omawiania tego, co się dzieje na Mszy, warto pamiętać, że po kazaniu lub homilii powinna nastąpić chwila milczenia. Mszał wskazuje wyraźnie, że po *Amen* kończącym wygłoszone Słowo nie powinno się od razu zaczynać wyznania wiary lub modlitwy wiernych, ale pozostawić chwilę na przemyślenie tego, co zostało powiedziane, a jeszcze bardziej na osobistą modlitwę wynikającą z usłyszanego Słowa. Moment milczenia po kazaniu to czas na to, by Słowo Boże dotarło do naszych serc, czas na prośbę: „Panie Boże, proszę, niech Twoje Słowo, które było czytane i komentowane, dotknie mojego serca. Niech mnie przemieni i przyniesie owoc”.

# ROZDZIAŁ 13

# „Credo”

Kolejnym elementem Liturgii Słowa jest *Credo*, czyli wyznanie wiary. *Credo* po łacinie oznacza dosłownie „wierzę”, więc jak nietrudno się domyślić, sama nazwa tej części Mszy wzięła się od pierwszego słowa wyznania wypowiadanego przez wiernych. Historycznie rzecz biorąc, *Credo* jest przedłużeniem modlitwy *Sz’ma Izrael*, którą od wieków modlili się Żydzi. Dla narodu wybranego ta modlitwa była opowiedzeniem, w co wierzą, oraz przypomnieniem sobie, kim dla nich jest Pan Bóg. W naszym wyznaniu wiary chodzi o to samo — o wypowiedzenie, w jakiego Boga wierzymy, i przypomnienie sobie, z czym konkretnie wiąże się nasza wiara. *Credo* to więc jak gdyby skrót całej wiary.

W Kościele najczęściej używaną wersją wyznania wiary jest *Credo* z soborów w Nicei i Konstantynopolu, uzupełnione na Soborze Chalcedońskim. Na Mszach dla dzieci w ramach wyznania wiary może pojawić się pieśń, zatwierdzona jednak przez episkopat, a na Mszach z udzielaniem chrztu — najstarszy Skład Apostolski. Najważniejszą rzeczą w wyznaniu wiary jest jednak to, że *Credo* ma podczas Eucharystii być znakiem jedności wierzących. W jaki sposób? Otóż nasza codzienność wygląda tak, że podczas Mszy nie wszyscy się znamy, nie wszyscy się lubimy i nie wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego. Często spotykają się na Eucharystii ludzie o różnych poglądach politycznych, o odmiennych

przekonaniach obyczajowych lub sposobach myślenia o życiu, ale *Credo* to taki moment, który ma nam wszystkim uświadomić, że bez względu na to, że się czasem tak strasznie różnimy, mamy wspólny korzeń, którym jest nasza wiara. Oczywiście, jeżeli ktoś się z tym korzeniem wiary nie zgadza, to ta jedność zostaje zaburzona, ale jeżeli wyznajemy te same prawdy wiary, to jest między nami jedność będąca podstawą do dalszego budowania. Warto o tym pamiętać szczególnie wtedy, gdy spotykasz w kościele kogoś, kogo nie lubisz, z kim sobie nie radzisz. Gdy wypowiadamy razem *Credo*, to okazuje się, że mimo tych trudności i różnic możemy też w czymś być razem.

W niektórych kościołach podczas wyznania wiary można zauważyć, że ludzie wykonują jakieś dodatkowe gesty, na przykład skłaniają głowę. Rzeczywiście warto dodać, że jest kilka takich momentów w roku, gdy Kościół dokłada do *Credo* gest. Chodzi mianowicie o przyklęknięcie, które wyraża nasz szacunek wobec tajemnicy, którą danego dnia świętujemy. W ciagu roku liturgicznego podczas wyznania wiary przyklękamy na przykład w Wielkanoc, gdy mowa o zmartwychwstaniu, a także w Boże Narodzenie, gdy wspominamy moment narodzin Jezusa. Jeśli chodzi o gest schylenia głowy, to nie jest on czymś obowiązkowym. W niektórych kościołach panuje zwyczaj polegający na tym, że dla uczczenia Bożego wcielenia każdorazowo podczas odmawiania *Credo* ludzie schylają głowy. Nie jest to oczywiście konieczne, ale jeśli w jakiejś parafii tak się robi, warto podjąć ten gest.

W różnych rozmowach o Mszy często ludzie pytają mnie o to, kiedy lub na jakie słowa powinno się schylać głowy. Otóż w niektórych miejscach Kościoła istnieje praktyka pochylania głowy, gdy wypowiada się imię Jezus lub Maryja, lub też wspomina się Trójcę Świętą. Można to zauważyć na przykład podczas hymnu *Chwała na wysokości Bogu* lub w trakcie

modlitwy eucharystycznej. Czasem ten gest wykonywany jest także, gdy wymienia się imię świętego, którego wspomnienie obchodzi się danego dnia. W tym kontekście warto zapamiętać jedną zasadę: głowę pochyla ten, kto wypowiada to imię. Jeżeli więc wszyscy śpiewamy lub mówimy *Chwała na wysokości Bogu*, w którym pojawia się imię Jezus, to jak najbardziej wszyscy możemy pochylić głowę. Jednak podczas modlitwy eucharystycznej, którą mówi kapłan sprawujący Mszę, tylko on powinien pochylać głowę na imię Maryi lub Jezusa, nikt inny.

# ROZDZIAŁ 14

# Modlitwa wiernych

Ostatnią częścią Liturgii Słowa jest modlitwa powszechna, zwana też modlitwą wiernych. Obydwa określenia są poprawne, ale każde z nich ma, jak nietrudno zauważyć, nieco inne znaczenie. Modlitwa wiernych oznaczała modlitwę tych, którzy byli ochrzczeni, czyli wierzyli w Pana Jezusa. Modlitwa powszechna zaś dotyczy całego Kościoła, także tych ludzi, którzy nie są jeszcze włączeni w Krzew Winny przez chrzest, ale przecież są dziećmi Boga, więc należą do ludu Boga.

Istnieją dwa ryty modlitwy powszechniej. Pierwszy z nich bardzo uroczysty, który w liturgii ostał się tylko w Wielki Piątek. Składa się on z dziesięciu wezwań, które dzielą się na przedstawienie prośby, najczęściej śpiewane przez diakona, i na odpowiedzi celebransa mające postać krótkiej modlitwy przypominającej kolektę. Te dwie części wezwania oddzielone są chwilą ciszy, która jest miejscem na milczącą modlitwę uczestników zgromadzenia. Jak widać, jest to bardzo uroczysta i rozbudowana forma modlitwy powszechnej, być może dlatego na co dzień rzadko stosowana.

Druga forma modlitwy wiernych, tak zwana litanijna, ma postać kilku wezwań, na które wierni odpowiadają jakimś konkretnym zawołaniem, na przykład *Wysłuchaj nas, Panie*. Liczba wezwań mieści się między czterema a ośmioma. Czasem zdarza się też tak, że wierni milczą, a raczej modlą się w milczeniu, kapłan zaś bez ich dopowiedzi podaje poszczególne prośby

i dopiero na koniec, na wypowiedziane przez księdza *Ciebie prosimy,* wspólnie odpowiadają.

W większości kościołów modlitwę wiernych się czyta. Oczywiście nie ma żadnych stałych i ściśle określonych tekstów liturgicznych (poza modlitwą powszechną w Wielki Piątek), które byłyby nakazane do odczytania. Zwykle są to pomoce liturgiczne, napisane przez jakiegoś księdza lub zakonnicę, które proboszczowie drukują, by mieć już gotowe teksty na liturgię. Przyznam, że osobiście nie lubię tych gotowych modlitw powszechnych, więc nigdy z nich nie korzystam, tylko na bieżąco układam własne. Dlaczego? Ponieważ nawet jeśli są to teologicznie dobre teksty, to pomijają jeden z dwóch ważnych aspektów tej części Liturgii Słowa. Modlitwa wiernych powinna być z jednej strony wołaniem w intencjach dotyczących całego Kościoła — w każdym miejscu świata, stąd te wezwania za papieża, biskupów, rządzących państwami, ale z drugiej strony powinna jednocześnie dotykać spraw lokalnego kościoła, danej wspólnoty parafialnej i tego, co się w niej aktualnie dzieje. W gotowych modlitwach nie ma miejsca na takie sprawy jak czyjeś urodziny, imieniny, śluby, pogrzeby, choroby bliskich, trudności rodzinne i tak dalej. Dlatego tak ważne jest, by nie odczytywać suchych modlitw, ale przyjrzeć się temu, co się dzieje w Kościele i tym powszechnym, i tym bliskim, i o to się wspólnie modlić.

Według mnie istnieją dwa dobre rozwiązania dotyczące modlitwy wiernych. Pierwszym z nich jest spontaniczne jej wygłaszanie przez celebransa, diakona lub kogoś, komu ta funkcja została powierzona. Drugie zaś polega na tym, że gdy osoba odpowiedzialna za modlitwę wiernych nie ma lekkości w wypowiadaniu się na żywo, pisze sobie wcześniej tekst modlitwy, uwzględniając lokalne sprawy i potrzeby, a potem ją zwyczajnie odczytuje. Jeśli jest to możliwe, warto zadbać, szczególnie w niewielkich

wspólnotach, by modlitwa wiernych była tak zorganizowana, by ludzie zgromadzeni na Mszy mogli głośno wypowiadać także swoje osobiste intencje.

U nas w klasztornej kaplicy w Łodzi podczas Eucharystii, w której zazwyczaj uczestniczy kilkadziesiąt osób, modlitwa powszechna zawsze wygląda w taki sposób, że kapłan ją rozpoczyna, podając jedno lub dwa wezwania, a potem zaprasza wiernych do włączenia się w nią i podawania swoich intencji. Nasz kościół jest bardzo mały i wszystko słychać, więc gdy ktoś zakończy swoją prośbę wezwaniem *Ciebie prosimy*, reszta odpowiada *Wysłuchaj nas, Panie*. Oczywiście takie wymienianie próśb nie trwa pół godziny, tylko zaledwie kilka minut, by Eucharystia mogła być dalej sprawowana.

Myślę, że to bardzo piękny sposób przeżywania modlitwy powszechnej, gdyż widzimy się nawzajem, z czasem powoli też coraz lepiej się znamy i jednocześnie wzajemnie się za siebie modlimy. Warto, jeśli mamy w naszych parafiach na to wpływ, kształtować tak tę część Liturgii Słowa. Ile razy jest przecież tak, że w zwykły dzień, gdy nie ma szansy zamówić już oddzielnej Mszy, wpada bardzo ważna intencja, na przykład ktoś miał wypadek albo komuś zachorowało dziecko. Wtedy warto po prostu iść do księdza i poprosić, by dołożył naszą prośbę do modlitwy wiernych. To bardzo ważna rzecz, by w modlitwę wiernych włożyć jak najwięcej lokalnych i bliskich danej wspólnocie spraw.

Dlaczego tak istotne jest włączenie w modlitwę powszechną niemalże całej wspólnoty? Ponieważ modlitwa ta to taka część liturgii, która jest wyrazem powszechnego kapłaństwa wszystkich wierzących. W niej wszyscy stajemy jako kapłani, którzy chcą Panu Bogu zanieść ofiarę z całego świata, chcą w Jego ręce złożyć wszystkie sprawy, szczególnie te trudne i bolesne, które wymagają Bożej interwencji, chcemy Mu je

przedstawić i powierzyć, czyli zrobić to, co powinien robić każdy kapłan. W modlitwie wiernych możemy więc doświadczyć, czym jest w praktyce nasz udział w powszechnym kapłaństwie.

Na koniec uwaga czysto praktyczna. W trakcie modlitwy wiernych nie powinno się dziać nic innego poza nią. Niestety często w różnych parafiach ministranci podczas wezwań szykują już ołtarz do ofiarowania darów. Tak nie powinno być, ponieważ dopiero, gdy skończy się modlitwa wiernych, czyli ostatni element Liturgii Słowa, może zacząć się kolejna część akcji liturgicznej. Do tego czasu nic innego nie może się dziać, by wszyscy byli skoncentrowani na wspólnej modlitwie. Nie warto zaburzać tej części Mszy rozpraszaniem uwagi wiernych przez na przykład przygotowywanie kielicha na ołtarzu lub chodzenie po prezbiterium z ampułkami. W liturgii wszystko ma swój czas, dajmy mu płynąć swoim świętym rytmem.

# LITURGIA EUCHARYSTYCZNA

## ROZDZIAŁ 15

## Bielizna mszalna i naczynia liturgiczne

Po Liturgii Słowa Bożego następuje część Mszy zwana Liturgią Eucharystyczną. Aby jednak móc ją odprawić, potrzeba kilku przedmiotów. Zanim więc przejdziemy do omówienia poszczególnych składowych tej liturgii, kilka słów o tym, na czym się ją sprawuje.

Podstawą odprawiania Liturgii Eucharystycznej jest tak zwana bielizna mszalna, określana też czasem jako bielizna kielichowa lub po prostu bielizna liturgiczna. Samo słowo „bielizna” wielu z nas pewnie zupełnie nie kojarzy się z Mszą i przyznam, że uwielbiam to zdziwienie i jednocześnie zawstydzenie na twarzach młodych ministrantów, którzy dopiero uczą się służby, gdy po raz pierwszy słyszą o bieliźnie w kontekście kościoła i ołtarza. Bielizna mszalna to zaś nic innego jak wszelkie tkaniny i szmatki używane do odprawiania Mszy. Ich nazwa wzięła się od koloru, większość z nich bowiem jest wykonana z czystego, białego sukna.

Pierwszym przedmiotem należącym do bielizny kielichowej jest **korporał**. To kawałek materiału w kształcie kwadratu o boku długości mniej więcej pięćdziesięciu centymetrów, składany na dziewięć części. Na

środku korporału zwykle wyhaftowany jest krzyżyk. Korporał przypomina niewielki obrus, na którym kładzie się wszystkie przedmioty służące do sprawowania Mszy. Jego nazwa pochodzi od łacińskiego wyrazu *corpus*, czyli „ciało”. Korporał służy więc do tego, by zabezpieczyć przed zawieruszeniem nawet najdrobniejsze fragmenty ciała Pana Jezusa. Gdyby na przykład mała cząstka hostii spadła z pateny, zostanie ona zatrzymana przez korporał, który potem składa się do środka tak, by nic z niego nie wypadło. Jeśli więc gdzieś odprawia się Mszę Świętą, korporał jest absolutnie niezbędnym elementem, szczególnie w sytuacjach, gdy liturgię sprawuje się w niestandardowych okolicznościach: na pielgrzymce lub gdzieś na łonie natury. Co ciekawe, symbolicznie korporał oznacza też całun, w który zawinięto ciało Pana Jezusa po Jego śmierci.

Dwa kolejne elementy bielizny kielichowej to **puryfikaterz** i **ręczniczek**. Pierwszy z nich to prostokątny kawałek materiału, z jednej strony nieco dłuższy niż z drugiej, składany na trzy części i służący do wycierania naczyń liturgicznych na przykład po zakończeniu eucharystycznej części Mszy lub po rozdawaniu Komunii. Nazwa „puryfikaterz” pochodzi od słowa *purificatio* oznaczającego „oczyszczenie”. W praktyce liturgicznej puryfikaterza używa się do oczyszczania wcześniej przepłukanych naczyń takich jak kielich i patena. Nie służy on jednak na pewno do wycierania rąk kapłana — tę funkcję pełni wspomniany ręczniczek, który również jest kawałkiem materiału złożonym kilka razy w harmonijkę. Ręczniczka kapłan używa przede wszystkim podczas ofiarowania, by wytrzeć obmyte wcześniej wodą ręce.

Ostatnim elementem bielizny mszalnej jest tak zwana **palka**. Ma ona kształt niedużego kwadratu. Wykonana jest z białej tkaniny, czasem delikatnie ozdobionej jakimś haftem, w którą wszyto lub włożono tekturę tudzież metalową blaszkę. Zadaniem palki jest ochrona Krwi Pańskiej

znajdującej się w kielichu przed zanieczyszczeniem. Podczas Mszy palką przykrywa się kielich, by na przykład do środka nie wleciała żadna mucha lub nie spadło coś z sufitu. Gdy na Eucharystii odprawianej w plenerze wieje silny wiatr, palki używa się także do zwiększenia stabilności kielicha. W takich sytuacjach czasem jej zastosowanie poszerza się też do ochrony komunikantów znajdujących się na patenie. Palka to zatem swego rodzaju nakrycie chroniące Ciało i Krew Pana Jezusa przed niebezpieczeństwami oraz zewnętrznymi zanieczyszczeniami.

W niektórych kościołach można dostrzec, że na przygotowanych do Mszy kielichu i patenie znajduje się jeszcze jeden materiałowy element. To tak zwany **welon**, czyli prostokątny materiał, zwykle w kolorze odpowiadającym barwie aktualnego okresu liturgicznego, który podczas pierwszej części Eucharystii przykrywa czekający na moment ofiarowania i konsekracji kielich z pateną i bielizną mszalną. Welon jest ważną osłoną naczyń liturgicznych chroniącą przed ubrudzeniem.

Jeśli zaś chodzi o naczynia liturgiczne, jest ich całkiem sporo. Po pierwsze do przygotowania darów ołtarza używamy **ampułek**, czyli dwóch niewielkich, zazwyczaj szklanych naczynek, w których przechowywane są wino i woda przed sprawowaniem Eucharystii. Z ampułek te dwie substancje są przelewane do kielicha. Ampułki oznaczone są odpowiednio literami: naczynie z wodą literą „A”, będącą odwołaniem do łacińskiej nazwy *aqua*, naczynie z winem litrą „V”, analogicznie znaczące *vinum*.

Kolejny przedmiot to **lawaterz**. Jest to niewielki dzbanek, często podobny wielkością do ampułki, który używany jest podczas Mszy do umywania rąk kapłana w trakcie przygotowania darów. Niestety w niektórych kościołach brakuje lawaterza, a do umywania rąk używa się reszty wody, która została w ampułce z wodą. Zasadniczo jednak powinno stosować się osobne naczynie przeznaczone tylko do tej czynności. Do

lawaterza, którego nazwa znów oczywiście ma łacińskie korzenie (*lavatio* — mycie, kąpiel), często przyporządkowana jest także tacka, na którą leje się woda podczas obmywania rąk.

Innym naczyniem używanym w trakcie sprawowania Eucharystii jest **cyborium**, na które mówi się po polsku także puszka. Cyborium to zazwyczaj duże naczynie służące do przechowywania Najświętszego Sakramentu. Gdy bowiem potrzeba podczas Mszy konsekrować dużą ilość Ciała Pańskiego, to oczywistym jest, że na patenie zabraknie miejsca. Wtedy używa się właśnie cyborium, które także poza Mszą jest miejscem przechowywania Najświętszego Sakramentu w tabernakulum.

Czasem podczas sprawowanej Eucharystii można zauważyć, że na ołtarzu pojawia się też małe okrągłe naczynko, do którego kapłan wkłada kilka konsekrowanych komunikantów lub jedną dużą hostię. To **pyksis**, którego zadaniem jest ochrona Ciała Pana Jezusa podczas transportowania Go do chorych. Pyksis wkłada się w niedużą, ozdobną torebkę, nazywaną **bursą**, którą ksiądz lub nadzwyczajny szafarz świecki zakłada na szyję, gdy idzie z Najświętszym Sakramentem do potrzebujących. Bursa to kwadratowy pojemnik, zazwyczaj szmaciany bądź skórzany, zbudowany tak, by zmieścił się tam pyksis.

Koło tabernakulum można dostrzec jeszcze jedno pomocne naczynie służące kapłanowi do oczyszczenia palców po rozdawaniu Komunii. Nosi ono nazwę **waskulum** (czasem pisane też *vasculum*), a jest ono po prostu małą puszeczką wypełnioną wodą. By upewnić się, że żaden okruszek Najświętszego Sakramentu nie został na jego palcach, ksiądz po rozdawaniu Komunii płucze je w wodzie znajdującej się w waskulum. Do tego naczynia wkłada się też hostie, które na przykład spadły na ziemię i się zabrudziły. Gdy ich cząstki zostaną rozpuszczone przez wodę, zawartość waskulum wylewa się w specjalnie przeznaczonym do tego miejscu,

a dokładniej bezpośrednio do ziemi, by mogły wniknąć w glebę, by Ciało Pana Jezusa nie zostało w żaden sposób zniszczone lub zbezczeszczone.

Oprócz wyżej wymienionych sprzętów, które pełnią funkcję pomocniczą, mamy w liturgii dwa najważniejsze naczynia przeznaczone do sprawowania Eucharystii: kielich i patenę. **Kielich** to po prostu specjalny kielich, do którego wlewa się wino i kroplę wody podczas Mszy. **Patena** znaczy dosłownie „misa” i jest to pogłębiona tacka, na którą kładzie się hostie. Pateny mogą mieć różne kształty i głębokości, czasem bardziej przypominają płaski talerz, na którym mieści się tylko jedna hostia, a czasem mają kształt misek, do których wkłada się komunikanty dla wszystkich uczestników Mszy. Patena i kielich, podobnie zresztą jak inne naczynia liturgiczne, przed pierwszym użyciem ich na Mszy są specjalnie święcone, co w praktyce oznacza, że wolno ich używać tylko i wyłącznie do sprawowania Eucharystii. Jeśli raz zostaną one wykorzystane podczas liturgii, nie wolno później używać ich do czegoś innego, ponieważ to naczynia konsekrowane, czyli oddzielone od reszty świata i przeznaczone tylko do Eucharystii. Rodzajów kielichów i paten jest bardzo wiele. Ich wygląd warunkuje zmysł estetyczny tych, którzy je zamawiają lub wykonują. Niektórym z nas pewnie podobają się złote, ozdobne naczynia, innym (w tym mnie) proste i zwyczajne. Nie ma tu jednak znaczenia gust, ale to, by kielich i patena były w swoim wyglądzie godne tego, co się w nich dzieje.

Jeśli chodzi o znaczenie tych naczyń liturgicznych, to od pierwszych wieków chrześcijaństwa patenę i kielich traktowano jako symbol grobu Pana Jezusa, w którym przecież złożono Jego Ciało i Krew. *De facto* więc podczas Mszy mamy grób (kielich i patena), mamy całun (korporał), a do tego przede wszystkim Ciało Jezusa i Jego Krew, stoimy zatem dokładnie

w tym miejscu, w którym dokonała się Jego męka i śmierć, a co za tym idzie, w którym także dokonało się Jego zmartwychwstanie.

W liturgii Mszy Świętej i w różnych nabożeństwach wykorzystywane są jeszcze cztery przedmioty: trybularz, nawikula, monstrancja i kustodia, którym teraz poświęcimy uwagę.

Na pewno każdy z nas widział, jak na Mszy używane jest kadzidło. Naczynie, w którym się je spala, to **trybularz**. Ma on budowę puszki zawieszonej na łańcuchu, wykonanej oczywiście z metalu. Do trybularza dołączona jest także zawsze **nawikula** (*navicula*), potocznie zwana **łódką**, w której przechowuje się kadzidło i z której podczas liturgii dosypuje się je do trybularza. Ksiądz, diakon lub ewentualnie ministrant (zwany tyryferariuszem) podczas Mszy okadza ołtarz za pomocą trybularza. Towarzyszy mu człowiek z łódką, czyli nawikulariusz.

Do nabożeństw lub adoracji wykorzystuje się jeszcze dwa przedmioty: **monstrancję** i **kustodię**. Nazwa „monstrancja” pochodzi od słowa *monstrare*, czyli „pokazywać”, z czego łatwo wywnioskować, że jest to naczynie, zazwyczaj bardzo ozdobne, służące do wystawiania na widok publiczny Najświętszego Sakramentu, by można było go adorować. Kustodia to zaś nieduże naczynie, do którego chowa się hostię wcześniej wystawioną w monstrancji. Z łaciny *custodio* znaczy „pilnować, czuwać, strzec”, więc to naczynie jest niejako strażnikiem Pana Jezusa, a raczej Jego Ciała przeznaczonego do adoracji.

Ostatnie dziwne słowo i ostatni sprzęt okołoliturgiczny to **kredencja**. Jest nim specjalny stolik znajdujący się w pobliżu ołtarza, na którym umieszcza się przed Mszą Świętą wszystkie przedmioty wykorzystywane w Liturgii Eucharystycznej. Na kredencji stoją więc kielichy, pateny, ampułki, monstrancje, znajduje się tam również cała bielizna ołtarzowa.

# PRZYGOTOWANIE DARÓW

## ROZDZIAŁ 16

## Chleb i wino, czyli procesja z darami

Aby móc sprawować Liturgię Eucharystyczną, potrzebujemy nie tylko bielizny mszalnej czy naczyń liturgicznych, ale także tak zwanej materii tego sakramentu, czyli chleba i wina. Warto zatrzymać się chwilę nad tym, na czym się Eucharystię odprawia i w jaki sposób tę materię dostarcza się do ołtarza, ponieważ, mimo że wydaje się to sprawą drugorzędną, wcale do takiej kategorii nie należy.

Chleb i wino przynosi się do ołtarza w tak zwanej procesji z darami. Na szczęście do dziś w wielu kościołach, szczególnie podczas uroczystych Mszy, zachowała się tradycja przynoszenia darów do ołtarza. Procesja poprzedzająca moment ofiarowania, czyli moment złożenia darów Panu Bogu, ma swoje korzenie u początków chrześcijaństwa. W pierwszych wiekach Eucharystię sprawowano na darach, które ludzie przynieśli z własnych domów. Materia, na której odprawiano Mszę, nie była więc dostarczana przez księży lub jakieś organizacje kościelne, ale przez zwykłych ludzi, którzy przychodzili na liturgię. Dawniej, zanim zaczęto się wspólnie modlić albo już w trakcie przed eucharystyczną częścią liturgii,

ludzie kładli przed ołtarzem przyniesione z domu dary, chleb i wino. Oczywiście, jeśli każdy coś przynosił, darów było znacznie więcej niż było potrzeba, więc diakoni wybierali najlepsze dary, by na nich sprawowano Mszę, a wszystko, co zostawało, było przeznaczane na agapę, czyli wspólną ucztę po Eucharystii.

Współcześnie dary ołtarza, chleb w postaci komunikantów i wino, są po prostu przynoszone z zakrystii. Zadaniem kapłana jest troska o to, by znalazły się one na ołtarzu. Kiedyś było inaczej. Trochę szkoda, że do dziś nie zachował się zwyczaj przynoszenia darów przez wiernych. W ten sposób tracimy z oczu prawdę, że Eucharystia jest sprawowana nie przez księdza dla nas, ale że wszyscy zebraliśmy się tu po to, by składać ofiarę. Tę teologiczną myśl podpowiada też wiele modlitw, którymi modli się kapłan podczas ofiarowania, prosząc, by Pan Boga przyjął to, co Mu przynosimy, i wziął z tego wszystkiego ofiarę dla siebie. Gdy więc widzimy procesję z darami lub gdy ma miejsce moment przygotowania darów przez księdza, warto pamiętać o tym, że jest to również chwila, gdy w sercu mamy złożyć nas samych i wszystko, co jest naszym życiem, by On to przemienił i uświęcił.

W niektórych kościołach procesja z darami ma miejsce podczas każdej Mszy Świętej. Tak się dzieje na przykład w naszej dominikańskiej kaplicy w Łodzi. Chleb i wino są przygotowane przy wejściu do kaplicy, a każdy, kto ma zamiar przystąpić do Komunii, przed rozpoczęciem Mszy przekłada komunikant na patenę, by była odpowiednia liczba komunikantów do udzielania tego sakramentu. Kiedy zaś następuje moment ofiarowania i kapłan wychodzi przed ołtarz, by przyjąć dary, dwie osoby uczestniczące w Eucharystii, niewyznaczone wcześniej, tylko siedzące w okolicy stolika z darami, biorą chleb i wino, a następnie zanoszą je do ołtarza. Jeśli więc w jakiś sposób mamy wpływ na życie parafialne lub jesteśmy

zaangażowani w oprawę Mszy, warto zadbać o to, by pojawiła się procesja z darami i aby Eucharystia była sprawowana na tym, co przyniesiemy Panu Bogu. Ten szczegół jest ważny również teologicznie, ponieważ pokazuje, że podczas Mszy dajemy Panu Bogu pewną materię do uświęcenia, nie chodzi tylko o chleb i wino, ale całe nasze życie, które składamy Mu, by je przemienił i uświęcił. W niektórych kościołach obowiązuje niepisana zasada, według której dary ołtarza przynoszą ludzie, w których intencji sprawowana jest Msza. Myślę, że jest w tym coś pięknego, gdy na przykład małżonkowie obchodzący swoją rocznicę ślubu niosą dary lub ktoś przeżywający danego dnia swoje urodziny składa na ołtarzu razem z innymi darami także swoje życie.

W tradycji Kościoła procesja z darami to nie tylko chleb i wino. Niemalże od początków sprawowania Eucharystii przynoszono także inne dary. Do dziś na przykład podczas różnych uroczystości ma miejsce bardzo rozbudowana procesja z darami i często się zdarza, że nawet pojawia się specjalny komentator, który mówi: „Do ołtarza zbliżają się przedstawiciele Akcji Katolickiej, którzy niosą w darze świece i obrus”. Choć dziś momentami te długie procesje wyglądają dość śmiesznie, warto pamiętać, że wzięły się one z pięknej tradycji składania nie tylko darów ołtarza (chleba i wina), ale także innych rzeczy, którymi potem dzielono się z biednymi. W pierwotnym Kościele dla wiernych oczywiste było, że skoro wśród nich istnieją osoby potrzebujące wsparcia, to właśnie do nich trafiały dary, które zostały przyniesione na Mszę, a które nie służyły do sprawowania tego sakramentu. Ten gest dzielenia się darami z biednymi również ma swoje teologiczne znaczenie. Pokazuje on, że Pan Bóg, przyjmując wszystko, co Mu przynosimy, nie zachowuje tego tylko dla siebie, ale jednocześnie uczy nas dzielenia się tym dobrem z innymi ludźmi.

Organizując rozbudowaną procesję z darami, warto więc pamiętać o jednej rzeczy: dary, które w niej składamy, mają służyć wspólnocie parafialnej lub tym, komu ta wspólnota chce pomóc. Jeśli więc na przykład odprawiana jest Msza z udziałem dzieci, to zupełnie bezsensownym pomysłem jest przynoszenie do ołtarza ich zeszytów do religii, ponieważ to się mija z celem tego obrzędu liturgicznego. W procesji z darami powinny pojawić się rzeczy do sprawowania Eucharystii, przedmioty służące danej wspólnocie liturgicznej, na przykład naczynia lub szaty liturgiczne albo rzeczy mające na celu pomoc potrzebującym. Rzeczy przynoszone w procesji z darami powinny zaś być ułożone w określonej kolejności, w której najważniejszą zasadą jest to, by na samym końcu procesji znajdowały się dary eucharystyczne, czyli chleb i wino. Najpierw więc powinny być złożone i rozłożone gdzieś na boki dary dla Kościoła, dla wspólnoty parafialnej czy też dla potrzebujących, na końcu chleb i wino, na których będzie sprawowana Eucharystia.

Gdy do ołtarza niesione są dary, to według przepisów liturgicznych reszta uczestników zgromadzenia eucharystycznego (poza przynoszącymi dary oraz księdzem i pomagającymi mu odebrać ofiarę ministrantami) powinna siedzieć. Zauważyłem, że w wielu kościołach robi się małe zamieszanie w tym momencie, ponieważ jedni siedzą, inni, chcąc się utożsamić z niosącymi dary, wstają, a pozostali nie wiedzą, co myśleć i robić, więc panuje chaos. Warto zatem zapamiętać, że podczas ofiarowania, gdy procesja z darami idzie przez środek kościoła, reszta zgromadzenia siedzi.

Na koniec kilka słów o samej materii sakramentu, czyli o tym, na jakim winie i jakim chlebie można odprawiać Eucharystię. Mniej więcej do XI wieku w Kościele sprawowano Eucharystię na normalnym chlebie, który wypiekano w domach i który na co dzień służył jako posiłek.

Najpiękniejsze chleby, które udało się upiec, zanoszono do świątyni i przeznaczano do sprawowania sakramentu. Z czasem jednak zaczęło się to zmieniać i najpierw wprowadzono, że chleb przeznaczony do liturgii musi być niekwaszony, co zresztą było zgodne z tym, na jakim chlebie Pan Jezus odprawiał pierwszą Mszę. Według tradycji żydowskiej podczas wieczerzy paschalnej, którą niewątpliwie była Ostatnia Wieczerza, mógł być spożywany tylko przaśny chleb. Ta tradycja przetrwała do dziś, co widać we współczesnych przepisach liturgicznych: *Chleb, którego używa się przy sprawowaniu Najświętszej Ofiary Eucharystycznej, powinien być niekwaszony, czysto pszenny i świeżo upieczony, tak aby nie było żadnego niebezpieczeństwa zepsucia*. Jak widać, do Eucharystii można używać jedynie chleba pszennego, nie wolno do niego dodawać żadnego innego rodzaju zbóż.

Co więcej, chleb eucharystyczny musi być świeżo wypiekany, a to w praktyce oznacza, że do Mszy nie powinno się używać komunikantów, które leżą w szafie w zakrystii od kilku lat i są tak twarde oraz nieświeże, że nie da się ich jeść. Nie chodzi oczywiście o to, że mają być one dostarczane prosto z piekarni, ale raczej o fakt, by do każdej Mszy przygotowano taką ilość komunikantów, jaka jest potrzebna dla danego zgromadzenia eucharystycznego. Niestety w wielu kościołach obowiązuje praktyka odprawiania Eucharystii tylko i wyłącznie na jednej dużej hostii, którą kapłan pokazuje ludowi i którą potem spożywa, a resztę komunikantów bierze się z tabernakulum — nie powinno się tak robić. Najświętszy Sakrament przechowywany w tabernakulum znajduje się tam tylko po to, by rozdawać go chorym lub ewentualnie, gdy podczas Mszy zabraknie go na ołtarzu. W trakcie Mszy powinno się jednak konsekrować tyle komunikantów, ile jest ludzi w kościele. Oczywiście wiadomo, że czasem trudno przewidzieć dokładną liczbę osób przystępujących do

Komunii, wtedy rzeczywiście można skorzystać z komunikantów przechowywanych w tabernakulum, ale kiedy to tylko możliwe, powinno się na każdą Mszę przygotowywać nowe.

Dziś niestety trochę tracimy z oczu symbolikę eucharystyczną, ponieważ komunikanty mające kształt małego krążka nie przypominają chleba. Wynika to jednak ze względów praktycznych. (Nawiasem mówiąc, ważne, by zapamiętać, że komunikanty i opłatki to dwie różne rzeczy. Opłatkami dzielimy się podczas wieczerzy wigilijnej, a komunikanty są przeznaczone do sprawowania Mszy. Sama ich nazwa sugeruje tę funkcję, ponieważ wzięła się od słowa *communio* oznaczającego: „połączenie", „uczestnictwo", „zgodność". Komunikant to zatem swego rodzaju „wspólnotownik", przez który wchodzimy w niewiarygodną bliskość z Bogiem i ludźmi.) Warto również powiedzieć, że wypiekanie komunikantów przez bardzo długi czas było zastrzeżone dla określonych wspólnot zakonnych, ponieważ łączyło się ono z bardzo piękną praktyką modlitewną towarzyszącą tej czynności. Obecnie przepisy kościelne regulują zasady wypiekania komunikantów i podczas liturgii używa się tylko tych, które zostały wyprodukowane w certyfikowanych zakładach przestrzegających różnych obostrzeń dotyczących materii sakramentu.

W związku z tym, że komunikanty muszą być pszenne, rodzi się problem dotykający osób z wysoką nietolerancją glutenu. Rozwiązaniem tej kwestii jest tak zwana Komunia bezglutenowa, o której dokumenty kościelne mówią: *Hostie całkowicie pozbawione glutenu są materią eucharystyczną nieważną. Materią ważną są hostie częściowo pozbawione glutenu i te, w których jest obecna wystarczająca ilość glutenu do otrzymania wypieku chleba bez dodatku substancji obcych i bez konieczności odwoływania się do metod, które zmieniłyby istotę chleba*. To w praktyce oznacza, że nie ma czegoś takiego jak Komunia całkowicie

bezglutenowa, ponieważ dla osób cierpiących na celiakię produkuje się komunikanty z obniżoną zawartością glutenu, nieszkodliwą dla nich, a jednocześnie zachowującą wystarczającą ilość tego składnika, by dany wypiek można było uznać za chleb, a nie wytwór chlebopodobny. Do Eucharystii bowiem niezaprzeczalnie potrzeba chleba.

Jeżeli zaś chodzi o wino, przepisy liturgiczne mówią tak: *Wino, jakiego używa się przy sprawowaniu Najświętszej Ofiary Eucharystycznej, powinno być naturalne, z winogron, czyste, niezepsute, bez domieszki obcych substancji*. Oznacza to zatem, że wino mszalne to wino gronowe, wyprodukowane tylko z winogron, bez domieszek innych owoców i bez dodatku żadnych aromatów. Musi to być najczystsze wino, nie ma zaś znaczenia, czy jest ono białe czy czerwone. Oczywiście symbolicznie wino mszalne powinno być raczej czerwone, ponieważ reprezentuje Krew Chrystusa. W kościołach zazwyczaj używa się jednak niestety częściej wina białego, wytrawnego (według mnie niesmacznego), by bielizna kielichowa nie brudziła się tak szybko. Myślę, że nie jest to wystarczający argument, ponieważ nie widzę żadnego problemu w praniu bielizny mszalnej po każdej Eucharystii. Kościół prawosławny w tym aspekcie ma bardzo piękną i wymowną tradycję, ponieważ używa bardzo gęstego, wręcz smolistego, słodkiego, czerwonego wina, które z pewnością bardziej pomaga wiernym w zrozumieniu teologicznego wymiaru tej materii.

Podobnie jak z Komunią dla ludzi chorujących na celiakię, tak jest też z przyjmowaniem podczas Mszy wina przez alkoholików. Dokumenty kościelne poruszają również to zagadnienie, tłumacząc, że do Eucharystii można używać moszczu winnego: *Moszcz, to znaczy sok winny, tak świeży jak przechowywany, zatrzymując jego fermentację przez procesy, które nie zmieniają jego istoty (np. zamrożenie), jest materią eucharystyczną ważną*. W wypadku więc, gdy ktoś ma tego typu problemy, powinien zgłosić się do

swojego proboszcza i porozmawiać o tym, by mógł w inny sposób przyjmować Komunię. Oczywiście zawsze można spożywać Pana Jezusa pod jedną postacią — skoro ktoś nie może chleba, to przyjmuje wino i odwrotnie. W nawet najmniejszej drobince Komunii jest cały Pan Jezus, więc spożywanie jednej postaci eucharystycznej niczego nas nie pozbawia.

# ROZDZIAŁ 17

## Ofiarowanie darów

Gdy w procesji dary zostaną przyniesione do ołtarza, ma miejsce kolejna część Eucharystii, czyli ofiarowanie. Polega ono na tym, że kapłan przedstawia Panu Bogu chleb i wino, jednocześnie wypowiadając słowa różnych modlitw, których treść odsłania znaczenie wykonywanych gestów.

Pierwsza rzecz, która jest przedstawiana podczas ofiarowania, to chleb w postaci hostii i komunikantów. Tych dwóch nazw zasadniczo można używać wymiennie, ponieważ komunikanty to tak naprawdę małe hostie. Przyjęło się jednak, że ten duży kawałek chleba eucharystycznego, na którym jest odprawiana Msza i który jest pokazywany wiernym, zwiemy hostią, małe zaś komunikantami. Samo słowo „hostia” wzięło się z łacińskiego wyrazu oznaczającego dosłownie „biczować, ranić”, co jest odwołaniem do Chrystusa umęczonego na krzyżu. To symboliczne znaczenie odsłania prawdę, że za chwilę w tej hostii przyjdzie Baranek, którego ciało zostało zranione i ubiczowane podczas męki, a które jednak ostatecznie zmartwychwstało.

Hostię z komunikantami kapłan przedstawia Panu Bogu z następującą modlitwą na ustach: *Błogosławiony jesteś, Panie, Boże Wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy chleb, który jest owocem ziemi i pracy rąk ludzkich. Tobie go przynosimy, aby stał się dla nas chlebem życia*. Zazwyczaj wypowiadana jest ona cicho i wierni obecni w kościele jej nie

słyszą. Gdy jednak uczestniczymy we Mszy recytowanej, na której nie ma śpiewu, celebrans często modli się nią głośno i wtedy wszyscy mu odpowiadamy: *Błogosławiony jesteś, Boże, teraz i na wieki.*

Co ważne, słowa modlitwy podczas ofiarowania chleba pochodzą z tradycji żydowskiej. Wśród modlitw narodu wybranego było wiele błogosławieństw, które polegały na uwielbianiu Boga w Jego dziełach i na dziękowaniu Mu za różne sprawy. Kościół zaczerpnął więc z tej tradycji i w obrzędy ofiarowania włożył modlitwę, w której błogosławi Boga za Jego dary, prosząc, by je przyjął jako ofiarę. W tej modlitwie mówimy Mu: „Panie Boże, to, co przynieśliśmy, jest czymś zupełnie naturalnym, bo to nic innego jak owoc ziemi i naszej pracy. Przerobiliśmy to, co dała nam ziemia, a teraz prosimy Cię, byś to wszystko przemienił w coś, czego my nie jesteśmy w stanie dokonać, czyli w Chleb Życia. Weź to, co nasze, ludzkie, naturalne, i podnieś to do czegoś wyższego, do swojej niezwykłości”. Warto zwrócić uwagę na ten moment i nawet jeśli jest wokół sporo rozproszeń, typu zbieranie tacy lub śpiew, modlić się właśnie w takim duchu dziękczynienia i ofiarowania.

Po modlitwie nad chlebem następuje rzecz bardzo piękna, aczkolwiek prawie w ogóle niezauważana przez uczestników Mszy. Zanim bowiem ma miejsce obrzęd ofiarowania Bogu wina, następuje nalanie go do kielicha, a potem dolanie także kilku kropel wody. Zazwyczaj wino i wodę przelewa się do kielicha z ampułek, natomiast zdarza się także w niektórych kościołach, że do nalewania wody jest przeznaczona specjalna łyżeczka. Jeśli chodzi o proporcje łączenia tych dwóch składników, to dziś zdecydowanie nalewa się więcej wina, a wody zaledwie kilka kropel. W historii Kościoła jednak różnie w tej kwestii bywało. Czasem nawet nalewano po połowie wina i wody, nigdy jednak wina nie było mniej. Samo wzbogacanie wina o wodę wzięło się oczywiście ze starożytnych

zwyczajów spożywania posiłków. W czasach Jezusa czymś zupełnie normalnym było rozcieńczanie wina, prawdopodobnie sam Chrystus pił tak przygotowane wino, a co za tym idzie, również podczas Ostatniej Wieczerzy nie podał swoim uczniom czystego wina, ale takie, jak wówczas spożywano. Wykonując ten gest, naśladujemy więc Pana Jezusa.

Dziś dolewa się do wina jedynie odrobinę wody, co teologia tłumaczy na trzy sposoby. Po pierwsze jest to przypomnienie momentu, gdy na krzyżu z przebitego boku Pana Jezusa wypłynęła krew i woda. Dolewanie wody do wina to zatem pamiątka otwarcia serca Jezusa na krzyżu. Dwa kolejne znaczenia tłumaczą słowa modlitwy wypowiadane przez kapłana podczas tej czynności, które brzmią: *Przez to misterium wody i wina daj nam, Boże, udział w bóstwie Chrystusa, który raczył przyjąć nasze człowieczeństwo*. W tej modlitwie Kościół zestawia więc wodę i wino oraz człowieczeństwo i bóstwo. Oznacza to zatem z jednej strony, że za chwilę pod tymi postaciami będzie obecny Chrystus, a w Nim niepodzielnie złączone bóstwo i człowieczeństwo. Oczywiście to, co jest wodą, symbolizuje człowieczeństwo, wino zaś bóstwo. I tak jak po dolaniu wody do wina nie da się już rozdzielić tych substancji, tak Jezus jest nierozdzielny w swoim bóstwie i człowieczeństwie. Z drugiej strony te znaki można odczytywać inaczej: utożsamiając wodę z całą ludzkością, a wino z Chrystusem. W tym zaś kluczu moment połączenia wody i wina staje się symbolem naszego wszczepienia w Jezusa, które dzieje się podczas Mszy. To połączenie jest tak silne jak złączenie wina i kilku kropel wody. Co więcej, tych substancji nie tylko nie da się już potem rozdzielić, ale woda połączona z winem w takich proporcjach przestaje być wodą i całkowicie zamienia się w wino, nie odwrotnie. Niektórzy mówią, że w tym miejscu na Eucharystii dzieje się znak z Kany Galilejskiej, gdzie woda cudownie przemieniła się w wino.

Warto zatem nie przegapić tego momentu napełniania kielicha winem i wodą, który często ma miejsce w ciszy. To bowiem jeden z najstarszych gestów eucharystycznych, który głęboko odsłania rzeczywistość dziejącą się na Mszy. Gdy zatem uda nam się skupić na tym geście kapłana, dobrze jest pomodlić się w sercu modlitwą prośby: „Panie Jezu, teraz kapłan dolewa wody do wina, czyli prosi, żeby cała ludzkość złączyła się z Tobą. Ja też tak chcę. Proszę Cię, złącz mnie tak ze sobą, żebym jak ta woda od wina nigdy się od Ciebie już nie odłączył. Tak mnie wszczep w siebie, by moja denna i zamulona woda zmieszała się z Twoim cudownym winem tak mocno, by nie dało się już rozpoznać, kto jest kim. Chcę być tak blisko Ciebie, żeby nic nie mogło mnie od Ciebie oderwać”. Co ciekawe, przepisy liturgiczne mówią, że podczas nalewania wina do kielicha powinno się milczeć, natomiast modlitwa *Przez to misterium wody i wina...* pojawia się dopiero w momencie dolewania wody. Niektórzy tę różnicę interpretują tak, że nalewając wino symbolizujące bóstwo Chrystusa, po prostu nie wiemy, co powiedzieć, brak nam słów, dopiero przy wodzie one się znajdują, bo woda dotyczy naszej własnej, ludzkiej natury.

Po tym obrzędzie następuje moment ofiarowania wina połączonego z wodą, podczas którego odmawiana jest modlitwa, bardzo podobna do towarzyszącej składaniu chleba: *Błogosławiony jesteś, Panie, Boże Wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy wino, które jest owocem winnego krzewu i pracy rąk ludzkich. Tobie je przynosimy, aby stało się dla nas napojem duchowym*. Jeśli niczego nie śpiewamy w tym czasie, odpowiadamy: *Błogosławiony jesteś, Boże, teraz i na wieki*. Ponownie więc na usłyszane błogosławieństwo odpowiadamy błogosławieństwem, znów wyznajemy, że to, co ludzkie i naturalne, Bóg ma moc przemienić w sakrament Jego realnej obecności.

Gdy kapłan ofiaruje chleb i wino, wypowiada tak zwaną modlitwę Azariasza. Niestety wierni uczestniczący w Eucharystii rzadko ją słyszą, ponieważ celebrans zwykle wypowiada ją szeptem, do tego pochylając się przed ołtarzem. Pokłon towarzyszący słowom tej modlitwy powinien być głęboki, ponieważ jest znakiem uniżenia, pokory i świadomości własnego grzechu. Co więcej, kapłan modli się tu nie tylko w swoim imieniu, ale także w imieniu wszystkich uczestniczących w zgromadzeniu, mówi: *Przyjmij nas, Panie, stojących przed Tobą, w duchu pokory i z sercem skruszonym. Niech nasza ofiara tak się dzisiaj dokona przed Tobą, Panie Boże, aby się Tobie podobała*. Oznacza to zaś: „Panie Boże, prosimy Cię, sam zrób to, co jest Tobie miłe, bo my tego nie potrafimy i nie nadajemy się do tego”. Przyznam, że jest to jedna z moich ulubionych modlitw podczas Mszy. Gdy wypowiadam te słowa, mam w sercu modlitwę: „Boże, spraw, żeby to, co tu robię, to moje próbowanie godnego odprawiania Eucharystii, które przez moją grzeszność jest strasznie marne, się Tobie podobało. Zrób to wszystko swoją mocą, bo jeśli zostanie tylko to, co ja mam, to nie będzie z tego ofiary miłej Tobie. Jeśli jednak Ty tego dotkniesz, to moje słabe i marne starania zamienią się w cudowną, pokorną i piękną modlitwę”.

Po tym momencie uniżenia, jeśli dana Eucharystia jest sprawowana w sposób uroczysty, następuje okadzenie — najpierw darów, potem ołtarza, celebransa, a na końcu całego ludu. Ten obrzęd z jednej strony jest symbolem naszej modlitwy unoszącej się do Pana Boga, z drugiej zaś można go interpretować jako przypomnienie świętości tego, co okadzamy. W tym kontekście okadzenie darów jest dość oczywiste, bo rzeczywiście chleb i wino staną się za chwilę Ciałem i Krwią Jezusa, dlaczego jednak okadza się kapłana i lud? Tradycja Kościoła tłumaczy ten obrzęd, przypominając nasz chrzest, skoro bowiem stoimy wokół ołtarza, to znaczy, że wszyscy jesteśmy ochrzczeni, a bycie ochrzczonym równa się byciu

uświęconym. Gest okadzenia podczas Liturgii Mszy Świętej należy zatem przyjmować jako Boże wezwanie, by na nowo uwierzyć, że On sam przygotowuje nas na przyjęcie Jego największych darów, że On sam nas uświęca, czyli czyni godnymi bycia w Jego obecności. Tak, jakby Bóg nam mówił: „Uznałem cię za godnego i mimo że nie jesteś godny, to Ja cię takim czynię, bo chcę, byś tu był”. Z praktycznego punktu widzenia warto zapamiętać, że podczas okadzania należy wstać. Ale nie od razu, gdy diakon lub ministrant okadza księdza. Wstaje ten, który jest okadzany. Na początku więc, gdy celebrans okadza dary i ołtarz oraz gdy diakon okadza kapłana, siedzimy, dopiero gdy następuje okadzanie ludu, wstajemy.

Po modlitwie Azariasza i ewentualnym okadzeniu jest jeszcze jeden cichy obrzęd zwany **lawabo**, czyli obrzęd obmycia rąk. Do kapłana podchodzą ministranci i polewają mu ręce wodą, on je obmywa i wyciera w ręczniczek. Tej czynności towarzyszy wypowiadana szeptem modlitwa księdza: *Obmyj mnie, Panie, z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego*. Obrzęd umywania rąk wziął się z bardzo praktycznej czynności mycia rąk po odbieraniu najróżniejszych darów przynoszonych do ołtarza przez ludzi. Oczywistym było, że po braniu na ręce ofiarowanej mąki, owoców czy innych rzeczy, kapłan musiał je umyć, by godnie sprawować Eucharystię. Dziś, mimo że praktyczny aspekt prawie zupełnie zanikł, ten gest ma ważne duchowe znaczenie, ponieważ przypomina o potrzebie pokornego stanięcia wobec misteriów, które się za chwilę wydarzą. Tak, jak gdyby ksiądz tym gestem modlił się: „Panie Boże, chcę przystąpić do najważniejszych i najświętszych tajemnic, które nam dałeś, proszę, obmyj mnie z grzechu, bo inaczej nie jestem godny, by tu być”.

Zwieńczeniem ofiarowania jest modlitwa nad darami, którą kapłan zawsze wypowiada głośno. Jest to dość krótka formuła wychwalająca Pana Boga za to, że możemy sprawować tę Eucharystię, że pozwolił nam być

w tym miejscu i przeżywać tajemnicę danego dnia. Dawniej ta modlitwa nosiła nazwę **sekreta**, ponieważ należała do modlitw mówionych po cichu. Dziś ta zasada nie obowiązuje, a modlitwa ofiarowania to znana nam formuła: *Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący*, na co lud odpowiada: *Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk twoich na cześć i chwałę swojego Imienia, a także na pożytek nasz i całego Kościoła świętego*. Niektórzy liturgiści twierdzą, że nazwa „sekreta" odnosiła się do łacińskiego słowa o podobnym brzmieniu oznaczającego „oddzielanie". Dawniej być może była to modlitwa, w której kapłan dosłownie oddzielał dary ołtarza, na których miała być sprawowana Eucharystia, od innych rzeczy złożonych podczas ofiarowania przez wiernych. Pewnie często się zdarzało, że chlebów przyniesionych do kościoła było znacznie więcej niż tych, które położono na ołtarzu. Zatem słowami tej modlitwy określano, że tylko te bochenki staną się za chwilę Ciałem Chrystusa i tylko to wino Jego Krwią, reszta zaś to pomoc dla biednych, czyli chleby i wina, które pozostaną nieprzemienione. Modlitwa ofiarowania wypowiadana tuż przed kulminacyjnym momentem Mszy, czyli konsekracją, oddziela to, co święte lub raczej przeznaczone do świętych obrzędów, od wszystkiego, co zewnętrzne.

Nie bez znaczenia jest również fakt, że modlitwa ofiarowania rozpoczyna się od słów: *Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg…* Nie wystarczyłoby powiedzieć: „Módlcie się, aby naszą ofiarę…"? Otóż nie, ponieważ ten fragment uświadamia nam ponownie, że kapłan sprawuje tę ofiarę w inny sposób, niż robią to wierni. Wszyscy mamy w sobie kapłaństwo powszechne z chrztu, natomiast księża, posiadając święcenia prezbiteratu, posiadają też kapłaństwo urzędowe. Kapłan odprawia Eucharystię *in persona Christi*, czyli w imieniu Jezusa, on składa ofiarę tak, jakby Chrystus to robił, a lud ją przyjmuje. Gdyby więc kiedyś ktoś wpadł

na taki pomysł, by zmienić formułę tej modlitwy z „moją i waszą ofiarę” na „naszą ofiarę” byłoby to straszną pomyłką. Nawet Ewangelia pokazuje, że Jezus, mówiąc do uczniów, oddziela te dwie rzeczywistości, na przykład po zmartwychwstaniu kieruje do apostołów za pośrednictwem Marii Magdaleny słowa: *Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego* (J 20, 17). Jego relacja z Ojcem jest inna niż ta, którą my możemy z Nim mieć, dlatego, gdy kapłan staje na Mszy w imieniu Chrystusa, modli się właśnie takimi słowami podczas ofiarowania.

Odpowiadając: *Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk Twoich na cześć i chwałę swojego imienia, a także na pożytek nasz i całego Kościoła świętego*, wyznajemy wiarę w to, że rzeczywiście kapłan staje w miejscu Chrystusa i błogosławimy mu na tę posługę. Gdy odprawiam Mszę, to w tym momencie zawsze staram się pochylać głowę, ponieważ jest to czas modlitwy wstawienniczej ludzi obecnych na Eucharystii za mnie. Najpierw kapłan modli się za wiernych, a za chwilę oni proszą, by Pan przyjął i uznał to, co w imieniu Chrystusa czyni celebrans. To bardzo piękny moment wzajemnej modlitwy za siebie podczas Mszy i uznania, że bardzo potrzebujemy siebie nawzajem w tym sakramencie. Niestety niekiedy tak jest, że ksiądz w tym czasie szuka czegoś w mszale, bo sobie nie zaznaczył, gdzie ma dalej czytać, powinien zaś być zupełnie skoncentrowany na tym, co słyszy i pokornie przyjąć modlitwę w jego intencji, by Pan Bóg przyjął to, co będzie zaraz sprawował, do czego przecież został powołany.

Podczas ofiarowania pojawia się jeszcze jeden (według mnie) niefortunny dodatek, czyli taca. Znalazł się w tym miejscu Mszy, ponieważ nie było go gdzie indziej wcisnąć, a ma on głęboki sens teologiczny, więc gdzieś musiał się pojawić. Taca w swojej istocie jest połączona z procesją z darami i modlitwą ofiarowania. Dawniej w procesji z darami przynoszono też pieniądze, które przeznaczano na potrzeby danej wspólnoty i pomoc

potrzebującym. Dziś ze względów praktyczno-logistycznych taca jest zbierana równolegle do ofiarowania, a czasem niestety się przedłuża, co nie powinno mieć miejsca. Jej sens jednak pozostał ten sam — przeznacza się ją na utrzymanie kościoła i pomoc ludziom.

# MODLITWA EUCHARYSTYCZNA

## ROZDZIAŁ 18

## Modlitwa eucharystyczna — definicje

Kolejnym, *de facto* najważniejszym, elementem Liturgii Eucharystycznej jest tak zwana modlitwa eucharystyczna. Składa się ona z wielu bardzo głębokich i pięknych w swoim znaczeniu modlitw i gestów, którym poświęcimy kolejne rozdziały. Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego omawiania modlitwy eucharystycznej podam kilka definicji nazw, którymi posługuje się Kościół, określając tę część Mszy.

Jedną z najstarszych nazw używaną do określenia całej modlitwy eucharystycznej lub jej fragmentu jest słowo „kanon”. Dawniej całą tę część Liturgii Eucharystycznej, od prefacji do doksologii, nazywano kanonem, dziś natomiast to określenie głównie kojarzone jest z tak zwanym Kanonem Rzymskim, czyli jedną z wersji modlitwy eucharystycznej, określaną też Pierwszą Modlitwą eucharystyczną, o której powiem jeszcze kilka słów w dalszej części tego rozdziału.

Czym jednak w ogóle jest kanon w odniesieniu do Eucharystii? To określony sposób działania, który został ustanowiony i do dziś jest niezmiennie używany w liturgii. Kanonem określamy te elementy Mszy,

które ustalił Pan Jezus. Są to zatem słowa, które wypowiedział, oraz gesty, które uczynił, podczas Ostatniej Wieczerzy i jednocześnie pierwszej Eucharystii. Kanonu nie wymyślił więc Kościół — jako chrześcijanie dostaliśmy go bezpośrednio od Jezusa, przejęliśmy od Niego i bez naruszenia przekazujemy dalej. Składa się on z modlitwy nad chlebem i winem, łamania chleba i rozdawania kielicha z Krwią Pańską tak, jak to robił Pan Jezus. Kanon jest więc sednem Mszy Świętej, jej esencją.

Kolejną nazwą modlitwy eucharystycznej jest anafora. Funkcjonowała ona częściej w Kościele Wschodnim, na Zachodzie zaś zastępowano ją określeniem *canon actionis,* co jasno sugeruje, że odnosi się do sposobu działania. Do dziś niektórzy liturgiści, mówiąc o Mszy, używają stwierdzenia „akcja liturgiczna”, chcąc powiedzieć o sposobach odprawiania Eucharystii. Anafora to zatem inne określenie na modlitwę eucharystyczną, czyli na modlitwy i czynności towarzyszące najważniejszemu momentowi Mszy. Pochodzi ono z greki, a dosłownie oznacza „podniesienie”, „ofiarowanie”, „uniesienie darów”. Źródłowe znaczenie słowa anafora sugeruje więc, że to taka część Mszy, w której następuje przeistoczenie, a więc przyniesione chleb i wino ofiaruje się Bogu, On je przemienia, a potem kapłan, unosząc, pokazuje je ludziom. Co ważne, anafora sama w sobie nie jest wydarzeniem zbawczym, ale stanowi osłonę Bożego działania (nieskończenie ją przekraczającego) w postaci ludzkich słów i znaków.

Kolejną nazwą stosowaną na określenie modlitwy eucharystycznej jest misterium eucharystyczne. To wyrażenie szczególnie zwraca naszą uwagę na duchową stronę Eucharystii, nie tylko zaś na jej aspekt praktyczny, czyli to, jakie gesty wykonujemy lub jakie słowa mówimy. Niestety czasem, gdy słyszymy słowo „misterium” kojarzy się nam ono z pewnego rodzaju tajemnicą. I choć rzeczywiście dosłownie tak się je tłumaczy, to

w kontekście Mszy chodzi o coś innego. Historycznie da się oczywiście wyjaśnić przyczyny błędnego rozumienia tego określenia, ponieważ przez długi czas kapłan wypowiadał słowa przeistoczenia po cichu. Nie robił jednak tego, by coś ukryć przed ludźmi, ale z szacunku wobec wagi i wielkości tych słów. Prawdopodobnie więc z tego cichego wypowiadania słów konsekracji zrodziło się chybione rozumienie tej nazwy. Jej prawdziwe znaczenie odsłania się, gdy na przykład zestawi się je ze znanymi nam wyrażeniami Misterium Bożonarodzeniowe albo Misterium Męki Pańskiej, czyli nazwami nabożeństw, których zadaniem jest ukazywanie wiernym, co wydarzyło się w Boże Narodzenie lub podczas męki Chrystusa. Idąc tym tropem, misterium eucharystyczne to nie tyle tajemnica (choć oczywiście jednocześnie też, ponieważ nigdy w pełni nie zrozumiemy Mszy), ale przede wszystkim ukazywanie tego, co się na niej wydarza w postaci gestów i słów. Misterium to zatem bardziej odkrywanie niż ukrywanie, to próba opowiedzenia tajemnicy w znakach i modlitwach.

Czwartą, najbardziej powszechną nazwą tej części Mszy, jest wielokrotnie już wymieniana modlitwa eucharystyczna. Dziś raczej nie mówi się kanon, anafora, czy misterium (choć te nazwy są oczywiście poprawne i dozwolone), ale po prostu modlitwa eucharystyczna. Jest ona absolutnie centralną częścią Mszy. Jasne, że inne części, takie jak na przykład Liturgia Słowa Bożego, są również niezwykle istotne, gdybyśmy jednak mieli szukać punktu kulminacyjnego Mszy, to jest nim właśnie modlitwa eucharystyczna.

Jak na pewno każdy z nas zauważył, Kościół używa obecnie w liturgii kilku formularzy modlitwy eucharystycznej. Co ciekawe, u początków chrześcijaństwa, gdy struktura Mszy Świętej dopiero się kształtowała, nie było jednego ściśle ustalonego sposobu jej sprawowania. Niezmienne od zawsze były oczywiście słowa konsekracji, czyli te, które Pan Jezus

wypowiedział podczas Ostatniej Wieczerzy do apostołów, a które my do dziś powtarzamy, natomiast cała obudowa tego tekstu na przestrzeni wieków znacząco się zmieniła. Początkowo odprawiano Mszę na podstawie dziesiątków lub nawet setek różnych obowiązujących formularzy.

Pewna zmiana w tym temacie nastąpiła w okresie Soboru Trydenckiego. Postanowiono nieco to wszystko uporządkować, ponieważ na przestrzeni lat pojawiło się w liturgii również wiele heretyckich tekstów, które nie oddawały prawdy o tym, czym jest Eucharystia. Sobór Trydencki zdecydował się na wybranie jednego formularza, który do dziś znamy pod nazwą Kanon Rzymski lub Pierwsza Modlitwa eucharystyczna. Od tego soboru w całym Kościele zaczął obowiązywać tylko jeden sposób odprawiania Mszy. Oczywiście nie obyło się bez wyjątków dla różnych obrządków czy wspólnot, ale generalnie formuła była wszędzie taka sama.

Ten stan tekstów liturgicznych zreformował Sobór Watykański II, przywracając wielość rodzajów modlitw eucharystycznych (rzecz jasna, w rozsądnych ramach), i w związku z tym dziś mamy *de facto* cztery obowiązujące sposoby sprawowania tej części Mszy. Pierwszym z nich jest oczywiście już wspomniany Kanon Rzymski, będący najdłuższą, ale jednocześnie niesamowicie piękną formułą. Ma ona charakter bardzo tradycyjny, wręcz starodawny i cechuje się pewną litanijnością, ponieważ zawiera wiele fragmentów przywołujących świętych czy aniołów.

Druga Modlitwa eucharystyczna to formuła bardzo często używana w kościołach. Być może dzieje się tak, ponieważ jest najkrótszą z modlitw. Jest to bardzo stara formuła, która została odświeżona przez Sobór Watykański II, a wcześniej wydobyta z tak zwanego Kanonu Hipolita Rzymskiego, powstałego w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Według mnie jest to bardzo piękny tekst, który w niezwykły, a jednocześnie prosty, wręcz oszczędny, sposób opowiada o zbawieniu.

Trzecia i Czwarta Modlitwa eucharystyczna to teksty także pochodzące ze starożytnych źródeł. Trzecia została sformułowana na podstawie anafory świętego Jana Chryzostoma, czwarta zaś w oparciu o anaforę świętego Bazylego. Dawniej bowiem niektórzy biskupi (w tym Jan Chryzostom i Bazyli) mieli własne formularze Mszy Świętej, oczywiście poprawne dogmatycznie. Kościół więc w dobie reform soborowych wykorzystał te teksty, odpowiednio je modyfikując oraz dostosowując ich formę i język, a w rezultacie stworzył obecnie obowiązujące modlitwy.

Gdy widzimy taką mnogość modlitw eucharystycznych, może pojawić się w nas pytanie: „Dlaczego jest ich kilka? Nie wystarczyłaby jedna?”. Otóż uczciwie trzeba przyznać, że żadna modlitwa eucharystyczna, również trydencki Kanon Rzymski, nie obejmuje wszystkich tajemnic Eucharystii, czyli nie jest w stanie w pełni opisać i wyrazić tego, co dzieje się w tym sakramencie. Każda z modlitw eucharystycznych pokazuje zatem inny aspekt tajemnicy Liturgii Mszy Świętej, ukazuje ją od innej strony, dlatego warto (to podpowiedź oczywiście dla księży) używać wszystkich czterech.

Oprócz tych wymienionych podstawowych modlitw istnieje w mszale (według mnie nieszczęsna) Piąta Modlitwa eucharystyczna. Ona oczywiście jest teologicznie poprawna, natomiast pod względem językowym została napisana fatalnie. Przyznam szczerze, że tylko raz w życiu odprawiałem Mszę według tej formuły. Jest to tekst, który powstał w kontekście kościoła francuskojęzycznego, dokładnie w Szwajcarii, w związku z czym kładzie on mocny nacisk na społeczny wymiar Kościoła i jego zaangażowania w świecie. O samej tajemnicy dzieła Chrystusa, o Jego krzyżu i zmartwychwstaniu jest niewiele powiedziane, co uważam za spore zaniedbanie, ponieważ właśnie to stanowi sedno tego sakramentu.

Co ważne, w mszale rzymskim mamy dostępne także dwie modlitwy eucharystyczne o tajemnicy pojednania. To piękne teksty, które szczególnie

eksponują ten aspekt dzieła Pana Jezusa, który odnosi się do Jego męki i zmartwychwstania jako mocy zaprowadzającej pokój na świecie. Pierwszej lub Drugiej Modlitwy eucharystycznej o tajemnicy pojednania używa się często podczas liturgii, na których modlimy się o nasze pojednanie z Bogiem, czyli o wyjście z grzechów, lub też, gdy powierzamy Panu Bogu sprawę pokoju między ludźmi, między zwaśnionymi narodami, rodzinami czy małżonkami.

Oprócz tych wszystkich formularzy istnieją jeszcze trzy rodzaje modlitwy eucharystycznej przeznaczone na Msze z udziałem dzieci. Według mnie jednak są to teksty zupełnie do wyrzucenia. Dlaczego? Nie dlatego, że mam coś przeciwko organizowaniu Mszy dla dzieci, ale ponieważ są one napisane infantylnym językiem, który jest niegodny tych tajemnic. Dziecięcym językiem można tłumaczyć maluchom różne prawdy teologiczne na katechezie, jednak zupełnie nie nadaje się on do liturgii. Z tych infantylnych modlitw dzieci niewiele się dowiadują, a przy tym niestety uczą się niepoważnego, dziecinnego (nie dziecięcego) podejścia do Pana Boga. Zresztą z tego, co mi wiadomo, prawdopodobnie te formularze zostaną usunięte z nowej wersji mszału.

# ROZDZIAŁ 19

# Prefacja

Prefacja to formuła rozpoczynająca modlitwę eucharystyczną. Dosłownie wyraz *prefacio* oznacza „przedmowę”, czyli coś, co wygłasza się przed czymś ważniejszym, w tym przypadku przed słowami przeistoczenia. Prefacja więc wprowadza nas w tajemnicę, która za chwilę wydarzy się na naszych oczach. W starożytności przedmowy były bardzo istotną formą retoryczną. Wygłaszali je na przykład w starożytnym Rzymie urzędnicy, zapowiadając coś publicznie przed zgromadzonymi ludźmi. Podobnie dzieje się mszalnej prefacji — kapłan staje przed zebranym ludem i wprowadza go w misterium, które się wydarzy.

Prefacja, która nie jest przemówieniem, a modlitwą wyjaśniającą, składa się z kilku części. Najpierw jest dialog wstępny, po nim dłuższa część narracyjna, zaczynająca się od słów *Zaprawdę godne to i sprawiedliwe…*, następnie zaś pojawia się formuła kończąca. Można więc w uproszczeniu powiedzieć, że prefacja ma strukturę dość klasyczną, złożoną ze wstępu, rozwinięcia i zakończenia, co według definicji liturgicznych określa się następującymi nazwami: protokół, embolizm i eschatokół.

Wszystko zaczyna się od dialogu wstępnego, w którym padają słowa:

Kapłan: *Pan z wami.*

Wszyscy: *I z duchem twoim.*

Kapłan: *W górę serca.*

Wszyscy: *Wznosimy je do Pana.*

Kapłan: *Dzięki składajmy Panu Bogu naszemu.*

Wszyscy: *Godne to i sprawiedliwe.*

Myślę, że to jeden z najpiękniejszych dialogów, jakie istnieją na świecie. Jak widać, ma on trzy części. Pierwsza z nich, znana już nam z początku Eucharystii, jest kolejnym przypomnieniem, że Bóg jest z nami. Kościół nieustannie podczas Mszy zapewnia nas i przekonuje, że Bóg jest pomiędzy nami, że działa w swoim ludzie i czyni to przez ręce wybranych kapłanów. Skoro jesteśmy już przy prefacji, czyli po Liturgii Słowa, i musimy zabrać się za kolejne wielkie dzieło, zatem potrzebujemy znów usłyszeć w swoich sercach i od siebie nawzajem, że jest z nami Bóg. Kapłan również potrzebuje sobie to przypomnieć, dlatego znów mówimy mu: „Bóg jest i z tobą, w twoim działaniu”.

Kolejna wymiana zdań w dialogu prefacji to według mnie jedna z największych petard tej modlitwy. Chodzi oczywiście o słowa: *W górę serca*. Nie jest to bowiem tylko proste wezwanie: „Podnieśmy się do góry, odwagi”, ale coś znacznie głębszego. W czasie, gdy powstawały te teksty, a także w ujęciu biblijnym (którym to jest przecież nasycona Eucharystia), serce to coś zupełnie innego niż synonim uczuć i miłości, jak to dziś kojarzymy. Często, gdy mówimy, że ktoś patrzy sercem, to mamy na myśli, że bardziej kieruje się emocjami niż intelektem. W Biblii natomiast serce to tak naprawdę dusza, czyli największa głębia człowieka, najskrytsza jego istota i najpełniejsza tożsamość. W tym krótkim dialogu kapłan zachęca nas, byśmy całych siebie, wszystko, co posiadamy i czym jesteśmy, podnieśli do Boga. Gdy odpowiadamy: *Wznosimy je do Pana*, zgadzamy się na to, by nawet najgłębsze pokłady swojego istnienia wznieść ku Panu Bogu.

Dlaczego tak mocne zdanie pada właśnie w tym momencie? Ponieważ jest to chwila poprzedzająca tę część Mszy Świętej, w której mamy doświadczyć największego działania Bożego, Jego zbawienia. Tą modlitwą chcemy się jak gdyby przenieść do tego, co się stało na krzyżu i w zmartwychwstaniu Jezusa, a może raczej prosimy Boga, by uobecnił te wielkie dzieła pośród nas. Tymi słowami wyrażamy, że pragniemy uczestniczyć w zbawieniu, którego dokonał Chrystus, i że chcemy, by ono ogarnęło całe nasze życie. Przyznam szczerze, że uwielbiam mówić na Eucharystii słowa *W górę serca*, bo w mojej głowie one brzmią: „Chodźmy wszyscy cali do Pana”.

O niezwykłej głębi tych słów pisał też kiedyś nasz dominikański mistyk z XIV wieku, błogosławiony Henryk Suzo. Należy on do najwybitniejszych przedstawicieli tak zwanej nadreńskiej szkoły modlitwy. Komentując ten element dialogu wstępnego w prefacji, zaznacza, że wznoszenie serca do Boga to podnoszenie do Niego całego swojego życia i swej najgłębszej istoty. Człowiek zaś jest reprezentantem całej natury i w jej imieniu zwraca się do Stwórcy. W związku z tym, że błogosławiony Henryk był mistykiem, jego język był dość specyficzny, mimo to myślę, że warto zobaczyć, jakimi słowami on sam opisywał apostrofę *W górę serca*.

> *Gdy wołałem „W górę serca”, to wewnętrznym spojrzeniem ogarniałem siebie samego we wszystkim, czym jestem, z ciałem, duszą i wszystkimi moimi władzami, a następnie stawiałem przy sobie wszystkie stworzenia, które Bóg umieścił w niebie i na ziemi, we wszystkich czterech pierwiastkach. Każdy z osobna i po imieniu, a więc: ptaki powietrzne, leśne zwierzęta, ryby w wodzie, liście i trawy na ziemi, nieprzeliczone ziarnka piasku w morzu, nadto wszystkie pyłki migocące w słońcu, kropelki wody, te z rosy śniegu czy deszczu, które kiedykolwiek spadły na ziemię, i życzyłem sobie,*

*żeby każda z tych rzeczy wydawała słodkie, przejmujące akordy, wychodzące z najgłębszych pokładów mojego serca i żeby w ten sposób wiecznie rozbrzmiewał nowy, podniosły hymn pochwalny na część najmilszego i najłaskawszego Boga. Potem rozwierały się radośnie i szeroko ramiona mojej wezbranej miłością duszy i wyciągały się ku tym niezliczonym stworzeniom. A jak kierownik chóru, sam pełen zapału i uniesienia, innych porywa do śpiewu, tak i ja pragnąłem wszystkich rozradować, by śpiewali z weselem i ofiarowali Bogu swoje serca. Sursum corda, czyli w górę serca.*

Dla mnie ten tekst Henryka Suzo jest przepiękny, ponieważ pokazuje, że kapłan staje na Mszy z całym światem: z ptakami, z rybami, z innymi zwierzętami, z kropelkami rosy, z pyłkami oświetlonymi słońcem, zagarniając cały świat rozłożonymi w geście oranta rękami, i mówi: „A teraz to wszystko do Boga". Gest rozłożenia rąk, który w tym czasie wykonuje kapłan, oznacza właśnie to zagarnianie świata i podnoszenie go ze wszystkim do Boga. Gdy sprawuję Mszę, to choć nie ma tego zapisanego w żadnym mszale lub rytuale, to na słowa *Pan z wami* zawsze staram się ogarnąć wzrokiem wszystkich obecnych w kościele, a potem, wypowiadając *W górę serca*, podnoszę ręce do góry, wyrażając pragnienie, byśmy wszyscy i ze wszystkim w nas znaleźli się w Bożych rękach. Spróbujmy więc potraktować ten dialog jak wezwanie, niech on nas porwie, byśmy dali się cali unieść ku Bogu.

Trzecie wezwanie dialogu wstępnego opowiada zaś o tym, że godnym i sprawiedliwym jest to, żebyśmy składali Bogu dziękczynienie. Również tego zdania nie możemy pominąć w przeżywaniu Mszy, ponieważ ono uświadamia nam, że wszystko, co mamy, co możemy do Boga wznieść, cały świat, który podnosimy w tej modlitwie ku Bogu, pochodzi od Niego. Jemu więc należą się dzięki za to, że w ogóle możemy być w tym miejscu

i to wszystko robić, bo to On dał nam tę łaskę, więc naszą najbardziej adekwatną postawą jest po prostu wdzięczność.

Po wstępnej wymianie zdań kapłana i ludu Bożego następuje część właściwa prefacji, która dzieli się na trzy, wspomniane już elementy. Protokół, czyli wstęp, to zawsze potwierdzenie, w którym kapłan powtarza, że rzeczywiście godnym i sprawiedliwym jest to, że w tym miejscu stoimy i wielbimy Boga, ponieważ On jedyny jest godny uwielbienia.

Drugi element, zwany embolizmem, jest opowiedzeniem tajemnicy danego dnia. Jeśli Msza odprawiana jest w dzień powszedni, to embolizm dotyczy po prostu zbawienia bez dodatków związanych ze wspominaniem jakiegoś świętego lub przeżywanej danego dnia tajemnicy wiary. We współczesnych księgach liturgicznych mamy dziewięćdziesiąt siedem różnych wariantów tej środkowej części prefacji. I choć liczba może wydawać się zawrotna, to dawniej było ich znacznie więcej. Na przykład w jednym z najstarszych kanonów eucharystycznych znaleziono około trzystu prefacji, co oznacza, że prawie codziennie była używana inna. Kościół posiada więc mnóstwo embolizmów, w których w różny sposób opowiada o tym, jak do nas przychodzi zbawienie oraz przez co może być nam dane. Wspólną i absolutnie kluczową cząstką wszystkich wersji prefacji jest fragment mówiący o tym, że to wszystko wydarzyło się przez Chrystusa, bez Niego bowiem żadna tajemnica zbawienia i nic, co jest w nas, nie miałyby sensu.

Na koniec więc, jako trzeci element właściwej prefacji, pojawia się tak zwany eschatokół, którego nazwa pochodzi od greckiego wyrażenia *eschaton*, czyli „koniec”. W tych słowach kapłan zapowiada, że w związku z tym wszystkim, co usłyszeliśmy przed chwilą o zbawieniu, będziemy zaraz śpiewać ze świętymi i aniołami pieśń uwielbienia. I choć może nam się wydawać, że jest to tylko zgrabne wprowadzenie do hymnu *Sanctus*, to

jednak okazuje się, że tymi słowami kapłan otwiera nam przed oczami zawrotną perspektywę. Ten moment Eucharystii odsłania prawdę, że w rzeczywistości bierze w niej udział całe niebo. Niektórzy nawet twierdzą, że właściwa Msza dzieje się tak naprawdę w niebie, a my tylko na chwilę otrzymujemy dostęp do tych wydarzeń, co oznaczałoby, że Eucharystia jest jakby otwartym oknem do nieba. Ostatni element prefacji, interpretowany w tym kluczu, to modlitwa prośby, byśmy mogli dołączyć do chóru wszystkich świętych i aniołów. Myślę, że to przepiękna interpretacja, którą warto mieć w sercu podczas Mszy. Gdyby bowiem nawet tak się zdarzyło, że na Eucharystię przyjdzie tylko jedna osoba lub nawet odprawia ją sam ksiądz, to i tak jest w nią zaangażowane całe niebo, i tak łączymy się w niej ze wszystkimi zastępami aniołów i ludźmi, którzy już są z Bogiem.

# ROZDZIAŁ 20

# „Święty, Święty, Święty”

Po prefacji a przed właściwą modlitwą przeistoczenia ma miejsce hymn *Sanstus*, który, choć jest bardzo krótkim śpiewem, kryje w sobie niezwykłą głębię treści. Co ciekawe, gdyby prześledzić dokładnie zdania pojawiające się w nim, okazuje się, że jest on zlepkiem dwóch hymnów, które w historii Kościoła podczas Mszy Świętej funkcjonowały osobno. Pierwsza część to hymn *Sanctus* (Święty), czyli słowa: *Święty, Święty, Święty, Pan Bóg zastępów, pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej*, druga zaś to *Benedictus* (Błogosławiony): *Hosanna na wysokości! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie*. Zarówno pierwszy, jak i drugi hymn to bardzo stare teksty. *Sanctus* pojawił się w liturgii już koło IV wieku, natomiast wersja, która do dziś jest śpiewana w kościołach, to zasadniczo mniej więcej VIII-IX wiek.

Nie bez znaczenia jest fakt, że hymn *Sanctus* pojawia się w liturgii po prefacji, jak pamiętamy, kończącej się otwarciem okna na to, co się dzieje w niebie, czyli po zaproszeniu do wzięcia udziału w liturgii niebiańskiej. Pierwsza część hymnu *Sanctus* została bowiem zaczerpnięta z Biblii — z psalmów oraz z szóstego rozdziału Księgi Izajasza, gdzie prorok opowiada dokładnie o tym, co dzieje się przed Bożym tronem. Tam właśnie z ust serafinów pada potrójne zawołanie „Święty”, czyli – *święty, święty, święty, sanctus, sanctus, sanctus*, tak zwany *trisagion*, potrójne wyrażenie świętości Boga. W widzeniu Izajasz zostaje powołany do swojej życiowej

misji, ale najpierw Bóg ukazuje mu swoją chwałę, która całkowicie wypełnia świątynię, a potem i ziemię. To potrójne imię Boga wyśpiewane przez aniołów dziś możemy interpretować jako odniesienie do Trójcy Świętej. I choć w Starym Testamencie Trójca nie była *explicite* objawiona, nie nazwano jej poszczególnymi imionami Ojca, Syna, Ducha, to już wtedy aniołowie, doskonale wiedząc, że jest ich Trzech choć Jeden, śpiewali potrójność Tego Świętego.

Tym hymnem modlono się już w starożytności w liturgii żydowskiej. Co ciekawe, Żydzi nie mają w swoim języku stopniowania przymiotników, więc nie mogą powiedzieć, że ktoś jest święty, ktoś inny świętszy, a Bóg najświętszy. W hebrajskim stopniowanie dokonuje się przez powtórzenia. Jeżeli więc jakiś Żyd mówi, że coś jest „piękne, piękne", to znaczy, że według niego jest to piękniejsze. Potrójne podniesienie, czyli potrójne powtórzenie tego samego słowa, zastępuje natomiast najwyższy stopień przymiotnika, który w żydowskim myśleniu właściwy jest tylko Bogu. *Trisagion*, potrójne „święty", oznacza zatem z jednej strony świętość przekraczającą wszelkie inne znane nam świętości, po drugie zaś jest właściwe jedynie Bogu, ponieważ Jego świętość jest zupełnie inna niż nasza.

Hebrajskie słowo „święty" to *kadosz*. Pod względem lingwistycznym jest ono onomatopeją, inaczej wyrazem dźwiękonaśladowczym, czyli takim słowem, które przekazując jakieś znaczenie, jest także nośnikiem dźwięku obrazującego jego treść. W tym wypadku określenie *kadosz*, gdy prawidłowo wypowiada je Żyd, swoim brzmieniem przypomina grzmiące pioruny. Z Biblii zaś wiemy, że właśnie ten dźwięk kojarzył się narodowi wybranemu ze świętością Boga, który objawiał się wśród grzmotów na Synaju i który przychodził przez różne nadprzyrodzone zjawiska. Hymn *Sanctus* pojawiający się na Mszy jest więc sygnałem, że wchodzimy w coś

absolutnie nas przewyższającego, czego nie jesteśmy w stanie dosięgnąć i pojąć.

Z tą odrębnością Boga łączy się jeszcze inne znaczenie słowa *kadosz*, które można przetłumaczyć nie tylko jako „święty”, ale także „inny”. Zatem gdy aniołowie śpiewają *Święty, Święty, Święty*, to jednocześnie mówią: „Inny, Inny, Inny niż wszystko, co znacie”. Bardzo potrzeba nam zapamiętać, że gdy kończy się prefacja i nagle z całym chórem niebiańskim i wszystkimi świętymi śpiewamy *Święty*, to jest to taki moment, gdzie liturgia jakby „wyrzuca nas w kosmos”, w rejony, których nigdy nie pojmujemy. Zbliżamy się do Boga, który wszystko przekracza.

Jak zachować się wobec tego ogromu i tej niezwykłości? Tu z pomocą przychodzi nam prorok Izajasz, który kiedyś znalazł się w takim samym położeniu. On stanął przed Bogiem i wyznał szczerze, że jest niegodny być w miejscu chwały Bożej. W taki sposób powinniśmy nastroić nasze serce, śpiewając *Sanctus*. Izajasz powiedział o sobie, że jest człowiekiem o nieczystych wargach, że nie ma takich ust, które byłyby godne śpiewać Bogu hymny. I w tym momencie, jak podaje Biblia, spotkała proroka przepiękna rzecz, ponieważ jeden z aniołów na polecenie Boga wziął żarzący się węgiel z ołtarza i oczyścił nim usta Izajasza. Na każdej Mszy przydarza nam się to samo. Stoimy przed niepojętą tajemnicą, która nas całkowicie przerasta, mamy świadomość tego, że jesteśmy niegodni i nie nadajemy się do śpiewania Bogu anielskich pieśni, ale Bóg mówi nam to samo: „Chodźcie, oczyszczę was”.

Po tych trzech, jakże pojemnych i głębokich słowach *Święty, Święty, Święty* następuje druga część hymnu śpiewanego przez aniołów, czyli *Pan Bóg zastępów*. To zaś nic innego jak kolejne, bardzo ważne imię Boga, które po hebrajsku brzmi *Jahwe Sabaoth*. Dosłownie oznacza ono „Pan tłumów”, „Pan armii”, „Pan wielkich zebrań”. Żydzi używali tego imienia

Boga szczególnie w kontekście walk, które toczyli z innymi narodami, by wezwać Bożej pomocy. Najbardziej znana z nich to pojedynek Dawida z Goliatem, opisany w Pierwszej Księdze Samuela, gdzie Dawid dosłownie przywołuje to imię Boga, mówiąc: *Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem, ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów, Boga wojsk izraelskich, którym urągałeś* (1 Sm 17, 45). Po ludzku Dawid nie miał żadnych szans na zwycięstwo, ale w związku z tym, że poszedł walczyć z całą mocą Pana Zastępów, czyli jego armią były wszystkie potęgi Boga przekraczające jakiekolwiek siły świata, tak naprawdę będące jedyną siłą we wszechświecie, Dawid był niepokonany. Kiedy więc przywołujemy jak Dawid to imię Boga w hymnie *Sanctus*, to koniecznie musimy pamiętać, że Bóg jest przy nas i działa także w naszych słabościach.

Gdy śpiewamy tę niezwykłą aklamację o Bożej świętości, dzieje się rzecz niezwykła, bo Boża chwała jak gdyby zstępuje na ziemię. Ona tylko początkowo wydaje się czymś niezwykle odległym, ale za chwilę jest już blisko naszych słabości, dotyka ich i chce w nie wejść. Tym sposobem hymn *Sanctus* wprowadza nas w przeistoczenie, czyli w ten szczególny moment, gdy chleb i wino stają się Ciałem i Krwią Chrystusa, gdy cała Boża potęga i Boże zbawienie jest obecne w tym jednym małym punkcie Ziemi, cały Bóg jest w chlebie i winie. Taki kierunek Bożego działania pokazują te dwa wersety hymnu *Sanctus* — najpierw otwiera się niebo, w którym roztacza się niesłychanie Boża świętość, a potem ta sama chwała wędruje do malutkiego Dawida, który jest nikim na tym świecie, rudym młodzieńcem, pasterzem trzód. Dla nas to cenna wskazówka, by szczególnie wtedy, gdy jesteśmy czymś w życiu znękani, gdy toczymy niszczące nas codzienne walki i przechodzimy straszne próby, uchwycić się tego niezwykłego imienia Boga, *Pan Bóg zastępów*, i w końcu uwierzyć, że Bóg jest po naszej stronie.

Pierwsza część hymnu *Święty* kończy się wersetem: *Pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej*. Tu również Kościół niezwykle poszerza naszą perspektywę, pokazując, że wszystko, co działo się w niebie, rozchodzi się na całą ziemię. Gdyby to sobie wyobrazić, to w tym hymnie dzieje się scena wręcz filmowa — otwiera się wielkie niebo, ono zstępuje na dół z całym swoim ogromem i rozlewa się na ziemię, która ostatecznie całkowicie jest wypełniona chwałą Bożą. Dla mnie to niewiarygodne, że w tak krótkim tekście ukryta jest tak niesamowita i niepojęta rzeczywistość, która się wydarza nawet, gdy Eucharystię sprawuje się w wiejskim kościele o siódmej rano, gdzie lud wierny stanowią cztery ledwo słyszące staruszki, a odprawia ją kulawy i łysy ksiądz.

Druga część hymnu *Święty* to tak zwane *Benedictus*. Co ciekawe, niektórzy teolodzy i liturgiści (w tym na przykład papież Benedykt XVI) twierdzą, że powinno się go jednak oddzielić od *Sanctus* i przenieść na moment po Komunii. Dlaczego? Ponieważ tak jak pierwsza część opowiada o otwieraniu się nieba i zstępowaniu Bożej chwały, tak ta druga mówi o przechodzeniu Bożej mocy i obecności na każdego człowieka, co w sumie dzieje się, gdy ten przyjmuje Boga pod postaciami chleba i wina. Taki zabieg wymagałby sporej reformy liturgicznej, być może dlatego ten pomysł póki co pozostaje bez echa, natomiast odsłania on istotę teologiczną słów mówiących o dotykaniu naszego życia Bożą chwałą.

Samo wyrażenie *Hosanna* dosłownie tłumaczy się jako „zbaw mnie, wybaw mnie, ratuj, wspomóż”. Gdy więc śpiewamy do Boga te słowa, zarazem prosimy Go, by tam gdzie przebywa, czyli *na wysokościach*, wybawił nas, by zstąpiło na nas wszystko, co dzieje się w Bogu. *Hosanna* to błagalno-uwielbiający krzyk do Pana Boga: „Wybaw mnie — tutaj jestem. Ratuj konkretnie mnie, bo bardzo potrzebuję Twojej pomocy!”. Wypowiadając zaś kolejne fragmenty hymnu, opowiadamy, jak to ma się

stać: *Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie*. Te słowa są oczywiście bezpośrednim nawiązaniem do wjazdu Pana Jezusa na osiołku do Jerozolimy, czyli do kulminacyjnego momentu Jego dzieła, gdy przybywa do Miasta Świętego, by tam przeżyć mękę, śmierć, a potem zmartwychwstać. Wołając do Boga słowami *Benedictus*, prosimy Boga: „Daj mi Chrystusa. Niech On przyjdzie do mnie, bo On jest Tym, który przychodzi w imię Pańskie”. Mamy więc do czynienia znów z zawrotną perspektywą, w której malutki człowieczek woła do Boga na wysokościach o ratunek, a dokładniej, by dał swojego Syna i On to rzeczywiście robi.

Słowa *Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie* mają jeszcze jeden ważny wymiar wynikający z faktu, że pojawiają się one w Biblii nie tylko w scenie wjazdu Jezusa do Jerozolimy, ale także w Apokalipsie. Są więc nie tylko wezwaniem, by Bóg dotknął życia pojedynczego człowieka, który uczestniczy w Eucharystii, ale posiadają także aspekt eschatologiczny. W ten sposób wyznajemy wiarę, że na końcu czasów, gdy Chrystus powróci w swej chwale, zamknie czas, odnowi ziemię i zrobi porządek z całym złem tego świata.

Na koniec zaś zachęta z mojej strony, by tego króciutkiego hymnu *Sanctus* zwyczajnie na Mszy nie przegapiać. Wiem, że czasem warunki są mało sprzyjające, bo organista zagra jakąś szybką lub nieznaną melodię i łatwo jest przegapić treść. Mimo to jednak warto skupić się na tym niepozornym hymnie, by jak najpełniej przyjąć to, co on niesie: tego świętego trzykrotnie Boga, szum Jego imienia podobny do grzmotu piorunów, tę Jego inność totalnie przekraczającą wszystko, co znamy, a potem Jego chwałę z całą mocą wyśpiewaną przez zastępy aniołów i świętych, tę moc napełniającą najpierw niebiosa, a następnie rozlewającą się na naszą maleńkość i cały świat wokół, na końcu zaś Jego ratunek,

którym jest Chrystus przychodzący z wysoka na ziemię i który kiedyś powróci, by znów wszystko odnowić.

# ROZDZIAŁ 21

# Epikleza

Po hymnie *Sanctus* pojawiają się jeszcze trzy elementy będące niejako przejściem (choć bardzo ważnym) do przeistoczenia. Pierwszym z nich jest modlitwa postsanctum, która jest odpowiedzią na wcześniej wyśpiewany hymn. Może ona brzmieć na przykład: *Zaprawdę święty jesteś, Boże, źródło wszelkiej świętości*. Te słowa potwierdzają wiarę Kościoła w to, co przed chwilą zostało powiedziane o Bogu i Jego działaniu w hymnie *Sanctus,* i jednocześnie są ponownym wyznaniem, że chcemy doświadczyć tej Bożej świętości, chcemy, by Bóg wciągnął nas w swoją chwałę i by dał nam w niej udział.

Po tej modlitwie w niektóre dni, a dokładniej w niedziele i uroczystości, kapłan wypowiada formułę zwaną wspomnieniem tajemnicy dnia, która lokalizuje sprawowaną Eucharystię w czasie liturgicznym. I tak na przykład w niedzielę wspomnienie opowiada o tym, że tego dnia Chrystus zmartwychwstał i zesłał na apostołów Ducha Świętego, w Boże Narodzenie zaś o tym, że tego dnia z Dziewicy Maryi narodził się Zbawiciel, w Wielkanoc o tym, że to jest właśnie ten dzień, gdy Chrystus, złamawszy więzy śmierci, wyszedł zwycięsko z grobu, w Przemienienie o ukazaniu się Jezusa w chwale, a w święta Maryjne o wydarzeniach z życia Matki Bożej. Mówiąc krótko, chodzi o stanięcie w konkretnym czasie i w ściśle

określonej tajemnicy. W dzień powszedni nie pojawia się ta formuła, tylko od razu następuje przejście do epiklezy.

Epikleza to niezwykle istotna modlitwa, która pojawia się na Mszy dwukrotnie. Pierwszy raz przed przeistoczeniem i w związku z tym zwana jest epiklezą konsekracyjną, a drugi raz po przeistoczeniu, więc analogicznie nosi ona nazwę epikleza pokonsekracyjna lub komunijna. *Epikaleo* po grecku oznacza dosłownie „wołać, przywoływać kogoś". Obydwie te modlitwy są więc dosłownie przywołaniem oczywiście nikogo innego jak tylko Ducha Świętego, by zstąpił i swoją mocą zdziałał to, co ma się wydarzyć. Epikleza to taki moment, gdy kapłan wyciąga ręce nad przygotowanymi darami i modli się o przemianę chleba w Ciało i wina w Krew. Co ważne, wyciąganie rąk nad kimś lub nad czymś to starożytny gest proszenia o Ducha Świętego. Zarówno w Starym, jak i w Nowym Testamencie jest opisanych mnóstwo sytuacji, gdy gest wyciągniętych rąk oznacza przywoływanie łaski i Bożego uświęcenia. Podczas epiklezy konsekracyjnej kapłan wyciąga więc dłonie nad darami i prosi Ducha Świętego, by swoją mocą dokonał istoty Eucharystii. Dlaczego? Ponieważ kapłan sam w sobie nie ma żadnej mocy, żeby tego dokonać. Rzeczywiście posiada sakrament święceń prezbiteratu i w zgromadzeniu prawdziwie jest tym, który został wybrany do sprawowania tych tajemnic, ale nie ma takiej mocy, by na jego widzimisię chleb i wino przemieniły się w Ciało i Krew. Duch Święty musi przyjść do tych darów, przyjść do kapłana, w nim zadziałać, by dokonało się przeistoczenie. Bez Ducha Świętego nie ma Eucharystii.

Dawniej w Kościele ściśle ustalano, jak kapłan powinien wyciągać ręce nad darami podczas epiklezy. W starożytności robiło się to na przykład w taki sposób, że celebrans łączył dłonie ze sobą, a pod spodem kciuki układał w znak krzyża, co miało oznaczać moment ocienienia tych darów.

W połączeniu z męką i zmartwychwstaniem Jezusa oraz z geograficznym kontekstem upalnej Palestyny ten gest zamknięcia darów w cieniu dłoni symbolicznie tłumaczono, że tak jak cień daje wytchnienie, tak dzieło Chrystusa wydarzające się na Mszy daje perspektywę prawdziwego odpoczynku duszy w Bogu. Warto zatem, kiedy kapłan wyciąga dłonie nad darami, duchowo wejść pod dłonie Boga i uświadomić sobie, że za chwilę w tym, co wydarzy się na ołtarzu, zostaniemy zbawieni, czyli wprowadzeni do Bożego odpoczynku. Dłonie kapłana wyciągnięte nad darami podczas Mszy to dłonie Boga, który chce cały świat osłonić swoim cieniem, swoją ochłodą, swoim odpoczynkiem, a wszystko to dzieje się oczywiście w mocy krzyża Jezusa.

O delikatności Bożego działania mówi też sama modlitwa epiklezy, która w łacińskim oryginale brzmi nieco inaczej niż w naszym polskim tłumaczeniu. Gdy bowiem padają słowa o tym, by Duch Święty zstąpił na te dary, po łacinie w Drugiej Modlitwie eucharystycznej, tej najstarszej, pojawia się biblijne wyrażenie, by Duch Święty spuścił swoją rosę, by ona spadła na dary. Znów warto więc zauważyć, że skoro ta modlitwa powstała w regionach geograficznych, gdzie na co dzień jest bardzo gorąco, rosa jest czymś zupełnie innym niż tam, gdzie wody nie brakuje. Za tymi słowami kryje się więc przepiękna prawda, że my przypominamy spieczoną i wyschniętą ziemię, która potrzebuje nawilżenia, pomocy i nowego życia, więc wołamy w epiklezie: „Duchu Święty, daj życie temu światu” i Bóg to robi, nawilża swoją rosą cały świat.

Podczas epiklezy wszyscy wierni obecni w kościele powinni klęczeć, ponieważ jest to modlitwa błagalna, w której bezpośrednio wołamy do Ducha, by zstąpił i uświęcił, przemienił przyniesione dary. To jest najdonioślejszy moment Eucharystii, w którym wydarza się jej istota, dlatego naszą postawą powinno być zupełne uniżenie. W wielu kościołach

tuż przed epiklezą rozlega się dźwięk dzwonków, które są sygnałem rozpoczęcia tej modlitwy. Przyznam szczerze, że według mnie dzwonki to dość niefortunna praktyka, z której powinno się zrezygnować, ponieważ wprowadza ona spore zamieszanie i tym sposobem odwraca uwagę od najważniejszego. W dużej mierze winni są niestety księża, którzy od razu, jak tylko skończą modlitwę postsanctum, wyciągają ręce i modlą się epiklezą, w tym samym czasie zaś ministranci dzwonią, ludzie klękają, co powoduje, że nikt oprócz księdza nie słyszy wołania o Ducha Świętego. Nic nie zaszkodzi chwilę poczekać, zrobić krótką przerwę, aż się wszystko uspokoi i zapanuje cisza, by wtedy prawdziwie wybrzmiały słowa epiklezy. Wtedy każdy, nie tylko ksiądz, ma szansę modlić się w duchu: „Ojcze Niebieski, poślij Ducha, żeby zstąpił teraz na te dary i żeby zrobił z tych darów Eucharystię, bo my tego nie potrafimy, nie mamy takiej mocy w sobie”.

Na koniec tego rozdziału małe dopowiedzenie, będące odpowiedzią na pytanie: skąd w ogóle wzięły się dzwonki w tej części Mszy? Otóż ich pojawienie się wynikało z pewnej, skądinąd złej, sytuacji, gdy w Kościele trochę podupadła duchowość eucharystyczna i ludzie nie przychodzili na całe Msze, tylko na sam moment konsekracji. Gdy zbliżała się ta część liturgii, uruchamiano dzwony kościelne, by ludzie zdążyli zejść się z całej wioski do świątyni na przeistoczenie. Gdy ktoś słyszał bijący dzwon, myślał: „O! Zaraz będzie konsekracja, zbieram się do kościoła”. Potem, gdy pobożność nieco wzrosła, zaprzestano takiej praktyki, zachowano jednak dzwonki w kościele, które również stały się sygnałem dla stojących w tyle lub średnio zorientowanych w temacie chrześcijan, kiedy klękać, a kiedy wstawać. Często niestety tak się zdarzało, że ludzie podczas Mszy odmawiali inne modlitwy, więc dzwonki były sygnałem, by je przerwać i chwilę posłuchać tego, co dzieje się przy ołtarzu. Dziś dzwonki nie mają

już sensu (choć oczywiście ich używanie nie jest zabronione), ponieważ nagłośnienie w kościołach pozwala usłyszeć, kiedy dzieją się poszczególne części Mszy, zresztą wierni uczestniczący w Eucharystii raczej wiedzą, kiedy klękać. Przyznam szczerze, że osobiście nie cierpię dzwonków i cieszę się, że w naszych dominikańskich kościołach ich już nie ma. Znakiem sygnalizującym konieczność przyklęknięcia powinny być dla nas wyciągnięte ręce kapłana, a nie jakieś dzwonki.

# ROZDZIAŁ 22

## Jak dokonuje się przeistoczenie?

W tym rozdziale, zanim przejdziemy do omówienia słów i gestów towarzyszących przeistoczeniu, chciałbym zrobić mały wykład teologiczny dotyczący tej tajemnicy, a dokładnie tego, jak Kościół katolicki rozumie przemianę chleba i wody w Ciało i Krew Pan Jezusa, zwaną też transsubstancjacją.

Otóż sama nazwa „transsubstancjacja” oznaczająca przeistoczenie wzięła się ze złożenia dwóch łacińskich wyrazów *trans*, czyli „przez”, oraz *substantia*, czyli „substancja” lub „istota”, których połączenie pokazywało, że w tym sakramencie dokonuje się jakieś przejście, jakaś zmiana istoty. Aby jednak to lepiej zrozumieć, potrzeba koniecznie sięgnąć do historii Kościoła, szczególnie do dziejów teologii, a także do filozofii, ponieważ w związku z tym, że przeistoczenie jest rzeczywistością niemożliwą do ogarnięcia przez ludzki umysł, to Kościół, jednak próbując wyjaśnić tę tajemnicę, posługuje się pewnego rodzaju konstruktem teologiczno-filozoficznym.

Przede wszystkim trzeba wiedzieć, że w Kościele katolickim bardzo mocno wierzymy, od samego początku i w tej kwestii przez ponad dwadzieścia wieków chrześcijaństwa nic się nie zmieniło, że na Eucharystii jest rzeczywiście obecny Pan Jezus, w swoim Ciele i w swojej Krwi. Nie są to symbole ani też znaki albo jakieś przypowieści, ale niezachwiana

prawda, że On tam jest. Oczywiście Jego obecność pozostaje dla nas tajemnicą, ale jednocześnie wyznajemy, że ona jest prawdziwa. Dlatego po tym, jak Duch Święty działający przez ręce kapłana dokona przeistoczenia, padają słowa: *Oto wielka tajemnica wiary*. Tak jakby celebrans chciał powiedzieć: „Tu na ołtarzu wydarzyło się coś, czego nie pojmuję, ale to jest prawdziwe”.

Mimo że transsubstancjacja nigdy nie przestała i nie przestanie być dla nas tajemnicą, Kościół od wieków, używając porządku pojęć filozoficznych, próbuje wytłumaczyć, jak to się dzieje, że chleb i wino stają się Ciałem i Krwią, choć nadal są chlebem i winem, bo smakują, wyglądają i mają takie same właściwości jak chleb i wino. Całe to szukanie wyjaśnień zaczęło się mniej więcej w XI wieku, kiedy to zaczęto kwestionować istniejącą od dziesięciu wieków wiarę w realną obecność Pana Jezusa w Eucharystii. W tym czasie pojawili się teolodzy, którzy twierdzili, że wszystko dzieje się tylko symbolicznie, więc Kościół zaczął szukać pojęć, by opisać tę prawdę wiary. Spore zasługi na tym polu miał nasz współbrat, święty Tomasz z Akwinu, ale oczywiście jego dzieła o przeistoczeniu wyrastały z dokonań wielu wcześniejszych teologów i myślicieli średniowiecznych. Jako podstawę filozoficzną tych prób wytłumaczenia transsubstancjacji wzięto pojęcia, którymi posługiwał się starożytny filozof — Arystoteles. Najpierw więc małe przypomnienie jego ścieżek myślenia.

Otóż według filozofii Arystotelesa wszystko, co istnieje, ma dwoistą naturę, czyli składa się z dwóch elementów: z substancji (istoty) i przypadłości. Na przykład, jeśli mamy takie stworzenie jak koń (proszę wybaczyć prymitywizm tego przykładu), to on też ma swoją substancję i swoją przypadłość. Substancją, istotą konia nazwalibyśmy więc jego „koniowatość”, czyli to wszystko, co decyduje o tym, że coś jest koniem, a nie jakimś innym zwierzęciem. Ta „koniowatość” wyraża się na różne

sposoby w poszczególnych koniach, ponieważ jeden jest kasztanowy, inny biały, jeden ma smuklejsze nogi, inny jest grubszy i tak dalej. Te wszystkie różnice to przypadłości, czyli rzeczy, cechy właściwe danemu koniowi, a nie koniom w ogóle. W tym jednak białym i grubym koniu objawia się niezmiennie jego „koniowatość” — w kasztanowym i smukłym tak samo. Podobnie dzieje się u człowieka. Gdyby spojrzeć na siebie, gdy było się dzieckiem lub nawet niemowlęciem, i gdyby porównać to z obecnym wiekiem, wyglądem i świadomością, to pozornie jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. Przyznam, że gdy porównuję swój obecny wygląd do tego sprzed niemal czterdziestu lat (gdy miałem rok), to widzę dwie różne osoby, co jednak nie jest prawdą. Zmieniły się więc moje przypadłości, zmienił się wygląd mojego ciała, jego skład chemiczny czy też zmieniły się moje komórki, ale pozostała i pozostanie we mnie pewna istota „człowiekowatości”, „adamowatości” zupełnie niezmienna, ona właśnie jest moją substancją.

Takie myślenie teolodzy przyłożyli do Eucharystii. Chleb i wino, tak jak wszystkie rzeczy na świecie, mają swoje substancje i przypadłości. W każdym z nich jest substancja, czyli „chlebowatość” chleba i „winowatość” wina, ale są też w nich przypadłości, które w przypadku chleba oznaczają, że jest bardziej lub mniej wypieczony, że ma okrągły lub podłużny kształt, a w winie różnice mogą na przykład być związane z kolorem, smakiem czy aromatem. O przeistoczeniu teologia więc mówi, że kiedy przywołujemy Ducha Świętego i kapłan wypowiada słowa konsekracji, czyli te, które Kościół wziął bezpośrednio od Pana Jezusa, to zmienia się substancja chleba i wina, ale nie ulegają zmianie jego przypadłości. Chleb zmienia substancję, czyli całkowicie przestaje być chlebem pod względem istoty, ponieważ jest Ciałem Chrystusa, ale nie posiada przypadłości Jego Ciała, tylko dalej ma przypadłości chleba. Tak

samo dzieje się z winem, przestaje ono mieć substancję wina, gdyż staje się substancją Krwi Pana Jezusa, ale zachowuje przypadłości wina, jego smak i skład chemiczny. Na tym polega transsubstancjacja — dokonuje się zmiana substancji, bez zmiany przypadłości. To, co widzimy i odczuwamy, pozostaje bez zmian, ale istota jest zupełnie inna, bo jest to istota Ciała i Krwi Chrystusa. W tym kontekście zupełnie bezsensowne są głosy próbujące zlekceważyć potrzebę przygotowywania komunikantów niskoglutenowych lub bezalkoholowego moszczu winnego, w imię tego, że przecież po przeistoczeniu to już jest tylko Pan Jezus i ludziom nic nie zaszkodzi. Nieprawda, chleb pozostaje chlebem i wino pozostaje winem w swych przypadłościach, substancja oczywiście zmienia się całkowicie.

Kościół katolicki przyjął właśnie taki sposób myślenia o Eucharystii. Oczywiście zastosowanie pojęć z filozofii Arystotelesa to jeden z modeli, które można stosować w wyjaśnianiu tej tajemnicy. Można próbować też na inne sposoby, ten jednak wydaje się przejrzysty i zachowuje to, co najważniejsze, a mianowicie, że podczas Mszy dzieje się istotowa przemiana chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa.

Nasza wiara w sposób obecności Chrystusa w Eucharystii różni się od tej, która panuje w innych kościołach chrześcijańskich. Najbliżej nam do prawosławnych, którzy zasadniczo wierzą tak samo jak my, choć nie używają pojęcia transsubstancjacji, tylko mówią o przemienieniu lub całkowitej przemianie w realne Ciało i Krew Chrystusa. Inaczej jest z kościołami protestanckimi. Na przykład większość kościołów luterańskich wierzy, że podczas Mszy dokonuje się koegzystencja chleba i wina naraz z Ciałem i Krwią Chrystusa, po jej zakończeniu jednak chleb i wino wracają do tego, czym były przed celebracją. Luteranie nie wierzą więc w obecność Jezusa w Najświętszym Sakramencie po Eucharystii. Istnieją też takie kościoły protestanckie, które chleb i wino uznają tylko za

symbol Ciała i Krwi Jezusa, a całą przemianę traktują jako gest przypominający Jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie.

W Kościele katolickim wierzymy, że chleb i wino to prawdziwe Ciało i prawdziwa Krew, zachowujące jednak przypadłości chleba i wina. A zatem Eucharystia dla nas to nie symbol, nie porównanie, nie przenośnia, nie znak, ale żywa Boża obecność, to On sam, Jego Ciało i Jego Krew. Kiedy to spożywamy, czujemy wprawdzie chleb i wino, ale pod spodem tych przypadłości jest substancja, czyli istota Ciała i Krwi Pana Jezusa.

# ROZDZIAŁ 23

# Konsekracja

O momencie przeistoczenia zwykło się mówić, że jest najważniejszym elementem Mszy Świętej. Oczywiście jest on niezwykle istotny, choć nie wolno nam zapominać, że przeistoczenie nie dzieje się w jakiejś jednej określonej sekundzie, czyli na przykład kiedy kapłan skończy ostatnie słowo mówienia o chlebie, to z chleba robi się Ciało, a gdy skończy mówić o winie, to nagle pojawia się Krew. Słowa przeistoczenia jako całe sprawiają, że dzieje się transsubstancjacja. Nie wydarza się to w jakimś określonym ułamku sekundy. Mało tego, cała Eucharystia sprawia, że to wszystko może się wydarzyć. Modlitwa eucharystyczna, składająca się z epiklezy, konsekracji i innych elementów, o których jeszcze będziemy mówili, jest całością, połączenie tych wszystkich części sprawia, że pokarm — chleb i wino — stają się Panem Bogiem. Moment konsekracji jest oczywiście niezwykle ważny, ponieważ jest powrotem do tego, co Pan Jezus kazał nam robić, ale przeistoczenie nie jest czymś magicznym, nie dzieje się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Co ciekawe, znane nam wszystkim wyrażenie „hokus pokus”, używane przy różnych sztuczkach magicznych, gdy ktoś wyciąga królika z kapelusza lub coś nagle znika, wzięło się z Mszy Świętej. Po łacinie bowiem słowa: *To jest ciało Moje*, brzmią: *Hoc est corpus Meum.* Gdy więc ktoś z daleka słuchał Mszy, mogło mu się wydawać, że w momencie przeistoczenia

słyszy „hokus pokus”. Stąd zresztą wzięło się w jakiś sposób magiczne, czyli z gruntu błędne w tym kontekście, myślenie o przeistoczeniu, ponieważ na Eucharystii ludzie widzieli, że niemożliwe staje się możliwe, że był chleb, a nagle jest Ciało, było wino, a nagle jest Krew. Uwaga! To nie jest dobre myślenie o Eucharystii! Widzenie w niej magii to zupełnie błędne postrzeganie. Na Mszy nie dzieje się bowiem tak, że kapłan pstryka palcami i nagle mamy Eucharystię. Nie! W momencie konsekracji przywołujemy Ducha Świętego i Jego mocą to wszystko się staje na ołtarzu.

Słowa konsekracji, które kapłan wypowiada po epiklezie, to narracja przypominająca wydarzenia Ostatniej Wieczerzy oraz dosłowne powtórzenie tego, co powiedział Jezus w Wieczerniku: *Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy: to jest bowiem Ciało Moje, które za was będzie wydane.* (…) *Bierzcie i pijcie z tego wszyscy: to jest bowiem kielich Krwi Mojej, nowego i wiecznego Przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. To czyńcie na Moją pamiątkę*. Jak wiadomo, ten tekst jest podzielony na dwie odrębne części, po których kapłan unosi do góry najpierw przemieniony chleb, a potem przemienione wino. Wtedy ma miejsce moment wspólnej adoracji, czyli czas, gdy w milczeniu uwielbiamy Pana Boga i wpatrujemy się w Niego z miłością i wdzięcznością. Przyznam szczerze, że nie rozumiem, dlaczego niektórzy księża nie doceniają tego momentu i prawie nie podnoszą do góry Ciała i Krwi, a jeśli to robią, to na jakieś dwie sekundy tak, że nikt nie zdąży nawet spojrzeć na Pana Boga. Sam podnoszę hostię i kielich możliwie jak najwyżej. Po pierwsze, by wszyscy mogli je zobaczyć i adorować, a po drugie, by symbolicznie unieść je ku Bogu Ojcu z modlitwą: „Tato, Ciało Twojego Syna, niczego lepszego nie mamy. Niczego większego nie możemy Ci dać. Ty jednak nam Je dałeś, a my ofiarowujemy Je Tobie”.

Niestety nie tylko księża są winni zaniedbania tego momentu adoracji. W tym czasie wśród wiernych uczestniczących w Eucharystii często robi się zamieszanie. Gdy bowiem kapłan wypowiada słowa konsekracji, a potem ukazuje nam wszystkim Pana Jezusa, jedni pochylają się, inni kłaniają, niektórzy biją się w piersi. To wszystko zaś jest zupełnie niepotrzebne! Żadnych gestów, żadnego pochylania się, żadnego bicia się w piersi, tylko adoracja. Wtedy wszyscy powinniśmy mieć roześmiane twarze, oczy roziskrzone i wpatrzone w Ciało i Krew Pana Jezusa, wdzięczne, bo widzą Jego samego. Oczywiście, gdy kapłan opuszcza na ołtarz Ciało lub Krew i przyklęka, wtedy rzeczywiście bardzo pięknym zwyczajem jest pokłon lub pochylenie głowy z pokorą na znak czci. Gdy jednak Bóg pod postaciami chleba i wina jest uniesiony, wtedy nie pochylamy głów, ale raczej je wyciągamy, by Go widzieć i adorować.

Konsekracja kończy się aklamacją, która w różnych odmianach Modlitwy eucharystycznej ma inne warianty. Moim ulubionym jest ta najprostsza i chyba najbardziej znana jej wersja, gdy kapłan mówi: *Oto wielka tajemnica wiary*, na co wierni odpowiadają: *Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale*. Co ważne, kapłan nie odnosi swoich słów jedynie do obecności żywego Jezusa w chlebie i winie, ale do całej tajemnicy zbawienia. Dlatego my potwierdzamy wiarę słowami o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa oraz wyznaniem, że czekamy na powtórne Jego przyjście na końcu czasów.

# ROZDZIAŁ 24

# Modlitwa eucharystyczna

Po konsekracji następuje długa modlitwa wypowiadana w całości przez kapłana lub księży współcelebrujących Eucharystię, która nazywana jest modlitwą eucharystyczną. W mszale rzymskim występuje kilka jej wersji, natomiast w każdej z nich ma ona ściśle określoną strukturę, czyli wszystkie jej poszczególne części muszą się niezaprzeczalnie pojawić.

Pierwszą z nich, zawsze pojawiającą się po konsekracji, jest tak zwana **anamneza**, czyli przypominanie, wspominanie. Po przeistoczeniu Kościół przywołuje więc całe dzieło zbawienia, opowiadając je niemalże od początku. W szczególności wspomina zaś życie Pana Jezusa, Jego śmierć, mękę, zmartwychwstanie i zesłanie Ducha Świętego, które mają bezpośredni związek ze zbawieniem człowieka. Anamneza tłumaczy nam, co się właśnie wydarzyło na ołtarzu, a w czym mamy udział. Co jednak ważne, ta modlitwa to nie tylko przypominanie dawnych dziejów czy zbawienia, ale uobecnianie tych tajemnic. Kapłan, wypowiadając słowa anamnezy, prosi Boga, by postawił nas w środku tych misteriów. Anamneza to zatem niejako portal, którym możemy przenieść się w czasie i uczestniczyć w wydarzeniach historii zbawienia, a może raczej, którym te wydarzenia przenoszą się do nas. Nie chodzi więc tylko o pamiętanie, ale o to, że zbawienie dzieje się tu i teraz.

W ramach anamnezy pojawia się, już wspominana wcześniej, druga **epikleza**, tak zwana komunijna. I tak jak pierwsza epikleza była przywoływaniem Ducha Świętego nad darami, tak epikleza komunijna to modlitwa, w której prosimy Ducha Świętego, by rozlał Eucharystię w dwóch kierunkach. Po pierwsze, by nas samych przemienił, czyli by doświadczenie tajemnicy zbawienia dotknęło naszych serc i zmieniło je. Po drugie zaś, byśmy będąc sami przemienieni zmartwychwstaniem Pana Jezusa, doświadczyli też zjednoczenia z innymi ludźmi, z tymi w Kościele i poza nim. Modlitwa o jedność to bardzo istotny aspekt tej części Mszy. Prosimy Ducha Świętego, by zrobił z nas jedną wspólnotę, jeden Kościół, bo znów nie jesteśmy w stanie wyciągnąć z tej Eucharystii żadnych owoców i stworzyć prawdziwej wspólnoty.

Po anamnezie i epiklezie następują różnego rodzaju **modlitwy wstawiennicze**, czyli po prostu prośby, by Bóg wlał te wszystkie dary i łaski wynikające ze zbawienia w różnych ludzi. W tej części modlitwy eucharystycznej znajdziemy więc prośby za Kościół, za papieża, biskupów, kapłanów, diakonów i za wszystkich ludzi. To jest właśnie miejsce, gdzie warto przypomnieć sobie swoich bliskich, których może z nami nie ma na tej Eucharystii, którzy może są daleko od Pana Boga, oni wszyscy również są włączeni w ten sakrament, bo zbawienie dotyczy także ich. Co więcej, w modlitwach wstawienniczych powierzamy Panu Bogu również zmarłych, którzy walczą jeszcze w czyśćcu, ponieważ potrzebują oczyszczenia. Wspominamy ich, by moc Eucharystii także ich ogarnęła. Na koniec zaś łączymy swoje modlitwy z Kościołem w niebie, ze świętymi, z Maryją i aniołami. Przebywając więc w centrum zbawienia, ściągamy wszystkich z każdej możliwej strony i żyjącym oraz umarłym mówimy: „Chodźcie tutaj, zobaczcie, co tu się dzieje, tu tryska życie”.

Gdy zaś już zbierzemy w modlitwie to całe zacne zgromadzenie, gdy już wokół nas będzie całe kościelne uniwersum, następuje przepiękna modlitwa zwana **doksologią**. Ona jest finalnym momentem modlitwy eucharystycznej. Kapłan podnosi patenę z Ciałem i kielich z Krwią Pana Jezusa (co nazywane jest „małym podniesieniem") oraz wypowiada słowa: *Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie, Tobie, Boże, Ojcze Wszechmogący, w jedności Ducha Świętego wszelka cześć i chwała przez wszystkie wieki wieków*. W ten sposób chcemy powiedzieć Bogu: „Boże, wszystko to jest Twoim dziełem. I to że nas zbawiłeś, i to że nas zebrałeś i że dajesz nam w tym wszystkim udział. Dlatego po prostu chcemy oddać Ci chwałę. Tobie Jednemu w Trójcy". A oddać Bogu chwałę można tylko w jeden sposób: przez Pana Jezusa, w Nim i z Nim. Doksologia wyraźnie nam pokazuje, że wszystko, co dzieje się na Mszy, możemy sprawować tylko dlatego, że Jezus nam to przyniósł, a raczej sam to za nas zrobił. Nie dał bowiem instrukcji i nie powiedział: „Zróbcie sobie", tylko sam się za to wziął i dokonał tego w najpełniejszy sposób. Co więcej, On to dalej robi, byśmy mogli wszyscy, zjednoczeni w Nim, dojść do Ojca. Ta krótka modlitwa zawiera więc receptę na życie: wszystko przez Niego, z Nim i w Nim, bo tylko w Jego miłości wszystko jest możliwe.

Zwieńczeniem doksologii jest tak zwane **Wielkie** Amen. Śmiało można powiedzieć, że to *Amen* jest najważniejszym w całej liturgii. Oznacza ono bowiem zgodę na wszystko, co wydarzyło się na Mszy do tej pory. Na Słowo Boże usłyszane na początku, na przemianę chleba i wina w Ciało i Krew, na tajemnice uobecnione w modlitwie eucharystycznej, na zgromadzony z krańców świata i czasu Kościół, na to wszystko mówimy: „Tak, *Amen*, niech tak się stanie!". Wielkie *Amen*, będące tak naprawdę potrójnym *Amen,* powinno być najbardziej uroczyście wypowiedzianym,

a najlepiej wyśpiewanym, *Amen* w całej liturgii, ponieważ ono jest kulminacją modlitwy eucharystycznej.

Na koniec tego rozdziału jeszcze jedna uwaga dotycząca naszej postawy ciała. Otóż według przepisów kościelnych po konsekracji wszyscy wierni powinni wstać, więc zasadniczo od aklamacji *Oto wielka tajemnica wiary…* nie powinniśmy już klęczeć. Wiem, że w niektórych kościołach, na przykład na Podhalu, panuje zwyczaj klęczenia od momentu przeistoczenia aż do *Ojcze nasz*. Rozumiem, że jest to lokalna tradycja i rzeczywiście mszał na nią pozwala, natomiast jej kultywowanie tylko po części jest uzasadnione. Dlaczego? Ponieważ postawa stojąca wyraża coś bardzo ważnego. Postawa klęcząca jest oczywiście potrzebna podczas konsekracji, gdy z miłością i pokorą oddajemy cześć Panu Jezusowi, ale w dalszej części Liturgii Eucharystycznej, gdy następuje modlitwa Kościoła, powinniśmy stać z przynajmniej trzech powodów.

Po pierwsze postawa stojąca oznacza zmartwychwstanie, a dokładniej jest postawą człowieka, który wszedł w zmartwychwstanie. To zaś dzieje się na Eucharystii, gdy modlimy się razem z Jezusem, który oddał nam swoje życie. On podzielił się z nami swoim zwycięstwem, więc razem z Nim mamy udział w zmartwychwstaniu. Pierwsi chrześcijanie mieli w ogóle taki zwyczaj, że przez cały okres wielkanocny nigdy i nigdzie nie klękali, nawet przed Najświętszym Sakramentem. Oczywiście nie chodziło o to, że nie szanowali tej tajemnicy, ale nieklękanie było znakiem tego, że są ludźmi zmartwychwstałymi, tymi, których dotknęło powstanie z martwych Pana Jezusa. Dziś widać to na przykład podczas Wigilii Paschalnej, gdy po procesji rezurekcyjnej śpiewamy hymn *Te Deum* przed wystawionym Najświętszym Sakramentem i nie klękamy, ponieważ właśnie dzięki zmartwychwstaniu wszyscy jesteśmy wezwani do powstania w Panu Jezusie.

Drugie uzasadnienie postawy stojącej ma swoje antropologiczne źródło. Człowiek odróżnia się od innych zwierząt tym, że w pewnym momencie się wyprostował. Ojcowie Kościoła często mówili, że jest to nietypowe pokazanie, kim naprawdę jesteśmy. Człowiek stojąc, stopami dotyka ziemi, a jednocześnie głową jest w chmurach, czyli w niebie. Nasza natura ma w sobie trochę ziemi i nieba, żyjemy pomiędzy, bo ani nie jesteśmy tylko mieszkańcami ziemi, ani jeszcze nie jesteśmy całkowicie mieszkańcami nieba, choć już do tego życia jesteśmy zaproszeni. Postawa stojąca to zatem postawa właściwa człowiekowi — on jest w niej sobą, czyli kimś, kto podąża do nieba, do tego, do czego został wezwany.

Trzeci argument przemawiający za tym, że podczas modlitwy eucharystycznej powinniśmy stać, to odwołanie do jej treści, w której padają słowa: *(…) abyśmy stali przed Tobą i Tobie służyli*. Gdy więc kapłan mówi takie zdanie, powstaje zgrzyt, gdy wszyscy w kościele klęczą. Co ważniejsze jednak, według Biblii stanie przed Bogiem w gotowości do służenia Mu to postawa aniołów, oni zawsze stoją w Bożej obecności, by szybko mogli zareagować na Jego polecania. Postawa stojąca to zatem postawa sługi. Ona także ma w sobie element szacunku i uniżenia, ale jednocześnie połączona jest z gotowością do działania na każde Boże zawołanie. Sługa na uczcie nie siedzi ani nie klęczy, ale stoi, patrząc nieustannie na swojego pana, wyczekując i zadając pytanie: „Co mogę dla Ciebie zrobić?”. Dokładnie taka powinna być nasza postawa wobec Boga przychodzącego w Eucharystii.

# LITURGIA UCZTY OFIARNEJ

## ROZDZIAŁ 25

## „Ojcze nasz”

Wraz z końcem modlitwy eucharystycznej zaczyna się kolejna część Mszy zwana Liturgią Uczty Ofiarnej, która jest oczywiście składową Liturgii Eucharystycznej. Rozpoczyna się ona modlitwą *Ojcze nasz*, która w ramach Mszy ma nieco bardziej rozbudowaną formę niż wersja, którą odmawiamy w pacierzu.

Modlitwa Pańska to jedna z najstarszych części Eucharystii. Źródła podają, że już w IV wieku była ona praktykowana w liturgii jako sposób przygotowania do przyjęcia Komunii Świętej. Wzięło się to stąd, że chrześcijanie od samego początku traktowali modlitwę *Ojcze nasz*, a szczególnie jej fragment: *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj…*, jako prośbę o Eucharystię. Oczywiście te słowa były też dla nich prośbą o codzienny pokarm, bo wiedzieli, że Bóg, ich Ojciec, chce się o nich troszczyć także w taki sposób. Jednocześnie od samego początku, mając w pamięci, że to Jezus nauczył swoich uczniów tej modlitwy, widzieli w tej prośbie zapowiedź ustanowienia Eucharystii. Tak jakby Jezus powiedział apostołom: „Proście, abyście mogli codziennie Mnie

przyjmować”. Dlatego więc chrześcijanie ustanowili *Ojcze nasz* jedną z pierwszych części obrzędów przyjmowania Komunii, ponieważ jest modlitwą, która do tego chleba bezpośrednio się odnosi.

Przed Modlitwą Pańską podczas Eucharystii pojawia się zwykle krótki wstęp, który wprowadza w *Ojcze nasz*, ale jednocześnie odnosi się do aktualnie obowiązującego okresu liturgicznego. W mszale znajduje się kilka wersji tego wstępu, jednocześnie jednak przepisy liturgiczne w tym miejscu dają celebransowi możliwość wymyślenia własnego wprowadzenia.

I tu mała dygresja. Teksty pojawiające się w liturgii można podzielić na dwie grupy: te, które mają ściśle określoną formę i treść, których pod żadnym pozorem nie można zmieniać, oraz te, których forma i treść są jedynie sugerowane, ich ostateczny kształt pozostawiony jest zaś kapłanowi sprawującemu Mszę. Na przykład w mszale rzymskim nie ma zapisanych wprowadzeń w tajemnicę dnia znajdujących się na początku Eucharystii, również przygotowanie do aktu pokuty może być modyfikowane, podobnie dzieje się także z tekstem wprowadzającym w *Ojcze nasz*. Oczywiście słowa wypowiadane w tych miejscach przez kapłana muszą być zgodne z nauką Kościoła i związane z danym momentem Eucharystii, ale jeśli posiadają takie cechy, wszystko jest w porządku. Historycznie wzięło się to z pewnej sytuacji w Kościele, gdy kanon Mszy nie był tak szczegółowo opracowany jak dziś. Kapłani mieli prawo samodzielnego komponowania większości modlitw, rzecz jasna posiadając odpowiednią ku temu wiedzę teologiczną. Niestety z tego, w założeniach dobrego, pomysłu powstał bałagan, dlatego Sobór Trydencki uszczuplił kanon Mszy do jednej obowiązującej modlitwy. Dziś po reformach Soboru Watykańskiego II mamy część modlitw o niezmiennej formie, a część improwizowanych, do których należy wspomniane wprowadzenie do *Ojcze nasz*.

Spośród wezwań wprowadzających do Modlitwy Pańskiej, które zaproponowane zostały w mszale, chyba najbardziej znaną jest: *Pouczeni przez Zbawiciela i posłuszni Jego słowom, ośmielamy się mówić…* Przyznam, że bardzo lubię to pojawiające się w niej słowo „ośmielamy”, ponieważ przypomina mi ono, że Pan Jezus, gdy pierwszy raz wypowiedział te słowa, rzeczywiście modlił się nimi do swojego Ojca. Robił to głośno, by najpierw apostołów, a potem i nas nauczyć tej modlitwy, ale to była Jego prywatna modlitwa do Ojca. Doskonale zaś wiemy, że nikt z nas nie ma takiej gotowości, by stanąć przed Bogiem jak Jezus, właśnie dlatego bardzo uzasadnionym w tym miejscu jest słowo „ośmielamy”. Nie chodzi oczywiście o to, by nagle myśleć o Bogu jako o strasznym władcy i królu, którego trzeba się bać. On jest naszym tatą, wobec którego jednak stajemy w nieśmiałości, mówiąc: „Tato, wiem, że prawdziwie jesteś moim tatą. Tylko wiesz co? Ja się trochę nie nadaję, żeby być Twoim dzieckiem”, stąd ta potrzeba ośmielania się.

W hebrajskim oryginale Modlitwa Pańska zaczyna się od słowa *Abba*, oznaczającego dosłownie „Tato”, którego to słowa używał rzeczywiście Pan Jezus. Kościół jednak nie przetłumaczył nam na język polski tego wyrazu jako „Tato”, ale jako „Ojcze”. Również święty Paweł w swoich listach nie ośmielał się wprost tłumaczyć tego słowa jako „tata”, ale przyjął formę „ojciec”. Dlaczego? Na pewno nie chodzi o żaden strach wobec Boga, ale o połączenie dwóch tajemnic dotyczących tego, kim jest dla nas Bóg. On jest naszym ojcem, a jednocześnie Jego moc, majestat i chwała przekraczają wszystkie nasze wyobrażenia. Wobec zaś takiego zestawienia bliskości i nieogarnionej potęgi rodzi się raczej fascynacja związana z niewiadomą, a nie strach czy przerażenie. Gdybyśmy więc używali słowa „Tato”, to w rzeczywistości tylko po części pokazywalibyśmy prawdę o tym, kim jest Bóg. Pozwalalibyśmy sobie w ten sposób na zbyt proste

spoufalanie się z Nim, a przecież chodzi raczej o miłość połączoną z nieśmiałym (bo świadomym swojej niegodności) zachwytem nad Jego wszechmocą i potęgą. To prawda, że Bóg uczynił nas swoimi córkami i synami, co więcej, przez Jezusa dał nam do siebie dostęp, ale mówiąc „ośmielamy" wyznajemy, że jeszcze nie żyjemy w pełni tym darem. On nam to dał, ale my jeszcze tam nie jesteśmy. Kiedy umrzemy i będziemy oczyszczeni ze wszystkiego, będzie inaczej. Póki co ośmielamy się przed Nim stawać i modlić się do Boga słowami Jego Syna.

Kolejnym ważnym momentem modlitwy *Ojcze nasz* jest prośba: *I przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*. Również ten fragment jest istotnym przygotowaniem do przyjęcia Komunii. Jak mówi Ewangelia, nie można bowiem stawać przed Bogiem, będąc niepogodzonym z braćmi: *Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!* (Mt 5, 23-24). Modlitwa Pańska przypomina nam, że trwanie w niezgodzie z bliźnimi i przyjmowanie Komunii przeczą sobie. Prosimy więc Boga, by dał nam gotowość do przebaczenia wszystkim naszym winowajcom, byśmy mogli przyjąć Ciało i Krew Pana Jezusa.

Tuż za prośbą dotyczącą przebaczenia pojawia się w *Ojcze nasz* bardzo ważny wątek obrony przed złem: (…) *i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego*. Tymi słowami prosimy Pana Boga, żeby nie dopuścił do nas zła, by nas od niego wybawiał, by nie dopuścił, byśmy wchodzili w pokusę. Uwolnienie od zła można zaś rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze chodzi o to, byśmy nie dali się ostatecznie pokonać szatanowi, czyli po prostu nie trafili do piekła. Z drugiej strony chodzi także o to życie doczesne. Modląc się *ale nas zbaw ode złego*, prosimy także: „Ojcze,

przyjmiemy zaraz Ciało Twojego Syna. Wiemy, że ono jest naszą obroną od wszelkiego zła. Broń nas tą Komunią z Tobą”.

Warto zauważyć, że modlitwa *Ojcze nasz* wypowiadana podczas Mszy nie kończy się *Amen*. Jeśli ktoś z rozpędu to robi, koniecznie powinien przestać, bo na Eucharystii Modlitwa Pańska ma swoje przedłużenie i niepoprawnym jest zamykanie jej w tym miejscu. Dokładanie do *Ojcze nasz* pewnego rozwinięcia to starożytna tradycja. Niektórzy twierdzą, że embolizm: *Wybaw nas, Panie, od zła wszelkiego i obdarz nasze czasy pokojem. Wspomóż nas w swoim miłosierdziu, abyśmy zawsze wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu, pełni nadziei oczekiwali przyjścia naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa*, pojawił się na stałe w liturgii w V wieku, czyli w okresie, gdy kraje, w których Kościół się rozwijał, były atakowane przez barbarzyńców. Miał więc być prośbą o wybawienie od tych, którzy chcą zniszczyć chrześcijan.

Dziś jednak te słowa również mają ważne znaczenie. Gdy kapłan mówi o tym, by Bóg bronił nas od wszelkiego zamętu, przypomina nam, że działanie złego to nie tylko pokusy. Czasem zły duch chce zawłaszczyć nasze serca i świat, w którym żyjemy, przez niszczenie harmonii, jedności i pokoju. Gdy bowiem jest zamazywany w świecie Boży pomysł na całe stworzenie, wtedy miejsce pierwotnego porządku zajmuje chaos i zamęt. Niestety ten niszczący proces dzieje się na naszych oczach. Na co dzień doświadczamy dezorientacji na przykład w tym, co jest prawdą, a co manipulacją, komu możemy ufać, a komu nie, lub w co wierzyć, a co jest nieprawdziwe. Zamęt dotyka najróżniejszych rzeczywistości: seksualności, płciowości, grzechu, życia, dzieci, małżeństwa, uczciwości w pracy, sposobów bycia w tym świecie i wielu innych spraw. W modlitwie *Ojcze nasz* prosimy Boga, by uwolnił nas od tego, by bronił nas przed zamętem, by dał nam jasność, byśmy wiedzieli dokąd iść i którą drogą zmierzać.

Gdy kapłan skończy wypowiadać słowa embolizmu po Modlitwie Pańskiej, wszyscy odpowiadamy: *Bo Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki*. Znów trzeba przyznać, że jest to bardzo stara modlitwa pochodząca z II wieku, która była popularna szczególnie na Wschodzie. Sobór Watykański II dołożył ją do *Ojcze nasz*, również ze względów ekumenicznych. Modlitwa Pańska jest wspólna wszystkim kościołom chrześcijańskim, więc to dopowiedzenie wyraża pragnienie tego, byśmy znów stali się jedno.

Na koniec kilka słów o gestach towarzyszących odmawianiu *Ojcze nasz*, bo z moich obserwacji wynika, że jest w tym dość spore zamieszanie w Kościele.

Po pierwsze, podczas tej modlitwy zasadniczo ręce podnosi tylko kapłan. Oczywiście są różne sposoby wykonywania tego gestu. Ja na przykład podnoszę je bardzo wysoko, czym wyrażam moje pragnienie: „Tato, wyciągam do Ciebie ręce, potrzebuję się do Ciebie dostać, byś mnie na swoje ręce wziął i pociągnął do góry”. Praktyka podnoszenia rąk w tym momencie Mszy wywodzi się z tradycji biblijnej — z postawy, jaką w czasie modlitwy przyjmował Jezus, a jeszcze wcześniej Mojżesz. W Starym Testamencie, w Księdze Wyjścia, pojawia się opis słynnej bitwy, którą naród wybrany stoczył z Amalekitami pod Refidim, w której Mojżesz stał na górze z podniesionymi rękami. Mojżesz został wybrany, by wstawiać się w intencji tego, co działo się na dole w walce. Podobne znaczenie ma gest kapłana podczas Modlitwy Pańskiej. On też jest tym, który został wybrany, by wstawiać się za ludem, by wołać w jego intencji. Kapłan w tym momencie reprezentuje nas wszystkich, co oczywiście nie oznacza, że jest kimś lepszym czy ważniejszym, ale taką służbę pełni w danym momencie.

Oczywiście to zastrzeżenie, że kapłan jest jedynym podnoszącym ręce, nie oznacza, że wiernym nie wolno wykonywać żadnego gestu. Liturgia dopuszcza podnoszenie rąk przez ludzi uczestniczących w Mszy, jeśli dzieje się to w małych wspólnotach. W dużych zgromadzeniach na przykład w parafiach nikt poza księdzem nie powinien podnosić rąk. Nie znaczy to, że ktoś nie może delikatnie, blisko siebie rozłożyć rąk — to jest zupełnie inny gest, który jak najbardziej można wykonywać. Niedopuszczalne jest jedynie powtórzenie gestu właściwego kapłanowi, ponieważ tylko on w tym momencie reprezentuje wiernych przed Bogiem, jak czynił to Mojżesz, gdy podnosił ręce podczas walki Izraelitów z Amalekitami. Kapłan wyciąga do góry ręce w imieniu wszystkich ludzi obecnych w kościele, więc nie potrzeba, byśmy sami je podnosili, bo on to robi za nas.

Niestety trochę zapomnianym i niedocenionym jest gest złożonych rąk, który jak najbardziej jest właściwy podczas modlitwy *Ojcze nasz*. Mam świadomość, że w powszechnym mniemaniu to trochę nielubiany, bo kojarzący się z dewocją i przesadną pobożnością, gest, ale jego znaczenie jest zupełnie inne. Złożone dłonie komunikują prośbę, by ktoś te ręce wziął w swoje dłonie. Ten gest to bardzo stary sposób okazywania czci swoim panom przez poddanych, wyraża on pragnienie: „Weź mnie w opiekę”. Jeśli pan weźmie dłonie proszącego w swoje, oznacza, że go przyjmuje i chce chronić. Gdy więc składamy ręce na Mszy, mówimy tym gestem: „Jezu, zakryj mnie swoimi dłońmi. Weź moje złożone dłonie — przygotowałem Ci je, byś je zakrył swoimi i pociągnął mnie do siebie”. Myślę, że to piękny gest, który naprawdę warto praktykować. Złożone dłonie mogą towarzyszyć wielu momentom Eucharystii, warto nad tym pomyśleć, czy przypadkiem nie jest to gest, który mógłby nam pomóc okazać Bogu miłość.

# ROZDZIAŁ 26

# Znak pokoju

Po *Ojcze nasz* następuje obrzęd przekazania sobie znaku pokoju. To bardzo krótka celebracja, ale koniecznie trzeba się jej bliżej przyjrzeć, bo niestety często jest przez nas błędnie rozumiana. Zanim więc przejdziemy do praktyki, czyli tego, jak powinno się przekazywać znak pokoju, kilka wyjaśnień dotyczących znaczenia tego obrzędu.

Po pierwsze gest przekazania znaku pokoju ma przygotować nas do przyjęcia Komunii Świętej. Wzajemne pojednanie ma przygotować nas do stanięcia przed Panem Bogiem jako wspólnota. Co ciekawe, ten gest dawniej był wykonywany przed ofiarowaniem darów, czyli po zakończonej Liturgii Słowa, ale zanim zaczęto przynosić do ołtarza dary. Było to związane ze wspomnianym już zdaniem Pana Jezusa, pochodzącym z Kazania na Górze, w którym Jezus mówi, że jeśli ktoś idzie złożyć swój dar przed Boży ołtarz, musi najpierw pojednać się ze swoim bratem. W niektórych rytach Mszy Świętej, na przykład w rycie mediolańskim, do dzisiaj obowiązującym w niektórych świątyniach Mediolanu, nadal odprawia się ten obrzęd po kazaniu, a przed ofiarowaniem, by rzeczywiście podkreślić, że nie można uczestniczyć w Liturgii Eucharystycznej bez przebaczenia. W powszechnie obowiązującym rycie odprawiania Mszy ten gest znajduje się w innym miejscu i ma to swoje bardzo ważne uzasadnienie. By to dobrze wyjaśnić, odwołam się do pewniej ciekawostki.

Otóż kardynał Joseph Ratzinger, zanim jeszcze został papieżem Benedyktem XVI, napisał książkę „Duch liturgii”, w której zwracał szczególną uwagę na ten pojednawczy aspekt znaku pokoju. Według niego przebaczenie i pojednanie to najważniejsze wymiary tego obrzędu. Co ciekawe, po opublikowaniu tej książki zgłosił się do kongregacji odpowiedzialnej za liturgię w Kościele katolickim z wnioskiem, by zmienić miejsce znaku pokoju na wzór rytu mediolańskiego. Kongregacja odpowiedziała mu, że rzeczywiście jego pomysł jest bardzo dobry i ciekawy, ale główny cel znaku pokoju to coś innego. Jego sednem jest to, że bierzemy pokój od Pana Jezusa, a nie to, że przekazujemy go sobie nawzajem.

I to jest rzeczywiście drugie, zdecydowanie ważniejsze znaczenie tego znaku. Gdy dobrze wsłuchamy się w formuły poprzedzające przekazanie znaku pokoju, zauważymy, że one właśnie o tym mówią. Wspominają bowiem tajemnicę przeżywaną danego dnia lub w danym okresie liturgicznym, prosząc Boga, by ten pokój, który przyniósł światu, włożył nam do serc. I tak na przykład w okresie Wielkanocy słyszymy: *Panie Jezu Chryste, w dniu zmartwychwstania pozdrowiłeś uczniów słowami: Pokój wam. Prosimy Cię, nie zważaj na grzechy nasze, lecz na wiarę swojego Kościoła i zgodnie z Twoją wolą napełniaj go pokojem i doprowadź do pełnej jedności.* Kościół pokazuje nam więc, że pokój nie jest naszym dziełem, nie potrafimy go sami zaprowadzić, potrzebujemy wziąć go od Chrystusa, a potem dopiero przekazać innym, by móc się prawdziwie zjednoczyć i pojednać. Dalej w liturgii padają słowa: *Pokój Pański niech zawsze będzie w wami,* na co odpowiadamy: *I z duchem twoim*. Te słowa bardzo jasno uświadamiają nam, że głównym momentem znaku pokoju wcale nie jest uściśnięcie dłoni sąsiada, ale moment, w którym otrzymujemy pokój od Chrystusa. Gdy kapłan mówi: *Pokój Pański niech*

*zawsze będzie w wami*, nie przekazuje swojej serdeczności czy życzliwości, ale to, co sam dostał od Chrystusa, pokój Pana Jezusa, który ma moc nas przemienić.

W tym miejscu, jak podają przepisy liturgiczne, może zakończyć się znak pokoju — nie musi on być przekazywany sobie nawzajem przez wiernych. W mszale jest napisane, że kapłan, jeśli uzna to za stosowne, może powiedzieć: *Przekażcie sobie znak pokoju*, ale nie jest to obowiązkowe. Wystarczy, że odbędzie się cytowany w poprzednim akapicie dialog, w którym pokój Pana Jezusa jest przekazany wiernym, a oni wyznają, że ten sam pokój mieszka także w kapłanie. Dlaczego? Ponieważ esencją znaku pokoju nie jest to, co dzieje się między nami, tylko to, co wydarza się między nami a Panem Jezusem. Jak mówił Jezus w Ewangelii, On przyszedł przynieść taki pokój światu, którego ten świat nie zna, więc nie może go sobie dać (por. J 14, 27). Pokój Jezusa to coś znacznie większego niż tylko zgoda między ludźmi.

W naszych dominikańskich pismach można znaleźć przepiękny, średniowieczny komentarz do liturgii, w którym mowa o tym, że dominikanie zachęcali, by przekazywać sobie pokój błogosławieństw. Myślę, że to bardzo dobry trop pozwalający zrozumieć rzeczywistość pokoju, który daje nam Chrystus. Co bowiem mówią błogosławieństwa ogłoszone przez Pana Jezusa w Kazaniu na Górze? One przywołują wszelkie przekleństwa życiowe: ubóstwo, ucisk, walkę o czystość, prześladowanie, łzy, co oznacza, że błogosławieństwa dotykają bardzo nieprzyjemnych, codziennych sytuacji. Jednocześnie jednak słyszymy w nich słowa Jezusa: „Błogosławieni są ludzie, którzy żyją w tych sytuacjach”, co oznacza, że Jezus może dać doświadczenie prawdziwego szczęścia także w takich okolicznościach życia. Dominikanie w średniowieczu, gdy przekazywali pokój, to mówili właśnie o pokoju

błogosławieństw, czyli pokoju doświadczanym w trudnościach, gdy wszystko się wali i gdy cierpienie dotyka z każdej strony, ponieważ wiedzieli, że Jezus może dać taki pokój. On jeden może dać takie błogosławieństwo, że człowiek w nieszczęściach, trudnościach, prześladowaniach będzie miał w sercu ogromny pokój. Taki stan my dominikanie nazywamy od wieków pokojem błogosławieństw, czyli pokojem w trudnościach życiowych.

Przyjęcie pokoju od Chrystusa to pierwszy i najważniejszy aspekt znaku pokoju. On oczywiście nie neguje wagi wzajemnego pojednania, ale raczej ustawia je w należnym mu porządku. My niestety zrobiliśmy ze znaku pokoju przede wszystkim znak towarzyski, wyrażający sympatię, akceptację, oczywiście również przebaczenie i wzajemne pojednanie, co jest ważne, ale nie pierwsze. Najpierw więc na Mszy przyjmujemy od Jezusa pokój, którego ten świat nie zna, czyli chcemy doświadczyć stałości, mocy, nadziei, wytrwałości, umiejętności przetrwania nawet najtrudniejszych rzeczy razem z Nim. Potem zaś, przez obrzęd przekazania znaku pokoju, tym Chrystusowym pokojem chcemy obdarzyć też innych. Warto o tym pamiętać, szczególnie, gdy mamy z kimś trudną relację i nie umiemy sobie z nią poradzić, wtedy możemy uchwycić się pokoju Chrystusa i przekazać go tej osobie.

Skoro już wiemy, czym jest znak pokoju, czas postawić pytanie o to, jak go przekazywać. Najpierw mała ciekawostka historyczna. Otóż dawniej znak pokoju przekazywano za pomocą tak zwanego pacyfikału, czyli krzyża, czasem metalowego, czasem namalowanego na desce, który kapłan całował (czyli w ten sposób sam brał pokój od Jezusa), a potem dawał go ludziom do ucałowania. Dziś w niektórych parafiach ten obrzęd zachował się w sposobie witania biskupa podczas jego wizytacji w parafii. Niektórzy starzy proboszczowie, gdy przyjeżdża biskup, w ramach oficjalnego

przywitania wychodzą przed kościół z krzyżem albo ikoną Pana Jezusa na krzyżu i dają biskupowi do pocałowania. Ten znak wyraża to, że biskup przyszedł z pokojem, który najpierw wziął od Jezusa, a następnie chce go przekazać wiernym.

Dziś na liturgii nie używa się już pacyfikału, ale dalej bardzo ważny jest ten moment wzięcia pokoju od Chrystusa, którym jest oczywiście modlitwa, a który według przepisów kościelnych może być też wyrażony gestem. Na przykład dawniej dość popularnym, dziś już zanikającym, był gest kładzenia rąk na patenie, na której jest Ciało Pana Jezusa. Innym sposobem wyrażenia tej prawdy jest ucałowanie kielicha, które kiedyś było elementem rytu dominikańskiego. Sam praktykuję właśnie ten gest, który dla mnie oznacza symbolicznie pocałunek Judasza, czyli jest wyznaniem: „Panie Jezu, wiem, że Ty przekazujesz mi pokój, ale ja jestem jak Judasz wobec Ciebie, nie nadaję się do przyjęcia tego pokoju, ale jednocześnie mam nadzieję, że Ty tym pocałunkiem obdarzysz mnie swoim pokojem”.

Kapłan więc sam bierze pokój od Pana Jezusa, a potem przekazuje go dalej. Choć nie jest to konieczne, przyjęło się, że celebrans do przekazania pokoju wiernym również używa gestu, na przykład podaje rękę innym księżom czy ministrantom, oni zaś dalej przekazują go ludziom. Zasadniczo kapłan nie powinien ruszać się z prezbiterium, co wcale nie oznacza jego oddzielenia od wiernych, ale dlatego, że już przekazał pokój, mówiąc: *Pokój Pański niech zawsze będzie z wami,* i nie ma potrzeby, by podchodził do każdego człowieka.

Jak to jednak powinno wyglądać między wiernymi? Wprowadzenie do mszału rzymskiego mówi, że każdy Episkopat, czyli każdy kraj, ma prawo ustalić własne sposoby przekazywania znaku pokoju w zależności od mentalności, kultury czy emocjonalności ludzi mieszkających na danym terenie. Znak pokoju może zatem odmiennie wyglądać w różnych

miejscach świata. Przepisy liturgiczne dają w tej kwestii tylko jedną wskazówkę: ma być umiarkowany, czyli chodzi o to, by nie było okrzyków i rzucania się w ramiona.

Episkopat Polski ustalił, że na terenie naszego kraju obowiązują dwa sposoby przekazywania znaku pokoju. Pierwszy to podanie sobie rąk i dialog, który temu towarzyszy: *Pokój Pański niech będzie z Tobą* albo *Pokój z Tobą*, na co odpowiadamy: *Amen* lub: *I z duchem twoim*. Drugi sposób to pochylenie głowy. Niestety w wielu kościołach zrobiły się nam z tego „kiwaczki”, czyli ludzie stoją jak kołki i jedynie kiwają głowami. W geście pochylenia głowy chodziłoby jednak o to, że jeśli stoimy od siebie daleko i nie możemy podać ręki, to pochylamy się w jego kierunku, skłaniamy się, by przekazać mu znak pokoju. Z uściskiem dłoni też nie chodzi o to, by zrobić tak zwaną zimną rybę, czyli lekko wystawić dłoń tak, że ktoś nie wie, czy może mnie dotknąć czy nie, ale o serdeczny uścisk.

Gdy Msza Święta celebrowana jest w mniejszych wspólnotach, to oczywiście nie ma przeciwskazań, by ludzie przekazali sobie znak pokoju przez uścisk (tak zwanego misia) lub nawet pocałunek, o którym wspomina przecież także Pismo Święte. Trudno w taki sposób przekazywać pokój w parafii, gdzie na normalnej Mszy spotykamy przeważnie nieznanych nam ludzi — nie podejdziemy przecież do kogoś obcego i nie pocałujemy go w policzek, ponieważ czułby się co najmniej nieswojo. Gdy jednak modli się wspólnie mała grupa ludzi, zaprzyjaźniona ze sobą na co dzień, to jak najbardziej można przyjąć taką formę znaku pokoju. Ważne jednak, by ze znaku pokoju nie zrobić happeningu lub zbyt długiego momentu przytulania i uścisków. Łatwo bowiem w ten sposób zrobić z tego znaku coś *stricte* towarzyskiego, pozbawiając go aspektu miłości i w rzeczywistości wypaczając go. Jak już wiemy, to nie my dajemy pokój,

ale sam Pan Jezus. On jest jego źródłem i od Niego możemy wziąć pokój, by obdarzyć nim innych ludzi.

# ROZDZIAŁ 27

# Łamanie chleba

Po modlitwie *Ojcze nasz* oraz po znaku pokoju pojawia się w liturgii jeszcze jeden bardzo piękny choć skromny, przez co często niezauważany, obrzęd zwany łamaniem chleba. Na samym początku tym wyrażeniem nazywano w ogóle całą Eucharystię, co pokazuje, jak istotny jest ten niepozorny gest.

Co ciekawe, łamanie chleba wzięło się z rzeczywistości całkowicie świeckiej. Ostatnia Wieczerza, na której Pan Jezus ustanowił sakrament Eucharystii, przemieniając chleb i wino w swoje Ciało i swoją Krew, była tak naprawdę normalnym, choć świątecznym posiłkiem, który apostołowie spożywali razem z Jezusem. A że w tamtych czasach chlebem były mace, które w sumie do dziś są wypiekane na Bliskim Wschodzie, to trzeba było je rozerwać przed zjedzeniem. Czymś zupełnie normalnym i codziennym było to, że Jezus łamał chleb i podawał go apostołom — nie używano wtedy noży, więc właśnie tak wyglądały wspólne posiłki.

Dziś gdy w Liturgii Mszy Świętej mówimy o łamaniu chleba, to posiada ono dwa bardzo ważne znaczenia. Po pierwsze, zgodnie ze starą żydowską tradycją, gest dzielenia się z kimś chlebem oznacza dzielenie się z drugim człowiekiem tym, co jest dla kogoś ważne. Jezus, wykonując ten gest, pokazał apostołom, że przekazuje im to, co ma dla Niego ogromną wartość, co jest najcenniejsze. Po drugie zaś, jak może pamiętamy z Ewangelii

świętego Łukasza, uczniowie zmierzający do Emaus rozpoznali Jezusa po łamaniu chleba, czyli można wnioskować, że ten gest był znakiem rozpoznawczym Pana Jezusa, czymś bardzo charakterystycznym dla Niego. Gdy więc podczas Mszy widzimy łamanie chleba, to w tym obrzędzie zawsze powinniśmy dostrzegać też Jezusa, ponieważ ten gest to znak, który Go jednoznacznie identyfikuje.

Łamanie chleba, które teraz jest bardzo szybkim gestem, dawniej podczas Eucharystii zabierało znacznie więcej czasu. Dlaczego? Ponieważ dziś na Mszy łamana jest tylko duża hostia, na której kapłan odprawia Mszę i którą pokazuje ludowi na liturgii, dawniej zaś łamano na kawałki wszystkie chleby ofiarowane na Eucharystii. Najpiękniejsze i najsmaczniejsze bochenki wybrane do konsekracji musiały być podzielone na części, by ludzie mogli przyjąć Komunię. Wcześniej więc kapłani rozrywali je na kawałki, łamali, dzielili, by można było je rozdać. Dawniej obrzęd łamania chleba trwał bardzo długo, dziś zajmuje on zaledwie dwie, trzy sekundy. Co więcej, podczas łamania chleba śpiewamy pieśń *Baranku Boży*, więc niestety mało kto zauważa ten moment, bo koncentrujemy się na śpiewaniu.

Łamanie chleba przez kapłana podczas Mszy w praktyce oznacza przełamanie dużej hostii na pół. W tym momencie Eucharystii stajemy przed Panem Jezusem, od którego ksiądz nauczył się tego gestu łamania i teraz go powtarza. Towarzyszy temu bardzo piękna tradycja polegająca na oderwaniu przez kapłana malutkiego kawałka hostii i wrzuceniu go do kielicha. Tę czynność Kościół nazywa **zmieszaniem postaci**, czyli połączeniem już przemienionego Ciała Pańskiego z przemienioną Krwią. Do dziś zachowały się w Kościele trzy sposoby myślenia o tym geście i jego znaczeniu.

Pierwsza tradycja, zwana *fermentum,* wypływa z postrzegania Eucharystii jako sakramentu jedności Kościoła. Każda Eucharystia, gdziekolwiek na terenie danej diecezji się ją sprawuje, jest tą samą Mszą, którą odprawia biskup, ponieważ w rzeczywistości on jeden posiada pełnię kapłaństwa. Poszczególni księża, dostając od niego misję i polecenie do sprawowania Eucharystii, uczestniczą w jego kapłaństwie, które oczywiście nie należy do samego biskupa, ale wypływa prosto od Pana Jezusa. W związku z tym kiedyś w Kościele panował taki zwyczaj, że biskup, odprawiając Mszę, łamał chleb, a następnie diakon brał cząstkę chleba oderwaną przez biskupa i niósł ją do innego kościoła, gdzie na polecenie biskupa inny ksiądz sprawował Eucharystię. To zaś miało być znakiem, że Msza odprawiana przez tego kapłana to ta sama Eucharystia, którą celebruje biskup, ponieważ ten sakrament powinien być sprawowany zawsze w jedności z biskupem. Łamanie chleba, *fermentum*, jest zatem symbolem jedności, bo pokazuje, że we wszystkich zakątkach diecezji czy świata wydarza się ta sama Eucharystia. I choć istnieje wiele różnic w lokalnych sposobach odprawiania Mszy w odległych częściach świata, to Najświętsza Ofiara jest zawsze jedna i ta sama.

Druga tradycja, określana słowem *sancta*, wzięła się z praktyki polegającej na tym, że papież podczas łamania chleba na Eucharystii zostawiał małą cząstkę Ciała Chrystusa, by była przechowywana w tabernakulum do kolejnej Mszy, którą sprawował. Podczas następnej Eucharystii przechowaną cząstkę przemienionego chleba dokładano do kielicha, a z „nowego” chleba brano znów kolejną cząstkę na przechowanie. Ten gest oznaczał zaś nic innego jak to, że danego dnia sprawujemy dokładnie tę samą Eucharystię, która była odprawiana poprzedniego dnia i która wydarzy się kolejnego dnia. Tradycja *sancta* ukazuje ciągłość Eucharystii. Nie dzieje się bowiem tak, że każdego dnia

ma miejsce nowa Eucharystia, codziennie, niezmiennie od dwóch tysięcy lat, sprawowana jest wciąż ta sama Msza. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa wierzono, że dzięki tej tradycji, nieustannie cofając się po linii pozostawiania cząstki Najświętszego Sakramentu podczas Mszy, w końcu dojdzie się do Ostatniej Wieczerzy dającej początek Eucharystii. Myślę, że bardzo pięknym jest patrzenie na Eucharystię jako na jedną, rozpoczętą przez Pana Jezusa i ciągnącą się aż do dziś liturgię, widzenie w niej nie tyle ciągle nowych, codziennie innych wydarzeń, ale tej samej, jednej Mszy, przekazywanej od wieków, a pochodzącej od samego Chrystusa. Tradycja *sancta* mówi o jedności czasowej, tradycja *fermentum* o jedności przestrzennej, ostatni, trzeci sposób rozumienia łamania chleba łączy się zaś z przywoływaniem momentu śmierci Jezusa. W kulturze żydowskiej panuje bardzo silne przekonanie, że we krwi kryje się życie. Dlatego na przykład Stary Testament wyraźnie mówi o zakazie spożywania krwi, ponieważ Żydzi wierzyli, że dosłownie we krwi umiejscowione jest życie. Według niektórych teologów obrzęd zmieszania postaci podczas Eucharystii wynika właśnie z tego myślenia żydowskiego, ponieważ połączenie ciała i krwi, które wcześniej były rozdzielone, oznacza zmartwychwstanie. Człowiek pozbawiony krwi nie żyje, gdy jednak krew wraca do ciała, gdy znów ciało i krew stają się jednością, to ono ożywa, życie jest w nim odnowione. Zmieszanie postaci to podczas Mszy symboliczny moment zmartwychwstania. Wcześniej bowiem podczas łamania chleba symbolicznie dokonała się śmierć Jezusa, czyli Jego życie zostało złamane. Wrzucenie więc cząstki Ciała Pańskiego do Krwi Pańskiej to zatem powrót życia, co oznacza zmartwychwstanie. Jak widać, w tak krótkim obrzędzie przed Komunią Kościół opowiada nam całą mękę Jezusa, Jego śmierć i zmartwychwstanie.

Obrzędowi zmieszania postaci przez kapłana towarzyszy krótka modlitwa, której pewnie większość wiernych nigdy nie usłyszy, ponieważ celebrans odmawia ją po cichu. Są to słowa: *Ciało i Krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, które łączymy i będziemy przyjmować, niech nam pomogą osiągnąć życie wieczne.* Zawsze przypominam je sobie, gdy jestem zalewany pytaniami o to, dlaczego podczas Mszy nie wszyscy przyjmują Komunię pod dwiema postaciami. Ta modlitwa wypowiadana podczas łączenia Ciała i Krwi jasno pokazuje, że te postacie zostały zmieszane na zawsze, co oznacza, że którąkolwiek z nich przyjmiemy, będzie to cały Pan Jezus. Nie dzieje się tak, że spożywając Ciało Pańskie, nie przyjmujemy Krwi lub odwrotnie. Nie ma znaczenia — zawsze jest to cały Bóg. Co więcej, ta modlitwa uświadamia nam także, że przez Komunię otrzymujemy życie wieczne, więc Eucharystia ocala nas przed śmiercią. Można zatem powiedzieć, że gest łamania chleba połączony ze zmieszaniem postaci to bezpośrednie przygotowanie na przyjęcie Pokarmu, który nie jest tylko pokarmem, kawałkiem chleba i kroplami wina, ale jest prawdziwym Chrystusem, Jego Ciałem i Krwią, czyli Bogiem ocalającym człowieka, zbawiającym go od śmierci.

# ROZDZIAŁ 28

# „Baranku Boży”

Tuż przed Komunią Świętą pojawiają się jeszcze trzy ważne elementy, które rozpoczyna śpiew *Baranku Boży,* i o nich kilka słów w tym rozdziale.

Jak już wiemy, hymn *Baranku Boży* towarzyszy łamaniu chleba eucharystycznego i zmieszaniu postaci, dlatego dawniej ciągnął się aż połamano wszystkie przygotowane bochenki. Dziś zazwyczaj jest to krótkie potrójne wezwanie zaczynające się od słów: *Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata…*, czyli tak zwane trzy Baranki, z których pierwsze dwa kończą się prośbą: *zmiłuj się nad nami*, a ostatni: *obdarz nas pokojem*. Czasem jednak, podczas bardzo uroczystych celebracji, gdy Mszę wspólnie sprawuje wielu księży i rozdawanie Najświętszego Sakramentu kapłanom trwa bardzo długo, pierwszą część hymnu *Baranku Boży* śpiewa się nawet kilkanaście razy, dopiero na koniec, gdy już wszyscy księża mają w dłoniach Ciało Jezusa, śpiew jest domykany formułą o pokoju.

Śpiew *Baranku Boży* ma genezę *stricte* biblijną. Istotnym wydaje się fakt, że sam symbol baranka na kartach Biblii ma wiele wymiarów i kontekstów odnoszących się do Eucharystii. Warto wspomnieć, że najważniejszymi wydarzeniami z historii narodu wybranego, które niejako zapowiadają Jezusa jako Baranka Bożego są: ofiara, jaką miał złożyć Bogu Abraham ze swego jedynego syna Izaaka (Księga Rodzaju) oraz spożywanie przez Izraelitów baranka paschalnego tuż przed wyjściem

z niewoli egipskiej (Księga Wyjścia). Również w Nowym Testamencie autor czwartej ewangelii opisuje, że Jan Chrzciciel nazwał Jezusa Barankiem Bożym, który gładzi grzechy świata, wskazując na Niego swoim uczniom. Gdy więc śpiewamy hymn *Baranku Boży* przypominamy sobie, że za chwilę przyjmiemy Jezusa-Baranka, który został złamany dla naszego zbawienia, który się ofiarował, byśmy mogli wyjść z niewoli. To my mieliśmy zginąć, a On oddał życie za nas, byśmy mogli żyć. Ten śpiew jest przygotowaniem serca na przyjęcie największej miłości świata.

Podczas *Baranku Boży* nie wykonujemy żadnych gestów. Niestety dość powszechne w naszych kościołach są schylanie głowy, bicie się w piersi lub nawet klękanie. Żaden z tych gestów nie jest potrzebny. Ten śpiew to nie jest moment, w którym mamy Jezusa za coś przepraszać ani w którym powinniśmy przyznawać się do naszych grzechów i słabości. To robiliśmy już wcześniej, śpiew *Baranku Boży* jest czasem na uwielbienie i dziękczynienie, na modlitwę: „Jezu, obdarzyłeś nas taką miłością, że zostałeś za nas zabity, uwielbiamy Cię w tym! Chcemy Cię przyjąć, bo chcemy przyjąć Twoje zbawienie”. Nie koncentrujemy się tu znowu na sobie, ale uwielbiamy dzieło zbawienia i to, że Bóg da nam za chwilę do niego realny dostęp.

Niektórzy kapłani podczas śpiewu *Baranku Boży* (choć to jest trochę niezgodne z przepisami liturgicznymi) wypowiadają słowa modlitwy zwanej apologią. Mszał rzymski podaje, że apologię należy wypowiedzieć po cichu, nie dodaje jednak, że ta modlitwa nie może być słyszana przez ludzi uczestniczących w Eucharystii. Te słowa trzeba wypowiedzieć ciszej niż inne modlitwy i przyznam szczerze, że sam uchwyciłem się tego wątku w moim sposobie jej odmawiania, a co za tym idzie nigdy nie modlę się apologią podczas *Baranku Boży*, ale czekam aż śpiew się skończy i potem ciszej, ale w słyszalny dla innych sposób, ją wypowiadam. Dlaczego?

Ponieważ według mnie są to jedne z najpiękniejszych tekstów, jakie słyszymy podczas Mszy, więc szkoda, by modlił się nimi tylko kapłan.

Apologia po *Baranku Boży* ma dwie wersje. Pierwsza z nich to słowa:

> *Panie Jezu Chryste, Synu Boga Żywego, Ty z woli Ojca, za współdziałaniem Ducha Świętego, przez swoją śmierć dałeś życie światu, wybaw mnie przez najświętsze Ciało i Krew Twoją od wszystkich nieprawości moich i od wszelkiego zła; spraw także, abym zawsze zachowywał Twoje przykazania i nie dozwól mi nigdy odłączyć się od Ciebie.*

Druga wersja tego tekstu jest krótsza i brzmi następująco:

> *Panie Jezu Chryste, niech przyjęcie Ciała i Krwi Twojej nie ściągnie na mnie wyroku potępienia, lecz dzięki Twemu miłosierdziu niech mnie chroni oraz skutecznie leczy moją duszę i ciało.*

Te dwa teksty to nic innego jak przygotowanie kapłana przed przyjęciem Najświętszego Sakramentu. Celebrans wypowiada je jednak w imieniu całego modlącego się Kościoła, dlatego według mnie ważne jest, by były słyszane. Treść pierwszego z nich w niezwykle ujmujący sposób nastraja nasze serca do stanięcia przed Bogiem w pokorze i w świadomości, że bardzo potrzebujemy wybawienia od zła, oraz że bez Bożej interwencji nie jesteśmy w stanie cały czas być blisko Niego. Ten drugi tekst natomiast jest przepiękną prośbą o to, byśmy nigdy nie znaleźli się w takiej nieprawdzie swojego serca, że będziemy niegodnie, czyli świętokradczo, przyjmować Pana Jezusa. Sądzę więc, że warto czytać je w taki sposób, byśmy w sercu wszyscy mogli się nimi pomodlić, nie tylko ksiądz. Jeśli jednak w czyjejś parafii tak się nie dzieje, warto je zapamiętać, by przed

Komunią przywołać je w sercu jako osobistą modlitwę przed przyjęciem Boga.

Ostatnim elementem przed przystąpieniem do Komunii jest tak zwane małe ukazanie, czyli podniesienie Najświętszego Sakramentu, by wierni jeszcze raz mogli go adorować. Wtedy klęcząc, słyszymy z ust kapłana słowa: *Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Błogosławieni, którzy zostali wezwani na Jego ucztę*. To wezwanie jest złożeniem dwóch biblijnych cytatów, z Ewangelii świętego Jana oraz z Apokalipsy, i ma ono wyrażać Boże zaproszenie na ucztę. My, słysząc te słowa, powinniśmy się czuć ich adresatami, bo to właśnie dla nas Bóg tę ucztę wystawia.

Naszą odpowiedzią na usłyszane zaproszenie są słowa ewangelicznego setnika: *Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja*. Pokazują nam one wyraźnie, jaką postawę powinniśmy mieć w sobie, przyjmując Boga. Z jednej strony bowiem w naszych sercach żywa powinna być świadomość tego, że jesteśmy zwyczajnie niegodni, by Bóg w nas zamieszkał. Nawet jeśli jesteśmy po spowiedzi, nawet jeśli trwamy w łasce uświęcającej — a przecież tylko w takim stanie możemy przystępować do Komunii — to i tak nigdy nie będziemy godni tego sakramentu. To, co Bóg dał nam w Eucharystii, jest tak wielkie, że nie ma szans, byśmy kiedyś stali się tego godni. Z drugiej strony jednak słowa celnika podpowiadają nam, że choć rzeczywiście jesteśmy zupełnie niegodni takiej bliskości Boga, to nie na tym powinniśmy się skupiać. Będąc świadomymi swojej kondycji, dobrze jest skoncentrować się głównie na tym, że Bóg chce nam się dać. Nie chodzi bowiem o to, by przyjmować Komunię z myślą: „Nie nadaję się zupełnie do tego”, ale do doświadczenia swojej niegodności dokładać zawsze myśl: „Ale wystarczy mi, Panie, że powiesz słowo i to się stanie. Bo to przecież, Boże, jest Twoja decyzja, że chcesz do mnie przyjść, bo

gdybym ja ją miał podejmować, moja niegodność i moje nieprzygotowanie nie pozwoliłyby mi na to”.

I tu mała wskazówka dotycząca tej niegodności w przyjmowaniu Komunii. Niekiedy dzieje się tak, że ktoś ma wątpliwości, czy może przyjąć Ciało Chrystusa. Otóż sprawa jest prosta: nie przystępujemy do Komunii wtedy, kiedy mamy świadomość popełnienia grzechu ciężkiego. Jeżeli ktoś wie, że popełnił grzech ciężki i nie był u spowiedzi, by go wyznać i otrzymać rozgrzeszenie, czyli nie jest w stanie łaski uświęcającej, nie może przystąpić do Komunii. Ale jeżeli ktoś ma w tym temacie wątpliwość i nie do końca jest pewien, czy to był grzech ciężki, czy nie, to — biorę to na siebie — może przyjąć Najświętszy Sakrament. Oczywiście przy najbliższej okazji trzeba podczas spowiedzi wspomnieć o tej niepewności, powiedzieć: „Proszę księdza, miałem taką i taką sytuację, nie byłem pewien, czy popełniłem grzech ciężki, sumienie mi mówiło, że raczej nie, ale nie wiedziałem tego na sto procent i ostatecznie przyjąłem Komunię”. Ważne jednak, by taka niepewność nie pozbawiała nas dostępu do tego sakramentu, ponieważ Komunia Święta nie jest nagrodą za dobre życie, ale lekarstwem. Jasne, że kiedy czujemy, że mamy na sumieniu grzech ciężki, to, broń Boże, nie wolno nam Komunii przyjmować, bo w ten sposób dojdziemy do sytuacji, która niestety zaczyna się już wydarzać w niektórych miejscach Kościoła, polegającej na tym, że ludzie zupełnie bez świadomości grzechu zawsze przystępują do Komunii, często niestety bezczeszcząc Najświętszy Sakrament. Nie można jednak wpadać w drugą skrajność, gdy tylko nieskazitelność daje nam dostęp do Komunii. Nigdy nie będziemy jej godni, więc przyjmujmy ją jako lekarstwo. Jeśli nie mamy grzechu ciężkiego, przyjmowanie Komunii da nam moc do walki z różnymi słabościami, grzechami czy trudnymi sytuacjami. Najświętszy

Sakrament leczy naszą grzeszność, bo jest lekarstwem dla słabych, którzy potrzebują pomocy.

Podczas „małego ukazania”, czyli momentu adoracji poprzedzającego przyjęcie Komunii, ludzie uczestniczący we Mszy powinni klęczeć. Klękamy, gdy zakończy się śpiew *Baranku Boży*. Niestety czasem zdarza się tak, że w niektórych kościołach przed ostatnim wezwaniem hymnu słychać nieszczęsne dzwonki i wtedy w całym kościele robi się szum, bo wszyscy klękają. Dzieje się tak, ponieważ księża często uczą ministrantów, że mają dzwonić, gdy celebrans przyklęka przed ołtarzem, co jest sygnałem, że odmówił właśnie modlitwę apologii. Zasadniczo jednak, przypominając sobie zasadę, że w liturgii na wszystko jest czas, powinniśmy z klękaniem doczekać do końca śpiewu, nie przyśpieszać tego momentu. Z kolan wstajemy dopiero wtedy, gdy zakończy się dialog księdza i wiernych, a ksiądz zacznie w ciszy sam spożywać Ciało i Krew Pana Jezusa.

Jeśli chodzi o samą postawę klęczenia, to warto zapamiętać, że zarówno podczas przeistoczenia, jak i podczas małego ukazania, klęczymy na dwa kolana. Jeśli zdrowie pozwala nam na taką postawę ciała, czyli nie mamy jakichś trudności fizycznych uniemożliwiających nam klęczenie, to nie wykonujemy żadnych przykuców czy przysiadów, nie zamieniamy się w jednokolanowych panczenistów, nie kucamy i nie wykonujemy innych cudów wianków, jak to czasem niestety można zaobserwować w kościołach. Postawa klęcząca polega na tym, że klękamy na obydwa kolana i patrzymy na Pana Jezusa. Wszystkie inne pomysły to uniki, które wymyśliliśmy sobie na przestrzeni lat, a które nie są godne liturgii.

# ROZDZIAŁ 29

# Obrzęd Komunii Świętej

Po krótkiej adoracji Ciała i Krwi Pana Jezusa oraz po skończonym dialogu kapłana z wiernymi, powinniśmy wstać i w uporządkowany sposób przystąpić do Komunii Świętej. Oczywiście w kwestii przyjmowania Pana Jezusa każda parafia ma swoje zwyczaje, choć najbardziej praktycznym i szanującym powagę tego momentu sposobem wydaje się procesyjne zmierzanie ludzi do ołtarza i spokojne, człowiek po człowieku, kolejkowe przystępowanie do Komunii.

Według aktualnie obowiązujących przepisów liturgicznych w Kościele katolickim istnieją cztery sposoby przystępowania do Komunii Świętej: na stojąco lub na klęcząco, do ust lub na rękę. Te opcje można dowolnie łączyć i w każdy z tych powstałych czterech wariantów przyjmować Jezusa. To jest oficjalna nauka Kościoła w tej sprawie i zupełnie bezpodstawne jest, powołując się na różne objawienia i wizje, odsądzanie od czci i wiary ludzi, którzy w jeden z tych sposobów (na przykład na stojąco i na rękę) przystępują do Komunii, co niestety nierzadko dzieje się w naszym polskim Kościele. Mało tego! Przyjmowanie Komunii na rękę jest starożytną praktyką Kościoła, posiadającą cudowną symbolikę. Jeżeli więc ktoś uważa, że w związku z jakimś objawieniem anioła czy wizją świętego można przyjmować Komunię tylko na klęcząco i do ust, jest w błędzie, ponieważ Kościół mówi coś innego. W rzeczywistości biskup danego

miejsca decyduje o tym, w jaki sposób w jego diecezji wierni mogą przystępować do Komunii. Jeżeli więc któryś z biskupów orzeknie: „W tej diecezji nie wolno przystępować do Komunii Świętej na stojąco”, to oczywiście w posłuszeństwie należy przyjmować Jezusa tylko na klęcząco. Jednak prawie we wszystkich zakątkach świata dopuszczalne są te cztery sposoby. Grzeszymy więc, jeśli samemu klęcząc i przyjmując Jezusa do ust, myślimy o kimś stojącym obok i biorącym Ciało Chrystusa na rękę, że jest grzesznikiem i świętokradcą. Dlaczego? Ponieważ osądzamy go niesłusznie i odmawiamy mu prawa, które dał mu Kościół. Oczywiście działa to też w drugą stronę. Grzeszymy również, gdy sami przystępujemy na stojąco, a o kimś klęczącym obok myślimy: „Ale dewot”.

Każdy z tych czterech wariantów przyjmowania Komunii ma niezwykle piękną symbolikę, która wynika ze znaczenia poszczególnych gestów je tworzących. I tak przyjmowanie Komunii na rękę łączy się z dwoma modlitewnymi gestami. Pierwszy z nich to gest pustych rąk, który wyraża modlitwę: „Panie, niczego nie mam, proszę, napełnij mnie”. Drugi to gest przygotowywania tronu mający swe początki w starożytności, czyli będący znacznie starszym sposobem przyjmowania Komunii niż do ust. Co ciekawe, gest przygotowania tronu wyglądał nieco inaczej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa niż dzisiejsze ułożenie rąk przy Komunii. Podobnie układano ręce, czyli kładziono jedną na drugą, tworząc kołyskę, następnie zaś, gdy Ciało Jezusa znalazło się na jednej z dłoni, to nie podnoszono Go drugą do ust, ale to usta nachylano, czyli przysuwano niżej, by jeść Komunię bezpośrednio z dłoni. Myślę, że to niezwykle piękny gest, do którego dobrze byłoby wrócić. Jeśli ktoś przyjmuje Pana Jezusa na rękę, warto by przemyślał, czy w taki sposób nie chce wyrażać miłości i szacunku, pochylając się ku Chrystusowi i ustami biorąc z dłoni Jego Ciało.

Gest przyjmowania Komunii Świętej bezpośrednio do ust również posiada piękną symbolikę. Jest on związany z pojawiającym się w teologii motywem pelikana, który karmi swoje dzieci własnym ciałem. Tradycja ukazywała pelikana jako ptaka żywiącego swoje pisklęta własną krwią. Dziś, dzięki różnym badaniom przyrodniczym wiemy, że jest to związane z faktem, że ptak ten wkłada do swojego dzioba pokarm, który potem bezpośrednio przekazuje swoim dzieciom. Podobną symbolikę ma ten sposób przyjmowania Komunii, który przypomina nam, że Bóg sam karmi nas swoim Ciałem.

Jeśli chodzi o klęczenie i stanie, to są to dwa gesty wyrażające nieco odmienne postawy serca, ale oczywiście obydwa adekwatne w tym momencie liturgii. Klęczenie jest gestem szacunku i uniżenia przed przychodzącym Panem i Królem. Postawa stojąca to zaś symbol upodobnienia się tych, którzy przyjmują Ciało i Krew, do Pana Zmartwychwstałego. Stojąc, niejako mówimy Jezusowi: „Chcę żyć tak, jak Ty żyjesz”. I tak jak już było powiedziane, wszystkie cztery sposoby przyjmowania Komunii są ważne i piękne. Warto wybrać zatem z nich swój własny wariant, który pozwoli nam najpełniej wyrazić miłość do Boga w tym niezwykłym momencie.

W wybieraniu swojego sposobu przystępowania do Komunii dobrze jest pamiętać o jednej ważnej rzeczy, a mianowicie, by zwrócić uwagę na to, jaki zwyczaj panuje w lokalnej wspólnocie wiernych. Jest bowiem rzeczą niezwykle dobrą, roztropną i właściwą dostosować się do sposobu przyjmowania Komunii Świętej w danym kościele. Jeżeli na przykład jesteśmy na Mszy w kościele, w którym są balaski (których osobiście nie cierpię), i w związku z tym wszyscy klękają przed balaskami i tak przyjmują Pana Jezusa, to wtedy, choć może zwykle przystępujemy do Komunii na stojąco, warto przyjąć lokalną tradycję w tej kwestii. I tak samo

w drugą stronę: jeśli zwykle klękamy przy Komunii, a trafimy do kościoła, gdzie podchodzi się procesyjnie, dobrze jest nie robić zamieszania i nie klękać na środku, ale przyjąć Jezusa w geście danej wspólnoty. Oczywiście niedostosowanie się do lokalnych zwyczajów nie dyskwalifikuje nas w przyjęciu Komunii, ale ważne jest, by w tym momencie jedności Kościoła w Ciele Chrystusa, z miłości do ludzi modlących się obok uszanować ich zwyczaje.

Gdy podchodzimy procesyjnie do Komunii, to tuż przed jej przyjęciem powinniśmy przyklęknąć lub skłonić się. To ważny zwyczaj wyrażający szacunek wobec Sakramentu Eucharystii. Warto jednak pamiętać, że powinniśmy przyklęknąć i wstać zanim nastąpi nasza kolej przyjęcia Komunii. Zupełnie nie rozumiem argumentów ludzi, którzy z przyklęknięciem czekają do samego końca, twierdząc, że nie będą klękać przed kimś innym niż Pan Jezus. Gdy słucham takich wyjaśnień, przyznam szczerze, że wyczuwam w nich odrobinę hipokryzji. Dlaczego? Ponieważ człowiek, który jest przed nimi, właśnie przyjmuje Jezusa, więc wcale Go nie zasłania, ale Bóg w nim mieszka i ten ktoś jest aktualnie chodzącym tabernakulum. Przed przyjęciem Komunii przyklękamy lub skłaniamy się, stojąc jeszcze w kolejce.

Jeśli chodzi o gesty, które mogą towarzyszyć przyjmowaniu Najświętszego Sakramentu, to nie ma jednego, ściśle określonego znaku, który trzeba wykonywać. Każdy może poszukać tego, który najbardziej wyraża jego serce. Jak już wspominałem, pięknym gestem jest złożenie rąk, symbolizujące oddanie. Według mnie jest to chyba najwłaściwszy gest w tym momencie Eucharystii. Innym, również niezwykle poruszającym gestem jest wywodzące się ze starożytności skrzyżowanie dłoni na piersiach na znak Chrystusa ukrzyżowanego. Niektórzy ludzie kładą jedną rękę na sercu, co też może być pięknym znakiem, choć przyznam, że ten

gest warto przemyśleć, szczególnie jeśli zdarza nam się przystępować do Komunii za granicą, na przykład w Anglii. W wielu krajach bowiem takie ułożenie ręki oznacza, że ktoś nie może przyjąć Pana Jezusa, bo nie jest w stanie łaski uświęcającej, więc prosi o błogosławieństwo kapłana, a nie o Komunię. Nawiasem mówiąc, jeśli ktoś rzeczywiście nie może przyjąć Ciała Jezusa, to niech koniecznie idzie po błogosławieństwo. W Polsce taką prośbę wyraża się na przykład położeniem palca na ustach, wtedy kapłan wie, że dana osoba nie jest w stanie łaski uświęcającej i przyszła po błogosławieństwo.

Gdy podchodzimy do kapłana udzielającego Komunii, ksiądz wypowiada słowa: *Ciało Chrystusa*, na co my odpowiadamy: *Amen*, nie żadne: „Wierzę”, „Ufam” albo „Na pewno”. Mszał rzymski podaje, że *Amen* jest wystarczającą odpowiedzią i jedyną słuszną, ponieważ oznacza potwierdzenie „Tak właśnie jest” lub „Niech tak się stanie”. Po przyjęciu Pana Jezusa zaś nie wykonujemy już żadnych gestów, nie robimy znaku krzyża, ani nigdzie nie przyklękamy, tylko odchodzimy na swoje miejsce.

Pozwolę sobie teraz na mały wtręt dotyczący tego, jak spożywamy przyjętą Komunię, ponieważ słyszałem już wiele mitów na ten temat, niestety propagowanych czasem na katechezie szkolnej na przykład przy okazji przygotowania do Pierwszej Komunii. Otóż bzdurą jest, że gdy weźmie się do ust Pana Jezusa, czyli konsekrowaną hostię, to nie należy jej gryźć czy łamać, ale zostawić na języku, póki się nie rozpuści. Całkowitym absurdem jest gadanie, że nie można normalnie przełknąć konsekrowanej hostii. Domyślam się, że takie teorie i wskazówki mogą wynikać z chęci uszanowania Najświętszego Ciała, ale według mnie są one raczej przejawem „nerwicy religijnej”, a nie sensownej refleksji nad tym, jak oddać cześć Panu Jezusowi. Ciało Chrystusa jest pod postacią chleba, a chleb to rzecz do jedzenia, a to zaś oznacza, że należy go spożyć tak, jak

się je normalny chleb. Oczywiście trzeba wszystko robić z szacunkiem i miłością, ale koniecznie należy unikać magiczno-nerwicowego myślenia o tym kawałku chleba w naszych ustach. By uszanować moment spożycia Ciała Pana Jezusa, można na przykład przez kilka lub kilkanaście minut po Mszy nie jeść żadnych innych pokarmów. Jeżeli bowiem przyklei nam się kawałek konsekrowanej hostii do podniebienia lub wejdzie między zęby, warto odczekać trochę po Mszy Świętej, czyli zrobić sobie taki krótki (powiedzmy) post „poeucharystyczny”, nie jedząc cukierków, czy nie pijąc coli. Chodzi o to, by pamiętać, że to Ciało jest czymś wyjątkowym, ale jednocześnie nie bać się go spożywać.

Warto też pamiętać, że przepisy kościelne podają, że w ciągu jednego dnia możemy przyjąć Komunię Świętą dwa razy, z zastrzeżeniem: drugie przystąpienie do tego sakramentu musi być połączone z uczestnictwem w całej Eucharystii. Jeśli więc ktoś rano, idąc do pracy, wszedł na chwilę do kościoła, a tam akurat trwała Msza i była Komunia, to oczywiście może przyjąć Pana Jezusa. Gdy jednak po południu zdarzy się podobna sytuacja, że też na chwilę wejdzie do świątyni i tam będzie trwała Msza, to aby przystąpić do Komunii, musi być obecny na całej Eucharystii, a nie tylko na jej części. Warto jednak pamiętać, że dokumenty Kościoła ściśle określają zasady przyjmowania Komunii poza Mszą Świętą. Jeśli nie ma wyraźnej potrzeby, sugerują, by nie robić tego, ponieważ niezwykle istotnym aspektem Eucharystii jest zachowanie jedności stołu Słowa i Chleba. Oczywiście nie chodzi o to, że dwukrotne przyjęcie Komunii w ciągu dnia daje jakąś podwójną łaskę. Nie, moc Chrystusa dana nam na każdej Eucharystii jest taka sama, ona się nie mnoży wraz ze wzrostem liczby przyjmowań, bo w każdej Komunii dostajemy pełnię łaski. Nie jest też tak, że gdy księdzu podczas rozdawania Ciała Chrystusa skleją się dwa komunikanty, to znaczy, że ktoś dostał podwójną łaskę. Każda cząstka Pana

Jezusa, czy dwumetrowa czy jednomilimetrowa, to dokładnie ten sam Pan Jezus. Mnożyć powinny się w nas oczywiście miłość w przystępowaniu do tego sakramentu, pragnienie bliskości bycia z Bogiem oraz chęć kształtowania swojego życia według Jego pomysłów.

Jedynym wyjątkiem od zasady dwukrotnej możliwości przyjmowania Pana Jezusa w Eucharystii jest tak zwany wiatyk, czyli Komunia Święta dla umierających. Jeżeli więc ktoś przyjął w danym dniu dwa razy Pana Jezusa, bo był na dwóch Mszach, a wieczorem nagle okazało się, że umiera, to w takiej sytuacji może przyjąć Komunię po raz trzeci. Uczciwie jednak trzeba przyznać, że takie okoliczności zdarzają się dość rzadko.

Po przystąpieniu do Komunii Świętej wracamy do ławki, by adorować w swoim sercu Pana Jezusa. Powstaje jednak pytanie: jaka w tym momencie powinna być postawa naszego ciała? Czy mamy stać, klęczeć czy siedzieć? Dawniej dość powszechnie panował piękny zwyczaj polegający na tym, że wszyscy zgromadzeni w kościele stali do czasu, aż skończył się obrzęd rozdawania Komunii Świętej. W niektórych małych wspólnotach do dziś jest praktykowany i, co warto wiedzieć, pokrywa się on także w ogólnymi wskazaniami liturgicznymi obowiązującymi w Kościele. Nie powinniśmy więc po przyjęciu Pana Jezusa zaszywać się w swoim kąciku i tam zajmować się samym sobą i przyjętym do serca Bogiem, ale do końca rozdawania Najświętszego Sakramentu jednoczyć się z tymi wszystkimi, którzy go przyjmują, między innymi poprzez przyjęcie postawy stojącej. Dopiero, gdy skończy się ten obrzęd, możemy usiąść i adorować Chrystusa w naszych sercach. Dlaczego Kościół proponuje nam takie przeżywanie Komunii? Ponieważ karmienie się Ciałem i Krwią Chrystusa to najważniejszy moment przeżywania naszej jedności, to czas, gdy cała wspólnota Kościoła się jednoczy w Ciele Jezusa. Gdy wszyscy

stoimy, dajemy wyraz temu, że razem z braćmi i siostrami bierzemy udział w Komunii Świętej.

Gdy skończy się udzielanie Komunii ludziom zgromadzonym na Eucharystii, każdy z nas powinien osobiście spotkać się z Panem Jezusem. W tym czasie można przyjąć różne postawy ciała — klęczeć, siedzieć lub stać. Kościół daje nam dowolność, zupełnie nie wartościując, która z postaw jest lepsza, a która gorsza. Nasze ciało ma nam pomóc w uwielbieniu i dziękczynieniu, więc każdy w swoim sercu musi zadecydować, która postawa pomaga mu pełniej się modlić. Trzeba jednak pamiętać, że czas po przyjęciu Komunii nie jest miejscem na pokutę, na przepraszanie czy na przebłagalne pokłony. Jak mówi Pismo Święte, nie możemy pościć, ale powinniśmy się cieszyć, bo Oblubieniec jest z nami (por. Mt 9, 15), bo właśnie przyszedł do nas Bóg i wszystko inne nie jest tak ważne jak to wydarzenie. W tym momencie powinniśmy więc adorować, dziękować, uwielbiać i modlić się, by Boża obecność wypełniła nas po brzegi, by nas oczyściła, uświęciła i pobłogosławiła nasze życie.

Po zakończeniu rozdawania Komunii zazwyczaj jest intonowana jakaś pieśń uwielbienia, w którą warto się włączyć, a dopiero, gdy się skończy, pomodlić się indywidualnie. Oczywiście mam świadomość, że w wielu parafiach jest to niemożliwe, ponieważ po Komunii nie ma ani pieśni uwielbienia, ani chwili ciszy, bo ksiądz „leci” dalej w sprawowaniu liturgii. Jeśli ktoś ma zatem wpływ na to, co dzieje się w jego wspólnocie parafialnej lub ma możliwość po prostu porozmawiania o tym z księżmi, to bardzo zachęcam, by to zrobić. Czas na uwielbienie i prywatną modlitwę po Komunii to rzecz, o którą warto zawalczyć.

Gdy wierni śpiewają pieśń dziękczynną, ksiądz dokonuje tak zwanej puryfikacji, czyli czynności polegającej na oczyszczeniu kielicha i pateny (które były używane), a także własnych palców (którymi rozdawał

Komunię), by żaden okruszek Najświętszego Sakramentu na nich nie pozostał. Dawniej podczas liturgii praktykowany był także zwyczaj oczyszczania ust kapłana. Celebrans po spożyciu Pana Jezusa musiał zjeść jeszcze kawałek poświęconego, zwykłego chleba, by w ten sposób oczyścić własne usta. Dziś nie stosuje się już tej pięknej praktyki, pokazującej konieczność zatroszczenia się o godne spożywanie Chrystusa. Podobną dbałość powinni mieć w sobie wszyscy, którzy przyjmują Pana Jezusa na rękę. Ważne, by po przyjęciu Komunii sprawdzić z największą uważnością, czy przypadkiem na dłoni nie został jakiś okruszek konsekrowanej hostii, zwany liturgicznie partykułą. Jeśli tak się stało, to koniecznie trzeba natychmiast go spożyć, czyli oczyścić swoje ręce ustami czy językiem, by żadna część Ciała Chrystusa nie upadła.

Na koniec obrzędów Komunii powinna być chwila ciszy (niestety rzadko praktykowana w kościołach) poprzedzająca modlitwę kończącą Liturgię Eucharystyczną. Po tym zaś, jak pomodlimy się w ciszy, spotykając się z Panem Jezusem, którego przyjęliśmy, następuje tak zwana modlitwa po Komunii, czyli krótka oracja, będąca dziękczynieniem za przystąpienie do tego sakramentu i prośbą o to, by on zaowocował w naszym życiu.

# ROZDZIAŁ 30

## Komunia pod dwiema postaciami

Skoro wiemy już, w jaki sposób przystępujemy do Komunii Świętej, warto na chwilę zatrzymać się nad kwestią przyjmowania Pana Jezusa pod dwiema postaciami. Pytanie o to, dlaczego podczas Mszy wierni świeccy przyjmują Jezusa tylko pod postacią chleba, często stawiane jest jako zarzut względem Kościoła, według mnie poniekąd trochę słuszny. Zanim więc spróbujemy odpowiedzieć na tę wątpliwość, trochę teologicznych i historycznych wyjaśnień.

Otóż, jeżeli chodzi o praktykę udzielania Komunii wiernym tylko pod postacią chleba, trudno w ogóle zlokalizować jakiś konkretny moment w historii Kościoła, kiedy się to zaczęło. Zasadniczo od samego początku chrześcijaństwa obowiązywały obydwa sposoby udzielania Najświętszego Sakramentu. W pierwotnych wspólnotach chrześcijańskich na Eucharystii przyjmowano Komunię Świętą pod dwiema postaciami, ale jednocześnie, gdy zanoszono Komunię do chorych, udzielano jej potrzebującym tylko pod jedną postacią — nie noszono im konsekrowanego wina. Jednak wówczas nikt nie miał wątpliwości, że chory, przyjmując Najświętszy Sakrament pod postacią chleba, dostaje mniej lub niepełnie. W tej kwestii zaważyły względy czysto praktyczne, co w sumie do dziś jest głównym powodem udzielania wiernym podczas Mszy Komunii tylko pod postacią chleba.

Praktyka rozdawania Najświętszego Sakramentu pod jedną postacią rozpowszechniła się w Kościele około XII wieku. Pojawiły się ku temu dwa powody praktyczno-organizacyjne. Pierwszym z nich była ograniczona ilość wina, a drugim mniejsza dostępność szafarzy tego sakramentu. Niektórzy historycy podają również jako trzeci powód rezygnacji z udzielania wiernym Komunii pod dwiema postaciami lęk chrześcijan przed narażeniem Najświętszego Sakramentu na zbezczeszczenie. Ten strach, choć z założenia jest czymś dobrym, jak widać, przerodził się jednak w coś nie do końca słusznego, ponieważ właśnie od XII wieku w Kościele niemalże całkowicie zaprzestano udzielania Komunii pod dwiema postaciami, a także znacznie ograniczono w ogóle dostęp do tego sakramentu. Od tego czasu, głównie ze względów organizacyjnych, utrzymano tę praktykę aż do Soboru Watykańskiego II, ponieważ do udzielania Komunii tylko pod postacią chleba nie potrzeba tylu szafarzy, tyle kielichów i tyle wina.

Pozostawiając jednak na boku rys historyczny, ważne jest, by zauważyć, że Kościół od samego początku, czyli od ponad dwóch tysięcy lat, zawsze mocno wierzył, że Pan Jezus jest cały zarówno w chlebie, jak i w winie. Nie dzieje się tak, że cała Boża obecność jest tylko i wyłącznie w chlebie i winie razem przyjmowanych: w chlebie jest tylko połowa łaski i analogicznie w winie też tylko część. Prawda jest taka, że Pan Jezus jest w stu procentach obecny w chlebie, a razem z Nim w stu procentach są tam wszelkie dary łaski i zbawienie. Tak samo w winie. Jeśli ktoś, będąc chorym, nie może przełykać, a w konsekwencji przyjmuje tylko Krew Pańską, to otrzymuje sto procent Pana Jezusa. Nie oznacza to jednak, że gdy ksiądz podczas Mszy spożywa Ciało i Krew, otrzymuje dwieście procent Boga — on również dostaje sto procent Bożej obecności i łaski. Gdy przyjmujemy Najświętszy Sakrament pod jedną postacią, nie zostaje

nam nic zabrane, ponieważ Bóg jest zawsze cały w każdej postaci. Teologicznie więc nie ma żadnego znaczenia, którą z postaci przyjmujemy, zawsze dostajemy całego Boga. Natomiast ze względu na znak, sprawa ma się inaczej.

Pełniejszym znakiem eucharystycznym jest bowiem przyjmowanie Komunii Świętej pod dwiema postaciami i dlatego, jeśli jest to możliwe, warto starać się, by taki sposób przyjmowania Najświętszego Sakramentu był dostępny wiernym. Sobór Watykański II przywrócił świeckim możliwość przyjmowania Pana Jezusa pod dwiema postaciami, ale wyraźnie zaznaczył, że nic nie zmienia to w kwestii nauki o obecności Boga w tym sakramencie. W dokumentach liturgicznych istnieją więc z góry ustalone zasady, kiedy można udzielać wiernym Komunii Świętej pod dwiema postaciami, nie pytając za każdym razem o pozwolenie. Co więcej, każdy biskup w swojej diecezji ma możliwość wydania zgody na udzielanie tego sakramentu pod dwiema postaciami w jakichś sytuacjach dotąd nieujętych w dokumentach lub w ogóle może pozwolić swoim proboszczom, by według własnego uznania udzielali wiernym Komunii w chlebie i winie. Wyjątkiem niewymagającym zgody biskupa są rekolekcje. Wtedy można bez żadnych szczególnych pozwoleń udzielić wszystkim wiernym Komunii pod dwiema postaciami. Gdy sam prowadzę rekolekcje lub misje parafialne, zwykle staram się z danym proboszczem zorganizować wiernym taką możliwość. Chyba że naprawdę realnie brakuje szafarzy sakramentu, to wiadomo, że trzeba niestety odpuścić.

Dziś w Polsce i na świecie jest wiele miejsc, w których bardzo często udziela się Komunii Świętej pod dwiema postaciami. Na przykład w naszej dominikańskiej kaplicy w Łodzi codziennie wierni mają taką możliwość, ponieważ na nasze Msze przychodzi nie więcej niż kilkadziesiąt osób, w niedziele zaś maksymalnie koło dwustu, zatem bez problemu można

rozdawać Pana Jezusa w chlebie i winie. W Krakowie na Mszy konwentualnej również udzielana jest Komunia pod dwiema postaciami, natomiast już na Mszy studenckiej, gromadzącej znacznie więcej osób, nie ma takiej praktyki ze względów czysto organizacyjnych.

Warto zatem zapamiętać, że bez względu na to, pod jaką postacią przyjmujemy Pana Jezusa, zawsze jest to stuprocentowy Bóg. Natomiast dla przeżywania pełności znaku dobrze, jeśli jest to możliwe, zawalczyć, by szczególnie w małych wspólnotach parafialnych lub w mniejszych grupach modlących się wspólnie wierni mogli przyjmować Komunię Świętą nie tylko pod postacią chleba, ale i wina. Naprawdę warto zgłosić się do proboszcza, by podczas Mszy pojawiała się taka możliwość, a gdy on będzie narzekał na to, że nie ma ludzi do rozdawania Komunii, to trzeba poprosić go, by ustanowił nowych szafarzy nadzwyczajnych.

I tu ważne dopowiedzenie w temacie tego, kto w ogóle może rozdawać Komunię Świętą. Otóż osobami uprawionymi do udzielania wiernym tego sakramentu są tak zwani zwyczajni i nadzwyczajni szafarze Eucharystii.

Zwyczajnymi szafarzami Najświętszego Sakramentu, czyli tymi, którzy rozdają Komunię wiernym podczas Mszy i różnych nabożeństw oraz zanoszą ją do chorych, są biskupi, kapłani i aktualnie też diakoni (Sobór Watykański II włączył bowiem diakonów w szeregi zwyczajnych szafarzy, wcześniej należeli do tych nadzwyczajnych). Zwyczajny szafarz zawsze może i powinien to robić, ponieważ jest to jego posługa na mocy święceń, które otrzymał. Natomiast w Kościele niemalże od starożytności znana była także praktyka wyznaczania specjalnych pomocników zwyczajnych szafarzy Eucharystii, wynikająca z niewystarczającej liczby kapłanów i diakonów do pełnienia tej służby. Tak właśnie narodziła się funkcja nadzwyczajnych szafarzy Eucharystii, którzy służyli szczególnie poprzez zanoszenie Najświętszego Sakramentu do chorych. Sobór Watykański II

oficjalnie zatwierdził posługę nadzwyczajnego szafarza i podzielił ją na dwa rodzaje.

Pierwszy rodzaj nadzwyczajnego szafarza Eucharystii zarezerwowany jest dla mężczyzn przygotowujących się do święceń kapłańskich. Dawniej na drodze do kapłaństwa klerycy czy bracia zakonni przyjmowali niższe stopnie święceń. Sobów Watykański II jednak je zlikwidował, w ich miejsce ustanawiając dwie posługi: posługę lektora i posługę akolity. Lektor, jak już wiemy, to człowiek od czytania Słowa Bożego podczas liturgii. Akolitą natomiast może być brat lub kleryk przygotowujący się do święceń kapłańskich w zakonie bądź w seminarium diecezjalnym, który na trzecim lub czwartym roku formacji otrzymuje błogosławieństwo na posługę rozdawania Najświętszego Sakramentu. Akolita to zatem brat lub kleryk, który jest nadzwyczajnym szafarzem Eucharystii, co jednak dla niego jest stanem przejściowym w drodze do święceń.

Oprócz akolitów nadzwyczajnymi szafarzami Eucharystii mogą być także świeccy. W każdym kraju episkopat na podstawie ogólnych dokumentów Kościoła sam ustala zasady posyłania wiernych do tej posługi. W Polsce nadzwyczajnym szafarzem Eucharystii może być mężczyzna między 25 a 65 rokiem życia, który jest dobrym chrześcijaninem, na co dzień składającym swoim życiem dobre świadectwo wiary. W niektórych diecezjach naszego kraju nadzwyczajnymi szafarzami mogą być również kobiety, szczególnie siostry zakonne lub osoby świeckie konsekrowane. Biskup danego miejsca wyznacza szczegółowe zasady dopuszczenia do tej posługi. Co ważne, nadzwyczajnym szafarzem jest się na wyznaczony czas, zazwyczaj na rok, po czym, jeśli biskup uzna to za potrzebne, posługa jest przedłużana. Każdorazowo przed podjęciem takiej rocznej posługi trzeba odbyć rekolekcje i kurs przygotowujący, a także znać naukę Kościoła oraz mieć w sobie szczególną miłość do Eucharystii.

Posługa nadzwyczajnego szafarza nie jest wymysłem leniwych księży czy episkopatu, ale starą praktyką przyjętą przez Kościół, od wieków uznawaną za świętą, dobrą i potrzebną. Oczywiście istnieją ściśle określone zasady dotyczące tego, kiedy ten szafarz może udzielać Najświętszego Sakramentu. Jedna z ważniejszych mówi, że nadzwyczajny szafarz nie powinien zastępować zwyczajnego szafarza, kiedy ten może udzielać Komunii. Niestety w tej kwestii pojawiają się czasem nadużycia polegające na przykład na tym, że księdzu odprawiającemu Mszę nie chce się rozdawać Najświętszego Sakramentu i każe to robić nadzwyczajnemu szafarzowi. Tak nie powinno się dziać, ponieważ nadzwyczajni szafarze powinni udzielać Komunii po pierwsze wtedy, gdy kapłan nie może tego zrobić. Czyli na przykład gdy w parafii jest starszy ksiądz, który ma fizyczne trudności niepozwalające mu udzielać wiernym Najświętszego Sakramentu, wtedy oczywiście nadzwyczajny szafarz może go zastąpić, lub gdy księża fizycznie co prawda mają możliwość rozdawania Komunii, ale aktualnie są zajęci innymi posługami i obowiązkami duszpasterskimi. Czasem tak się zdarza, że jeden ksiądz odprawia Mszę, inny wtedy spowiada (nie wnikam, czy powinien akurat w tym czasie), kolejny jest u chorych w szpitalu, a w Eucharystii uczestniczy wielu ludzi i Komunia trwałaby bardzo długo, gdyby nie pomoc nadzwyczajnego szafarza.

Drugim przypadkiem, kiedy nadzwyczajny szafarz może udzielać Komunii jest sytuacja, gdy pojawia się potrzeba zaniesienia Najświętszego Sakramentu do chorych. I oczywiście znowu warto pamiętać, że zwyczajnym szafarzem tej posługi powinien być kapłan i jeśli tylko ma taką możliwość, on powinien udać się do chorych. Jeśli jednak ludzi potrzebujących jest bardzo dużo, to w takich okolicznościach nadzwyczajny szafarz jak najbardziej może zastępować kapłana, roznosząc Komunię do chorych.

Kolejna sytuacja, w której potrzeba pomocy nadzwyczajnego szafarza, jest związana z dużą liczbą wiernych przystępujących do Komunii podczas liturgii. Nie ma oczywiście żadnej normy liczbowej, która by to szczegółowo określała, chodzi jednak mniej więcej o to, by zbyt długa Komunia nie zaburzyła znacznie dynamiki Mszy. Na codziennych Mszach, na których jest koło pięćdziesięciu osób, rozdawanie Eucharystii przez jednego kapłana znacznie nie przedłuży liturgii, wtedy więc nadzwyczajny szafarz nie powinien rozdawać Najświętszego Sakramentu. Natomiast, gdy podczas niedzielnych celebracji do niektórych kościołów przychodzi kilka tysięcy osób, to brak takiej pomocy wydłużyłby Mszę przynajmniej o kilkanaście lub kilkadziesiąt minut i wtedy wręcz niezbędna jest pomoc nadzwyczajnego szafarza. Może się też tak wydarzyć, że z konieczności pomocy w rozdawaniu Komunii kapłan jednorazowo pobłogosławi jakieś dwie lub trzy osoby do tej posługi. Sam miałem taką sytuację na jednych z rekolekcji, gdy zostałem z czterotysięcznym tłumem na Mszy, któremu trzeba było udzielić Eucharystii, a nie miałem do pomocy żadnego księdza. Pobłogosławiłem więc czterech mężczyzn i poprosiłem o pomoc w tej posłudze. Dzięki temu Komunia nie trwała czterdzieści minut tylko piętnaście.

Mówiąc krótko, nadzwyczajny szafarz powinien być nadzwyczajnym pomocnikiem, czyli kimś, kto w szczególnych sytuacjach pomaga kapłanom. Niestety w niektórych miejscach na świecie bardzo brakuje kapłanów i nadzwyczajna posługa szafarzy staje się wręcz zwyczajna, co powinno nas też pobudzać do modlitwy w intencji powołań kapłańskich w tych miejscach Kościoła.

Co ważne, jeśli w jakiejś parafii lub wspólnocie został ustanowiony nadzwyczajny szafarz, to znaczy, że jego posługa jest zgodna z prawem kościelnym i taka osoba może udzielać Komunii Świętej. Jeżeli ktokolwiek

twierdzi, że jest inaczej, że branie Komunii do rąk przez świeckich to jakiś pomysł szatański, po prostu się myli i nie żyje w zgodzie z nauką Kościoła. Albo jeśli ktoś mówi: „Nie pójdę po Komunię do nadzwyczajnego szafarza, bo on ma nieświęte ręce”, to gada bzdury niezgodne z naszą wiarą, ponieważ trzeba pamiętać, że ręce kapłana nie są ani świętsze, ani jakoś specjalnie poświęcone, bo namaszczenie rąk kapłana podczas święceń jest obrzędem wyjaśniającym, a nie istotą tego sakramentu. Myślę, że posługa nadzwyczajnego szafarza to przepiękna rzecz i cieszę się, że są takie osoby, które chcą w ten sposób służyć Kościołowi.

# ROZDZIAŁ 31

## Co to jest Komunia duchowa?

W Kościele istnieje od dawna coś, co nazywamy Komunią duchową lub też inaczej Komunią pragnienia, o której dziś szczególnie często mówi się w kontekście osób niemogących przystępować do sakramentów z powodu grzechów związanych z wchodzeniem w ponowne związki małżeńskie. Jednak Komunia duchowa ma swoje źródła w czymś zupełnie innym.

Otóż Komunia Święta duchowa to bardzo stara praktyka kościelna, mająca swe początki w pierwszych wiekach drugiego tysiąclecia. Wynikała ona z faktu, że w tamtych czasach nie wszyscy wierzący mieli dostęp do Mszy Świętej, a co za tym idzie także do Najświętszego Sakramentu. Wielu chrześcijan nowo ochrzczonych żyło na terenach, gdzie sieć kościołów i opieki duszpasterskiej nie była dobrze rozwinięta, co w wielu miejscach oznaczało brak możliwości częstego i regularnego przystępowania do Komunii Świętej, mimo że wierni nie mieli ku temu żadnych przeciwskazań natury duchowej. Stąd narodziła się Komunia pragnienia, która pozwalała ludziom pozbawionym dostępu do Najświętszego Sakramentu duchowo jednoczyć się z Panem Bogiem na przykład poprzez modlitwę: „Panie Jezu, nie mogę Cię w tej chwili przyjąć, bo nie mamy kościoła, nie ma księdza, nie ma Eucharystii, ale pragnę zjednoczyć się z Tobą, pragnę Twojej obecności we mnie”.

Drugim powodem pojawienia się Komunii duchowej w historii Kościoła była tendencja (niestety mocno propagowana przez duchowieństwo) do silnego ograniczania przyjmowania Komunii Świętej przez świeckich. Myślę, że był to wielki błąd. Te działania doprowadziły bowiem do sytuacji, że był taki czas w Kościele, gdy wierni przyjmowali Pana Jezusa tylko raz w roku, w Wielkanoc, a kierownicy duchowi (o zgrozo!) odradzali przyjmowanie Komunii Świętej częściej, twierdząc, że jest to spoufalanie się z Panem Jezusem. W związku z tym, że możliwości przyjmowania Najświętszego Sakramentu było mało, narodziła się i rozprzestrzeniła Komunia duchowa, która potem oczywiście została potwierdzona przez kolejne sobory, ostatecznie także uznana za bardzo dobrą i piękną praktykę przez Sobór Watykański II.

O co jednak chodzi w Komunii Świętej duchowej? Otóż skoro słowo *communio* znaczy „zjednoczenie”, Komunia Święta to wejście w jedność z Panem Jezusem. Przyjmując Najświętszy Sakrament, jednoczymy się z Bogiem również na poziomie cielesnym, ponieważ kawałek konsekrowanego chleba dotyka naszego ciała, więc przyjmujemy też materię, ale oczywiście najważniejsze zjednoczenie dokonuje się na poziomie ducha. Przystępowanie do Komunii ma miejsce zatem i na poziomie ciała, i na poziomie zmysłów, co jest zewnętrznym znakiem zjednoczenia, ale najważniejsze jest to, co się dzieje duchowo. Z tej wiary, że za sakramentalnym znakiem stoi rzeczywistość, która znacznie go przekracza, narodziła się Komunia pragnienia. Komunia Święta duchowa jest zatem przylgnięciem do Pana Jezusa tych, którzy nie mogą się z Nim w danym momencie zjednoczyć przez sakrament, choć bardzo by tego pragnęli.

Komunia Święta duchowa szczególnie potrzebna jest w dwóch przypadkach. Pierwszy z nich to sytuacja, gdy ktoś po prostu nie ma

fizycznej możliwości przyjęcia tego sakramentu, ponieważ nie ma w okolicy żadnego kościoła ani księdza, który mógłby odprawić Mszę. Gdy ktoś jest na przykład na wycieczce w Azji, gdzie w promieniu tysiąca kilometrów nie ma żadnego kościoła katolickiego, i nie jest jak ja księdzem, który wszędzie może sam odprawić Eucharystię, to wtedy Kościół zaleca przyjęcie Komunii duchowej, czyli przystąpienie do nie sakramentalnego, tylko duchowego zjednoczenia z Panem Jezusem. Drugim przypadkiem, w którym warto praktykować Komunię duchową, jest sytuacja, gdy ktoś nie może przyjąć Najświętszego Sakramentu z powodu braku możliwości uzyskania rozgrzeszenia podczas spowiedzi. Może to być związane na przykład ze skomplikowaną sytuacją osobistą wynikającą z życia w niesakramentalnym związku.

Od strony praktycznej Komunia duchowa polega na wzbudzeniu w sobie pragnienia bliskości z Panem Jezusem. Gdy więc ktoś nie może być danego dnia na Mszy lub będąc na Eucharystii nie może iść do Komunii, powinien chwilę pomodlić się, najpierw wyznając wiarę w prawdziwą obecność Pana Jezusa w chlebie i winie, potem uznając swoją niegodność, na przykład słowami: „Panie Jezu, nie mogę Cię teraz przyjąć w Najświętszym Sakramencie z takich i takich powodów oraz moich grzechów, ale bardzo pragnę być z Tobą”, na koniec prosząc, by Pan Bóg wszedł do jego serca, życia i zajął w nim absolutnie naczelne miejsce. W Komunii duchowej ważny jest akt woli i pragnienie serca. Gdy w taki sposób, z taką wiarą i miłością, staniemy przed Bogiem, On sprawi, że to zjednoczenie się dokona. Kościół katolicki uczy, że skutki duchowe tej Komunii są takie same jak skutki Komunii sakramentalnej. Oczywiście brakuje w niej zewnętrznego znaku, brakuje jej poziomu ciała i zmysłów, ale tak jak skutkiem Komunii sakramentalnej ma być wzrost łaski, miłości i przynależności do Pana Jezusa, który nie dzieje się automatycznie, ale

zależy też od naszego współdziałania z tą łaską, to takie same skutkami może mieć też Komunia duchowa. Koniecznie warto więc nauczyć się praktykowania Komunii duchowej, bo nawet jeśli nie mamy wewnętrznych przeszkód do przyjmowania tego sakramentu, to nie codziennie mamy możliwość uczestniczenia w Eucharystii z powodu pracy lub różnych obowiązków. Co więcej, gdyby się tak zdarzyło, że w niedzielę z jakichś obiektywnych, niezależnych od nas przyczyn nie możemy być na Mszy, możemy (gdziekolwiek jesteśmy) przystąpić do Komunii duchowej. Ten rodzaj Komunii to nie żaden wytrych, ale wielowiekowa tradycja Kościoła, która także próbuje nam pokazać, gdzie jest sedno zjednoczenia z Panem Jezusem.

Oczywiście przede wszystkim dążymy do tego, by Komunia duchowa zawsze łączyła się z Komunią sakramentalną. Jeśli ktoś ma możliwość wyspowiadania się ze swoich grzechów i otrzymania rozgrzeszenia, to koniecznie niech jak najszybciej odkręci ten stan życia bezsakramentalnego. Tym zaś, którzy nie mogą tego zrobić, którym spowiedź nie wystarczy, by znów mieć dostęp do Najświętszego Sakramentu, całym sercem polecam Komunię duchową. Nie umniejszając Eucharystii, którą przyjmiemy pod postacią chleba i wina, Komunia duchowa wcale nie jest czymś gorszym lub słabszym. Fizyczne spożywanie Eucharystii jest niezwykle ważnym znakiem, ale nie w jedzeniu tkwi istota tego sakramentu. O wiele ważniejsze w Komunii jest to, że ona przemienia nas w siebie. Nie ona staje się częścią nas, ale my w duchowy sposób stajemy się częścią Boga. Komunia duchowa wcale nie jest mniejszą bliskością z Nim, bo Bóg jest duchem, który posłużył się ciałem, by do nas przyjść. Przemienianie się w Niego jest przede wszystkim duchowe. Droga wewnętrznej przemiany serca Bożym Pokarmem jest też możliwa dla tych, którzy nie mogą fizycznie przyjąć Komunii. Dla Boga bowiem nie ma nic

niemożliwego i wszędzie, z każdego miejsca, nawet najbardziej odległego jest w stanie przyprowadzić nas do siebie.

# OBRZĘDY ROZESŁANIA

## ROZDZIAŁ 32

## Błogosławieństwo

Po Liturgii Eucharystycznej następują obrzędy zakończenia, których centralnym elementem jest błogosławieństwo. Po Komunii, między dziękczynieniem a błogosławieństwem, mamy jeszcze ogłoszenia parafialne.

Nie są one obowiązkowym elementem Mszy. Ważne zatem, by nie trwały zbyt długo. Niestety czasem zdarza się, że zajmują więcej czasu niż kazanie, co oczywiście jest niedopuszczalne. Ogłoszenia powinny zawierać różne wiadomości istotne dla lokalnej wspólnoty parafialnej dotyczące organizacji jej życia, szczególnie w ciągu najbliższego tygodnia. Inne informacje, które mogą być cenne dla wielu uczestników liturgii, ale nie dla wszystkich, lub wiadomości mniej ważne można na przykład umieścić w gablocie lub gazetce parafialnej. W ogłoszeniach jest miejsce tylko na najważniejsze sprawy, o których powinien wiedzieć każdy parafianin.

Po tej części następuje błogosławieństwo. Co ciekawe, dawniej przed błogosławieniem wiernych miało miejsce błogosławienie eulogii. Tym mianem nazywano chleby, które zostały przyniesione do świątyni, ale które

nie były konsekrowane podczas Mszy. Jak wiemy, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa Eucharystię sprawowano na ofiarowanych przez ludzi chlebach. Z nich wybierano najładniejsze i konsekrowano je. Pozostałe błogosławiono na koniec liturgii i rozdawano tym, którzy nie mogli przyjmować Ciała i Krwi Pana Jezusa. Te pobłogosławione chleby były jak gdyby zadatkiem sakramentu Eucharystii dla czekających na jego przyjmowanie. Oczywiście ten poświęcony chleb nie był Eucharystią, ale raczej symbolicznym obrazem zjednoczenia z Chrystusem tych, którzy nie mogą przystępować do Komunii. Do dziś taka praktyka obowiązuje na przykład w Kościele prawosławnym. U nas w niektórych parafiach właśnie wtedy, przed ogólnym błogosławieństwem, udziela się błogosławieństwa ludziom, którzy nie mogli na Mszy przyjąć Chrystusa. W niektórych kościołach takie błogosławieństwo praktykowane jest podczas obrzędu udzielania Komunii. Wtedy niemogący przystąpić do tego sakramentu kładą palec na ustach i ksiądz, widząc to, nie udziela Komunii, tylko ich błogosławi. Często jednak wywołuje to zamieszanie, więc może rzeczywiście lepszym momentem na tę praktykę jest czas przed ogólnym błogosławieństwem.

Jeśli chodzi o samo ogólne błogosławieństwo, warto zauważyć, że w historii Kościoła ono również wyglądało nieco inaczej. Kiedyś nie było osobnego obrzędu błogosławieństwa, jak mamy obecnie, gdy celebrans wypowiada modlitwę i wykonuje znak krzyża. Dawniej tylko biskup błogosławił ludzi po skończonej Eucharystii. Po modlitwie końcowej błogosławił indywidualnie wiernych, idąc przez kościół do zakrystii. Dziś ten zwyczaj możemy obserwować na przykład podczas pielgrzymek papieża lub gdy biskup przyjeżdża na wizytację do parafii. Przechodząc przez kościół lub przejeżdżając wśród ludzi, błogosławi po drodze tych, których spotyka lub których widzi ustawionych przy drodze. Kiedyś

błogosławieństwo właśnie tak wyglądało i było szczególnie dedykowane tym, którzy nie mogli przyjąć Komunii.

Obrzęd rozesłania rozpoczyna się od formuły: *Pan z wami*, na którą odpowiadamy: *I z duchem twoim*. Te słowa przypominają nam, że wszystko dzieje się w imię Pana Jezusa, że On jest i w swoim ludzie, i w sercu kapłana, który został posłany do sprawowania Eucharystii. Następnie ma miejsce błogosławieństwo, podczas którego kapłan wypowiada słowa: *Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty* i kreśli znak krzyża nad wiernymi, na co wszyscy odpowiadają: *Amen*, wykonując również znak krzyża. Gdy wiernych błogosławi biskup, formuła jest trochę dłuższa, ponieważ wzbogacona w krótkie uwielbienie i modlitwę o pokój.

Błogosławieństwo przyjmujemy w postawie stojącej. W wielu kościołach widziałem jednak, że niektórzy klękają, co w tym miejscu jest zupełnie nieuzasadnione. Oczywiście są takie sytuacje, gdy, przyjmując błogosławieństwo, powinniśmy klęczeć. Na przykład w naszym zakonie jest taki zwyczaj, że gdy jakiś brat wyjeżdża głosić rekolekcje i opuszcza klasztor, idzie do swojego przeora i prosi o błogosławieństwo na tę posługę. Sam często to praktykuję i wtedy klękam przed moim przeorem, a on błogosławi mnie na głoszenie Ewangelii. Na Eucharystii jednak podczas końcowego błogosławieństwa powinniśmy stać, ponieważ, uczestnicząc w Eucharystii, przyjęliśmy Zmartwychwstałego, a to, co właśnie otrzymujemy, posła nas do życia w pełni.

W trakcie Mszy Świętej wykonujemy tylko dwa znaki krzyża — na początku i na końcu, gdy rozpoczynamy Eucharystię i gdy jesteśmy błogosławieni. Oczywiście przed wysłuchaniem Ewangelii znaczymy nasze ciało (czoło, usta i serce) znakiem krzyża, ale to coś innego. Ksiądz odprawiający Mszę jeśli wybierze Pierwszą Modlitwę eucharystyczną i nią

modli się na Eucharystii, wykonuje jeszcze jeden dodatkowy znak krzyża, ale wierni nie powtarzają tego za nim, ponieważ tylko on w tym miejscu powinien to robić.

Znaczenie błogosławieństwa na koniec Mszy bardzo dobrze wyjaśnił papież Pius X, który według tradycji, błogosławiąc wiernych, zawsze dodawał: „Idźcie, róbcie Eucharystię w swoim życiu". I choć formuły kończące znane nam ze słyszenia: *Idźcie, ofiara spełniona* albo *Idźcie w pokoju Chrystusa*, także przekazują ważne prawdy o tym, jakie owoce rodzi Eucharystia w naszym życiu, to słowa Piusa X wyraźnie podpowiadają, że błogosławieństwo ma nas poprowadzić do tego, by Msza nie skończyła się wraz ze zrobieniem znaku krzyża, ale by weszła w naszą codzienność. To, co wydarzyło się nam sakramentalnie, ma przełożyć się na nasze życie, by Eucharystia trwała dalej. W praktyce oznacza to zaś na przykład, że nasze życie ma być nieustannym dziękczynieniem względem Pana Boga, składaniem Mu ofiary, a także trwaniem w jedności z Nim oraz z innymi ludźmi. Błogosławieństwo ma nam pomóc, by wraz z końcem Eucharystii nie skończyła się nasza bliskość z Jezusem, ale by rozszerzyła się jak najdalej.

Po błogosławieństwie jest oczywiście procesja wyjścia. Może być ona krótka lub długa, w zależności od tego, czy była to uroczysta liturgia i asysta przez środek kościoła zmierza do zakrystii czy ksiądz sprawnie schodzi z prezbiterium. Wiernych obowiązuje w tym momencie jedna zasada: gdy procesja przechodzi lub gdy ksiądz z asystą schodzi do zakrystii, wszyscy stoimy, towarzysząc temu wyjściu. Zwykle śpiewa się wtedy pieśń, po której warto chwilę pozostać jeszcze w kościele. Podobnie bowiem jak cennym jest przyjście wcześniej do świątyni przed Mszą, by w modlitwie przygotować się przez kilka minut do tego, co się wydarzy, tak po skończonej Eucharystii również dobrze jest zostawić sobie przestrzeń na

modlitwę — na podziękowanie Bogu za ten czas i na prośbę o to, by On towarzyszył nam w codziennym życiu. Warto przedłużyć sobie Mszę o krótką prywatną modlitwę, by to szczególne spotkanie z Panem Jezusem nie było urwane i niedokończone przez nasze szybkie „zwijanie się” z kościoła.

W niektórych miejscach po zakończeniu Mszy jest kultywowany piękny zwyczaj polegający na tym, że ksiądz po błogosławieństwie nie idzie od razu do zakrystii, ale podchodzi do drzwi świątyni, by chwilę spotkać się z wiernymi, uścisnąć rękę i wymienić kilka słów. Myślę, że to bardzo dobry zwyczaj, szczególnie, gdy dotyczy małych wspólnot parafialnych, w których proboszcz rzeczywiście zna swoich parafian, dzięki czemu ma też szansę z każdym choć na chwilę się spotkać. W wielotysięcznych parafiach jest to oczywiście dużo trudniejsze, ale nie niemożliwe. Ta praktyka to pozostałość po starożytnej chrześcijańskiej tradycji organizowania agap, czyli wspólnych spotkań wiernych po Eucharystii, na których nie tylko rozmawiano, ale też spożywano posiłki. Te uczty były przedłużeniem świętowania. W niektórych wspólnotach, na przykład w Stanach Zjednocznych, do dziś praktykowany jest ten zwyczaj i po skończonej Eucharystii ludzie spotykają się razem na kawę i ciasto lub jedzą obiad tudzież uroczystą kolację. W Polsce zorganizowanie czegoś podobnego wydaje się trudniejsze ze względu na nieco inną mentalność i mniejszą otwartość ludzi. Natomiast wiem, że w niektórych parafiach powoli zaczyna się to już dziać, więc warto próbować i działać, szczególnie w mniejszych wspólnotach.

# ROZDZIAŁ 33

## Wokół Mszy — pytania i odpowiedzi

**Czym są cuda eucharystyczne?**

Cuda eucharystyczne to cudowne przemiany chleba i wina w widzialną postać Ciała i Krwi Chrystusa. Myślę jednak, że wielką pomyłką jest mówienie o nich tylko w kontekście wyjątkowych wydarzeń, które dzieją się w specjalnych okolicznościach. Każda Msza jest bowiem eucharystycznym cudem, ponieważ dzieje się na niej coś nie do pojęcia, czego nie jesteśmy w stanie ogarnąć zmysłami ani rozumem. Natomiast oczywiście w historii Kościoła mamy do czynienia z wydarzeniami będącymi cudami eucharystycznymi w specyficznym znaczeniu, czyli sytuacjami, gdy na przykład chleb i wino namacalnie, materialnie i doświadczalnie zamieniło się w Ciało i Krew, przez co Pan Bóg wprost dał nam zobaczyć, że Eucharystia jest prawdziwa. Do dziś Kościół udokumentował ponad sto trzydzieści cudów eucharystycznych, z których cztery miały miejsce w ostatnich dwudziestu latach, a chodzi dokładnie o cuda w Meksyku, w Indiach oraz w dwóch polskich miastach — Legnicy i Sokółce.

Istnieje kilka rodzajów cudów eucharystycznych, z których tylko część kwalifikuje się do obiegowego sposobu rozumienia tego pojęcia. Pierwszy rodzaj, najczęściej spotykany, polega na tym, że w konsekrowanej hostii pojawiają się kawałki ludzkiego ciała lub zastygnięte krople krwi. Po

badaniach, które w dzisiejszych czasach dają niezwykle szczegółowe możliwości identyfikacji komórek, bardzo często okazuje się, że ciało na hostii to kawałek mięśnia sercowego w stanie agonii. Co ciekawe, współczesne badania pokazują, że we wszystkich przypadkach cudów eucharystycznych pojawia się ta sama grupa krwi (AB), która po pierwsze jest grupą krwi z Całunu Turyńskiego, a po drugie jest grupą krwi charakterystyczną dla mieszkańców Palestyny. Pierwszy rodzaj cudu eucharystycznego to zatem sytuacja, gdy mamy do czynienia z materialnym, substancjalnym przemienieniem chleba i wina w realne ciało i krew. Oczywiście, można twierdzić, że ktoś podłożył kawałek innego ciała lub krew, choć jest to zbyt mało realne, by mogło być prawdziwe.

Drugim rodzajem cudu eucharystycznego, rzadziej spotykanym, który naukowo trudniej zweryfikować niż pierwszy, jest tak zwany cud Komunii bezpośrednio od Pana Jezusa lub przekazanej komuś przez świętych. Wielu świętych, którzy byli w takim momencie swojego życia, że choć bardzo pragnęli, to jednak nie mogli przyjmować Eucharystii, ponieważ nie mieli dostępu do tego sakramentu lub ktoś uznał ich za niegodnych, doświadczyło cudu, w którym sam Jezus przychodził i karmił ich Komunią. Na przykład nasza dominikańska błogosławiona Imelda, gdy wstąpiła do zakonu, została uznana za zbyt młodą, by przystępować do Eucharystii. Ona jednak tak pragnęła jednoczyć się z Bogiem w tym sakramencie, że sam Pan Jezus przynosił jej Komunię. Czasem Bóg wysyłał różnym świętym swoich aniołów, Maryję lub innych świętych, by ich karmili Jego Ciałem, gdy było im to zabraniane lub jeśli nie mieli możliwości przystępowania do tego sakramentu.

Trzeci rodzaj cudu eucharystycznego, według mnie najpiękniejszy, to tak zwany post eucharystyczny. W historii Kościoła mamy

udokumentowanych kilka takich przypadków, gdy święci latami nie spożywali innego pokarmu niż Eucharystia. Nie przyjmowali żadnych płynów ani pokarmów poza Najświętszym Sakramentem, a żyli. Przykładem takiego cudu z XX wieku jest życie Marty Robin, która przez ponad pięćdziesiąt lat nie przyjmowała innego pokarmu niż Komunia raz w tygodniu. Ten rodzaj cudu eucharystycznego polega zatem na tym, że Najświętszy Sakrament utrzymuje człowieka przy życiu. To oczywiście jest prawda wiary, której doświadczamy, gdy przyjmujemy Jezusa, bo Eucharystia jest życiem, ale w tych przypadkach miało to też znaczenie dosłowne, a nie tylko duchowe.

Czwarty rodzaj cudu eucharystycznego, którego doświadczali niektórzy święci, wiąże się z pewnego rodzaju wyjątkowymi stanami ciała podczas Mszy lub adoracji Najświętszego Sakramentu. Jednym z najsłynniejszych przykładów tego rodzaju cudów jest franciszkański święty, Józef z Kupertynu, który bardzo często podczas Eucharystii lub adoracji lewitował, przez co dziś jest patronem lotników. Ten święty tak był rozmiłowany w Eucharystii, że gdy adorował Pana Jezusa w tym sakramencie jego ciało unosiło się, co zostało udokumentowane dzięki słowu ponad stu świadków. Również o świętej Teresie z Avila pisano, że podczas Eucharystii, przy tym niezwykłym Źródle Życia, działy się z nią niesamowite rzeczy.

Jeszcze innym rodzajem cudu eucharystycznego są sytuacje, gdy hostia, która upadła na ziemię i następnie została włożona do waskulum (naczynka z wodą, w którym kapłan płucze palce po udzielaniu Komunii oraz gdzie trafiają hostie, gdy spadną na podłogę), by się rozpuściła, nie zmienia swojej konsystencji.

Mam świadomość, że wielu może uważać cuda eucharystyczne za katolickie legendy czy bajki. I pewnie gdyby przyjrzeć się wnikliwie wielu

materialnym cudom, szczególnie tym sprzed setek lat, to być może okazałoby się, że jest w nich wiele nieścisłości, natomiast większość cudów eucharystycznych przebadanych współczesnymi metodami naukowymi absolutnie potwierdza niewytłumaczalność i nadprzyrodzoność tych zjawisk.

Gdy Kościół przygląda się tym cudom, dość jednoznacznie stwierdza, że pojawiają się one w bardzo specyficznych kontekstach, do których zaliczyć można przede wszystkim sytuacje, gdy gaśnie wiara w Eucharystię. Ogromna bowiem część cudów dzieje się, gdy na przykład Mszę sprawował ksiądz, który nie wierzył w obecność Boga pod postaciami chleba i wina, więc Pan Jezus pokazywał mu się namacalnie. Czasem cud eucharystyczny ma miejsce tam, gdzie Eucharystii nie szanowano, traktowano bez należytej czci lub wręcz ją bezczeszczono. Niekiedy jednak Bóg pozwala na takie niezwykłe wydarzenia, by po prostu zamanifestować swoją moc i potwierdzić swoją obecność w tym sakramencie.

Zadaniem cudów eucharystycznych jest więc umocnienie wiary. Gdy Bóg widzi, że ona słabnie, pomaga swoim wiernym, dając cud. W związku z tym warto pamiętać, że cuda eucharystyczne nie są potrzebne każdemu. Jeżeli ktoś ma miłość i ogromny szacunek do Eucharystii, a także mocno wierzy w Bożą obecność w niej, nie potrzebuje cudu. Kościół nie nakłada na nikogo obowiązku wiary w cuda eucharystyczne. Jeśli więc komuś one pomagają w zbliżaniu się do Boga, to oczywiście warto w nie wierzyć. Jeśli jednak nie są komuś w tej kwestii potrzebne, to nie trzeba się nimi zajmować. Mnie na przykład mocno pobudzają w wierze cuda postu eucharystycznego, ponieważ uświadamiają mi, jak wielką moc ma Eucharystia w naszej codzienności i jak bardzo może nas przemieniać i podtrzymywać w życiu. Jedyne jednak, w co niezachwianie mamy wierzyć, to sakramenty i objawienie, które jest w Piśmie Świętym. Cuda

eucharystyczne mogą być podpórką w wierze, gdy ona w nas słabnie, ale nie są czymś obligatoryjnym do wierzenia.

**Czy jeden ksiądz może sprawować Mszę tylko w jednej intencji?**

Prawo kanoniczne bardzo jasno mówi, że zasadniczo ksiądz powinien odprawiać Mszę Świętą w jednej intencji, która została zamówiona przez kogoś. W niektórych parafiach, szczególnie tych liczących wielu wiernych przy jednocześnie niewielkiej liczbie księży, przyjął się jednak zwyczaj odprawiania tak zwanych Mszy zbiorowych. Wzięło się to z prostego faktu, że parafianie na odprawienie Eucharystii w swojej intencji musieliby czekać ponad rok. I tak na przykład w mojej rodzinnej parafii w Myszkowie, raz w tygodniu, w każdy piątek wieczorem odprawiana jest Msza Święta zbiorowa, na którą kapłan przyjmuje tyle intencji, ile ludzie chcą i potrzebują. Oczywiście, gdy ktoś wpisuje swoją intencję na taką Mszę, to ksiądz informuje go, że nie będzie to jedyna intencja mszalna.

Jest bardzo piękną praktyką ofiarowywanie Panu Bogu przez ręce kapłana sprawującego Eucharystię konkretnej sprawy, sytuacji czy człowieka. Gdy ktoś zamawiający intencję przynosi jednocześnie ofiarę — czy to pieniężną czy w jakiejkolwiek innej postaci — w ten sposób wyraża swoje oddanie Bogu. Przyjmowanie indywidualnych intencji pokazuje również, że konkretna sprawa jest ważna dla Pana Boga, wręcz jedyna, i że każdy człowiek oraz jego życie są dla naszego Ojca czymś wyjątkowym. Jednocześnie nie można zamykać serca, poddając się zawłaszczającemu myśleniu, że tylko ja i moje sprawy są istotne na tej modlitwie. Kiedy nie zamawiamy konkretnej indywidualnej intencji, oczywiście możemy polecać Bogu nasze sprawy podczas Eucharystii, nawet jeśli jest ich bardzo wiele. On je wszystkie z radością przyjmie i na pewno ucieszy się, że chcemy do Niego przychodzić z naszymi sprawami.

**Ile trzeba dać na ofiarę za Mszę?**

Również w tej kwestii prawo kanoniczne podaje, że każdy ksiądz w ciągu dnia może odprawić jedną Mszę Świętą, za którą może przyjąć ofiarę, która będzie przeznaczona dla niego, na jego utrzymanie. Jeżeli tak się jednak zdarza, że kapłan sprawuje w ciągu dnia kilka Mszy, każdą w innej intencji z ofiarą, to jako wsparcie dla siebie może przyjąć tylko jedną darowiznę. Co więcej, przepisy kościelne nie podają żadnych stawek za odprawienie Mszy. Ofiara jest zupełnie dobrowolna. Według prawa kanonicznego ofiarowanie Mszy Świętej w jakiejś intencji nie może mieć żadnych związków z handlem. Pamiętajmy jednak, że wierni mają prawo składać ofiary i prosić kapłana o odprawienie Mszy. Zadaniem księdza jest składanie ofiar w imieniu wiernych — ludzie ponoszą ofiarę (finansową, czasową lub inną), a kapłan przynosi ją Bogu. W ten sposób w ofiarę Eucharystii włączana jest cała wspólnota. Nawet najbiedniejsi przez intencję wypowiedzianą przez kapłana odzyskują głos i miejsce we wspólnocie. Jeśli ktoś nie ma pieniędzy, a idzie zamówić Mszę, to ksiądz powinien oczywiście odprawić ją bez żadnej ofiary. Łaska jest całkowicie za darmo. Jeśli zatem jakiś kapłan nie chce odprawić Mszy bez ofiary, jest odstępcą i trzeba to zgłosić biskupowi.

Przyznam szczerze, że gdybym kiedyś został papieżem (co na szczęście nigdy się nie stanie, bo pewnie wtedy Kościół by się skończył), to zniósłbym w ogóle wszelkie opłaty za Msze. I oczywiście nie chodzi mi o to, że wierni nie powinni utrzymywać Kościoła — wręcz przeciwnie. Uważam jednak, że nie powinno mieć to żadnego związku z Eucharystią. Według mnie należałoby całkowicie zrezygnować z ofiar za Msze, a w zamian na przykład postawić puszkę w kościele i jeśli ktoś chce złożyć ofiarę, to oczywiście może coś tam wrzucić, ale sprawowanie Eucharystii w danej intencji nie byłoby w ten sposób uzależnione od uiszczenia jakiejś

wpłaty. Nie oznacza to oczywiście, że składanie ofiar za odprawienie Mszy Świętej jest czymś złym, jednak należy unikać wszelkiego wrażenia, że jest to handel wymienny z Panem Bogiem, który miałby dawać łaskę za nasze zasługi i ofiary.

**O co chodzi z Mszami za zmarłych, które są sprawowane w trzeci lub siódmy dzień po pogrzebie, a także w różne miesięcznice i rocznice śmierci? Czy jedna Eucharystia sprawowana za kogoś nie wystarczy?**

Ta praktyka zrodziła się z gorliwości ludzi i pragnienia oddawania Panu Bogu bliskich zmarłych. Częste zamawianie Mszy pogrzebowych lub rocznicowych wynika z pamięci o zmarłych i modlitwy o miłosierdzie dla nich. Niestety jednak te z gruntu dobre zwyczaje w bardzo wielu przypadkach zamieniły się w działalność wręcz magiczną i zaklęciową. Uwaga! Nie ma znaczenia, kiedy dokładnie się za kogoś pomodlimy, czy to będzie trzeci czy siódmy, piąty czy dziesiąty dzień po śmierci, ponieważ najważniejsza jest sama modlitwa, a Panu Bogu nie potrzeba, byśmy to robili w ściśle określone dni, bo w inne już nie zadziała. Jedna Eucharystia ma w sobie wszystko i ona wystarczy, ale jeśli ilość Mszy za zmarłych wynika z naszej miłości do nich, to zamawiajmy ich, ile tylko chcemy.

**Co to są Msze Święte gregoriańskie?**

Msze gregoriańskie to praktyka odprawienia trzydziestu Eucharystii dzień po dniu (czyli przez trzydzieści dni z rzędu) za jakiegoś zmarłego. Nie można odprawiać ich za kogoś żyjącego, tylko za zmarłych.

Ta praktyka pobożnościowa zrodziła się na przełomie VI i VII wieku, czyli w czasach, gdy papieżem był Grzegorz I Wielki. Zanim stał się następcą świętego Piotra był mnichem, a dokładniej benedyktynem, który przez jakiś czas sprawował w swoim klasztorze funkcję opata. Tak się zdarzyło, że wśród jego braci był niejaki Justus, który podobnie jak inni

zakonnicy złożył śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Gdy jednak umarł, okazało się, że bracia znaleźli w jego celi złote monety, które świadczyły o tym, że nie przestrzegał przynajmniej jednego ze złożonych ślubów. W związku z tym jego bracia wiedząc, że jako zakonnik nie mógł posiadać żadnej własności, mieli przekonanie, że po śmierci jego los nie potoczył się za dobrze. Grzegorz Wielki, jako jego przełożony, poprosił więc swoich braci, by codziennie przez trzydzieści dni (w sumie nie wiadomo, dlaczego akurat tyle) była odprawiana Msza za zbawienie duszy Justusa. Według benedyktyńskich przekazów po upływie tego czasu Justus przyśnił się jednemu z braci, który za życia był jego przyjacielem, i powiedział, że po tych trzydziestu dniach wypuszczono go z czyśćca i zaproszono do nieba. Gdy więc Grzegorz został papieżem, zaaprobował praktykę Mszy gregoriańskich jako możliwą do kultywowania przez wiernych Kościoła katolickiego.

Czy Msze gregoriańskie są zatem gwarantem wejścia zmarłego do nieba? Kościół nigdy oficjalnie nie potwierdził, że na pewno po tych trzydziestu dniach dusza jest w niebie. Gwarancji więc nie ma, ale jasno trzeba przyznać, że takie wręcz matematyczne liczenie to dość głupie podejście do tego tematu. U Pana Boga to tak nie działa, że jak coś zrobimy, to na coś zasłużymy. Warto jednak uchwycić się pomysłu na codzienną Mszę, która jest piękną praktyką. Nie trzeba zamawiać Eucharystii u księdza, ale można samemu ustalić sobie, że na przykład przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści czy nawet pięćdziesiąt dni codziennie będzie się uczestniczyło w Mszy za danego zmarłego. Każda liczba jest dobra i jeśli ktoś w taki sposób chce się modlić za zmarłych, bardzo proszę.

Przyznam, że w praktyce Mszy gregoriańskich nie lubię jedynie tego, że niestety związała się ona mocno z pieniędzmi. Skoro bowiem za jedną

Mszę ludzie dają obecnie ofiarę w wysokości mniej więcej trzydziestu lub pięćdziesięciu złotych, to przy trzydziestu Eucharystiach ta kwota znacznie rośnie. Niestety w wielu parafiach, by ksiądz (lub księża, bo oczywiście nie ma żadnej reguły, że ten sam kapłan musi odprawić wszystkie trzydzieści Mszy) odprawił gregoriankę, podaje się całkiem wysokie kwoty do zapłacenia, sięgające prawie dwóch tysięcy złotych. W moim kapłańskim życiu przyjąłem kilka gregorianek i jeśli ktoś chciał złożyć jakąś ofiarę, to przyjmowałem ją, czyli, jak to się u nas w zakonie robi, dawałem ją na klasztor. Nie uważam jednak za słuszne wiązanie Mszy z dużymi pieniędzmi. Według mnie to po prostu ogromne nadużycie. Tym bardziej zachęcam więc do samodzielnego, codziennego chodzenia na Mszę za kogoś. To jest tak samo „skuteczne” jak gregorianka sprawowana przez księdza.

**Czym są Msze Święte wieczyste?**

Msze wieczyste to praktyka nieco młodsza od gregorianek, mająca około dwustu, trzystu lat. Szczególnie jest ona związana z różnymi zgromadzeniami zakonnymi prowadzącymi działalność misyjną, ponieważ u początków Mszy wieczystych leżał pomysł wsparcia misjonarzy w ich pracy. W Polsce zakonem praktykującym tę formę modlitwy są na przykład werbiści. Dominikanie nie prowadzą ksiąg Mszy wieczystych, więc u nas nie można ich zamówić.

Na czym dokładnie polega ta praktyka? Otóż Msze wieczyste można zamówić zarówno za kogoś żyjącego jak i zmarłego, za siebie lub kogoś innego. Gdy ktoś chce zamówić Msze wieczyste, musi skontaktować się z kimś z danego zgromadzenia zakonnego, by wpisał jego intencję do tak zwanej księgi Mszy wieczystych. Kiedy zaś ktoś już zostanie wpisany do takiej księgi, to na przykład wspomnieni werbiści zobowiązują się do codziennego odprawienia za tę osobę siedmiu Mszy. Oczywiście nie

oznacza to, że te siedem Eucharystii każdego dnia będzie sprawowane tylko w tej intencji, ale że dana intencja będzie jedną z wielu polecanych podczas Mszy zbiorowej. Gdy ktoś raz zostanie wpisany do takiej księgi, to póki istnieje dane zgromadzenie, codziennie będzie za niego odprawianych siedem Mszy w różnych częściach Polski lub nawet świata, często bowiem te zgromadzenia są rozsiane na różnych kontynentach. Taki wpis do ksiąg Mszy wieczystych wiąże się z jakąś ofiarą, zwykle jednak nie jest ona duża. Pieniądze zebrane przez te zgromadzenia z Mszy wieczystych są przeznaczane na ich działalność misyjną, czyli właściwie jest to wsparcie głoszenia Słowa Bożego w różnych miejscach świata, a nie opłata za Msze. Zakonnicy odprawiający Msze wieczyste w ten sposób dziękują za wsparcie ich misji. Nie spotkałem się jednak z sytuacją, że gdzieś można poprosić o Msze wieczyste za darmo, co mimo wszystko jest dla mnie nie do przyjęcia.

Niektórzy wpisanie do ksiąg Mszy wieczystych dają komuś jako prezent. Sam wielokrotnie dostałem obrazek lub kartkę, na której było napisane, że ktoś wpisał mnie do takiej księgi. Mam już ich chyba kilkanaście, więc przyznam, że gdy o tym myślę, to jestem wdzięczny, że w wielu miejscach świata odprawia się za mnie każdego dnia Eucharystia.

Na koniec warto dodać, że obydwie praktyki i Msze gregoriańskie, i Msze wieczyste, nie są formą modlitwy czy też praktyką pobożnościową oficjalnie uznaną przez Kościół za konieczność. Można je praktykować, ale bez nich spokojnie da się dojść do ogromnej bliskości z Panem Bogiem, a o to przecież chodziłoby w całym naszym życiu duchowym.

**Co to jest stały diakonat?**

Z pewnością większość katolików wie, że w Kościele istnieje taki stopień święceń kapłańskich, który nazywa się diakonat. Księża zwykle na rok

przed święceniami prezbiteratu otrzymują pierwsze święcenia i stają się diakonami. Aby jednak dojść do tego, czym jest diakonat stały, najpierw potrzebny jest nam mały rys historyczny.

Diakonat to rzecz bardzo stara, pochodząca z samych początków chrześcijaństwa. W Piśmie Świętym, a dokładniej w Dziejach Apostolskich i w listach Pawłowych, znajdziemy wiele wzmianek o tej posłudze. W pierwotnym Kościele bardzo szybko bowiem wykształciły się trzy stopnie przynależności do kapłaństwa Chrystusowego — biskup, kapłan (czyli prezbiter) i diakon. Do mniej więcej V wieku diakonat był bardzo rozpowszechnioną funkcją pełnioną przez wiele osób. Diakoni mieli określone zadania przy posłudze sakramentalnej, ale w tamtych czasach wcale nie oznaczało to, że ci ludzie są na drodze do kapłaństwa, diakonat był bowiem zupełnie osobną funkcją w Kościele. Od V wieku ta tendencja zaczęła jednak słabnąć i diakonat przekształcił się w etap prowadzący do święceń prezbiteratu.

Tak jest do dzisiaj. Wszyscy, którzy chcą zostać kapłanami (bądź potem, jeśli Pan Bóg zechce ich doświadczać, biskupami), zanim przyjmą święcenia kapłańskie najpierw przyjmują dwie posługi — lektora i akolity, czyli proklamatora Słowa Bożego na liturgii i nadzwyczajnego szafarza Eucharystii, a potem pierwszy stopień święceń — diakonat. Zwyczajowo posługa diakona trwa około roku i jest tylko funkcją przejściową. W obecnej formacji seminaryjnej diakonat jest czasem na praktyki duszpasterskie i poznanie w niepełnej formie tego, co będzie stałą posługą tego człowieka, gdy zostanie wyświęcony na prezbitera.

Od V wieku do Soboru Watykańskiego II diakonat był zatem tylko ostatnim etapem przygotowania do przyjęcia święceń kapłańskich. I choć Sobór Trydencki próbował zadziałać w kwestii przywrócenia diakonatu stałego, który powszechnie występował w pierwszych wiekach

chrześcijaństwa, to udało się to dopiero ojcom Soboru Watykańskiego II. Ten sobór odnowił w Kościele diakonat, który nie jest tylko drogą do święceń, ale funkcją na całe życie. Dał episkopatom poszczególnych krajów możliwość wyświęcania diakonów do stałej posługi w parafiach. W Polsce diakonat stały został przyjęty w 2001 roku, a trzy lata później sformułowano wszystkie zasady jego funkcjonowania.

Czym zatem jest diakonat stały? Otóż diakonat to pierwszy stopień święceń, który podobnie jak święcenia prezbiteratu i episkopatu (biskupstwa) jest czymś nieusuwalnym w człowieku. Diakon to ktoś przeznaczony do części posług sakramentalnych, czyli może głosić Słowo Boże z posłania Kościoła i udzielać niektórych sakramentów, oraz do działalności na rzecz potrzebujących i ubogich. Diakon w związku z tym, że ma pełnię władzy głoszenia Słowa Bożego, może na przykład głosić homilię na Mszy Świętej lub rekolekcje czy nauczać ludzi. W ramach posługi sakramentalnej może chrzcić i tu nie chodzi o moc, którą posiada każdy człowiek, polegającą na tym, że w niebezpieczeństwie śmierci może kogoś ochrzcić, ponieważ diakon może chrzcić tak samo jak ksiądz. Przy odpowiednich pozwoleniach, podobnie jak każdy kapłan, diakon może asystować przy zawieraniu małżeństwa, czyli błogosławić małżonków, którzy zawierają związek sakramentalny. Diakon może także prowadzić pogrzeb oraz udzielać Komunii Świętej, ponieważ również należy do zwyczajnych szafarzy tego sakramentu. Natomiast diakon nie może sprawować Eucharystii, spowiadać ani też udzielać sakramentu namaszczenia chorych. Te trzy sakramenty są wyłączone z posługi diakona.

Diakonat stały jest obecnie dostępny w Kościele dla dwóch rodzajów mężczyzn — dla mężczyzn żonatych lub nieżonatych, którzy zobowiązali się żyć w celibacie. Prawo kościelne przewiduje, że diakonem nieżonatym można zostać od 25 roku życia, natomiast diakonem żyjącym

w małżeństwie od 35 roku życia. Jako górną granicę wieku przyjmowania święceń diakonatu większość episkopatów przyjęła 50-55 rok życia. Do tego czasu można się ubiegać o zostanie diakonem stałym. Co ważne, jeśli diakonem stałym chce zostać żonaty mężczyzna, jego żona musi wyrazić na to pisemną zgodę. A do samego zostania diakonem stałym potrzeba mieć jeszcze ponadto opinię proboszcza oraz należy spełnić szereg warunków dotyczących dojrzałości wewnętrznej, stabilności życia, wiary i pobożności. Każdy diakon stały musi posiadać też odpowiednie wykształcenie, co w praktyce oznacza skończone studia teologiczne lub uczestnictwo w intensywnej formacji teologicznej. Przygotowanie do posługi diakona trwa obecnie w Polsce około trzech lat.

W naszym kraju diakonat stały nie jest rozpowszechnioną posługą z tego prostego powodu, że póki co mamy jeszcze sporo powołań kapłańskich. Zaledwie tylko w kilku polskich diecezjach pojawiła się ta posługa. Łącznie w Polsce jest około trzydziestu diakonów stałych, najwięcej bodajże w diecezji katowickiej. Być może jest to także związane z faktem, że w naszym kraju jesteśmy przyzwyczajeni do klerykalnego obrazu Kościoła, a co za tym idzie trochę niewyobrażalna dla większości katolików jest sytuacja, gdy przy ołtarzu staje sąsiad ubrany w albę i przepasany na ukos stułą, by głosić kazanie, rozdawać Komunię, prowadzić pogrzeb, udzielać ślubu lub chrzcić. Natomiast w krajach, gdzie brakuje księży, a potrzeby posługi sakramentalnej nie maleją, diakonat stały rozwija się dynamicznie. Obecnie na świecie jest około pięćdziesięciu tysięcy diakonów stałych, z czego najwięcej w Ameryce Północnej, a dokładniej w Stanach Zjednoczonych. Wielu diakonów stałych jest także w Europie Zachodniej – na przykład w Niemczech i we Włoszech. Coraz więcej osób podejmujących się tego rodzaju posługi pojawia się także w Ameryce Południowej, gdzie rośnie problem braku powołań kapłańskich.

Niewielu jest ich natomiast w Azji i Afryce. Większość diakonów stałych na świecie to żonaci mężczyźni. Nieżonatych, czyli żyjących w celibacie, jest mniej więcej dziesięć procent całej liczby diakonów, reszta to mężczyźni posiadający rodziny. Diakon stały, podobnie jak ksiądz, również dostaje wynagrodzenie za swoją posługę, czyli po prostu składa mu się ofiarę, która ma utrzymywać jego i jego rodzinę.

Wokół tematu diakonatu stałego często pojawiają się głosy wyrażające obawę, czy przypadkiem rozpowszechnianie się tej posługi nie spowoduje marginalizacji kapłaństwa. Póki co oczywiście nie ma takiego problemu, ponieważ diakonów stałych jest stosunkowo niewielu w porównaniu z liczbą księży. W niektórych krajach jednak to zagrożenie powoli zaczyna być w jakiś sposób zauważalne. Wielu ludzi wieszczy, że w przyszłości zabraknie tych, którzy chcą żyć w celibacie, więc diakonat stały żonatych mężczyzn będzie się coraz bardziej rozwijał ze szkodą dla prezbiteratu. Szczerze jednak trzeba przyznać, że w związku z tym, że diakon nie może sprawować trzech najważniejszych sakramentów — Eucharystii, spowiedzi i namaszczenia chorych — księża zawsze będą potrzebni, a ich posługi nie zastąpi nawet najlepszy diakon.

Wielu ludzi zadaje sobie także pytanie o to, czy w Kościele kiedyś będzie możliwy diakonat kobiet. Na ten moment pojawienie się czegoś takiego nie jest możliwe i raczej w przyszłości także to się nie zmieni. Niektóre źródła historyczne podają, że w starożytności funkcjonowała posługa diakonisy, natomiast badacze na razie nie określili dokładnie, na czym polegała ta funkcja. Wiadomo, że nie pokrywała się ona z zadaniami i posługami diakonów. Co ciekawe, papież Franciszek niedawno powołał komisję teologiczną, której wyznaczył zadanie dogłębnego zbadania roli diakonis w pierwotnym Kościele. Być może po tych badaniach Kościół oficjalnie zajmie stanowisko, czym była dawniej ta instytucja i czy w ogóle

możliwe będzie wprowadzenie takiej posługi dla kobiet. Obecnie nie ma takiego przyzwolenia. Oczywiście wielu snuje przypuszczenia, że zgoda na coś podobnego byłaby prostą drogą do kapłaństwa kobiet, co jest (rzecz jasna) totalną nieprawdą, ponieważ w Kościele nigdy to się nie wydarzy. Teologia katolicka bardzo stanowczo mówi, że kapłaństwo jest zastrzeżone dla mężczyzn, ponieważ Pan Jezus tak tę kwestię ustalił, a co za tym idzie nigdy to postanowienie się nie zmieni.

**Czy dziewczyny mogą być ministrantkami?**

Odpowiedź na to pytanie od niedawna jest bardzo prosta, ponieważ za czasów Jana Pawła II prawo kościelne w tej kwestii zostało znowelizowane. Do końca XX wieku obowiązywały przepisy, które co prawda pozwalały kobietom być lektorami, czyli czytać Pismo Święte i śpiewać psalm na Mszy, a także przynosić dary w procesji podczas ofiarowania, ale zakazywały im zajmowania miejsc w prezbiterium, jak to mogli robić ministranci. Przez dwa tysiąclecia do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku kobiety nie mogły zatem być w Kościele ministrantkami. Ten zwyczaj został zmieniony przez Jana Pawła II. Papież zaznaczył jednak, że ostateczną decyzję w sprawie obecności kobiet czy dziewczynek w służbie ołtarza podejmuje biskup diecezjalny, on zajmuje stanowisko obowiązujące wszystkie parafie danej diecezji. W Polsce w odpowiedzi na głos papieża mniej więcej połowa biskupów dopuściła kobiety do służby ołtarza, w reszcie diecezji pozostali póki co mężczyźni.

Przy okazji tego pytania pozwolę sobie wyrazić swoją opinię. Otóż szczerze przyznam, że nie widzę żadnych przeszkód, by dopuszczać dziewczynki czy kobiety do ołtarza. Natomiast dostrzegam w tym jedno niebezpieczeństwo. Gdybym kiedyś był proboszczem, to oczywiście pozwoliłbym dziewczynkom służyć przy ołtarzu, ale podzieliłbym poszczególne funkcje na te zarezerwowane tylko dla chłopców i te dla

dziewczynek. Dlaczego? Doświadczenie pokazuje, że gdy w jakiejś parafii jest dużo ministrantek, chłopcy zaczynają pomału znikać. Pozornie mogłoby się wydawać, że obecność dziewczynek powinna przyciągać chłopców. Okazuje się jednak, że szczególnie w wieku szkolnym, gdy dziewczynki szybciej dorastają i przez co lepiej potrafią wziąć za coś odpowiedzialność, chłopcy są trochę spychani, a raczej zostają daleko w tyle za nimi w posłudze ołtarza. Dlatego warto by było podzielić funkcje, by uniknąć wzajemnego porównywania się i konkurowania ze sobą ministrantów i ministrantek. Chłopcy mieliby swoje zadania, w których by się rozwijali i zdrowo rywalizowali ze sobą w tym, by stawać się coraz lepszymi, a dziewczyny miałyby swoje przestrzenie działania i rozwoju.

**Czy kobiety podczas modlitwy przed Komunią Świętą powinny mówić:** Panie, nie jestem godna?

Formuła, którą podaje w tym miejscu mszał rzymski jako poprawną brzmi: *Panie, nie jestem godzien*. Nie chodzi jednak o to, że została ona napisana z myślą o męskiej części zgromadzenia liturgicznego. Słowo *godny* odnosi się bowiem zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn, gdyż dotyczy po prostu człowieka. W tym zdaniu, będącym parafrazą słów setnika z Ewangelii (por. Łk 7, 6-7), może się odnaleźć każdy z nas, bo wszyscy jesteśmy ludźmi. Oczywiście, jeśli jakaś kobieta powie „godna”, to nic nie szkodzi. Warto jednak używać wersji oficjalnej i pamiętać, że pojawia się ona nie ze względu na płeć, ale w odniesieniu do człowieczeństwa.

**Czy wychodząc z kościoła po Mszy, powinniśmy robić znak krzyża wodą święconą?**

Nie musimy, ale możemy, ponieważ to bardzo piękna praktyka. Żegnanie się wodą święconą to tak zwane **sakramentalium**, które przypomina nam moment naszego chrztu. Gdy więc wchodzimy do świątyni na Mszę lub

modlitwę i robimy znak krzyża wodą święconą, to przypominamy sobie, że jesteśmy dziećmi Boga i że właśnie idziemy na spotkanie z Tatą. Gdy zaś wychodzimy, to jakby stajemy wobec prawdy, że gdziekolwiek pójdziemy, to nasz Ojciec Niebieski wszędzie z nami pójdzie, ponieważ jesteśmy zanurzeni w Nim przez chrzest. Każde pokropienie ma nam zatem przypominać o tym pierwszym sakramencie, więc warto praktykować robienie znaku krzyża wodą święconą.

**Czy w dni powszednie można przyjmować Komunię Świętą bez uczestniczenia w całej Eucharystii?**

Tak, jest to możliwe, choć zasadniczo warto starać się uczestniczyć w całej Mszy. Jeśli jednak jest to niemożliwe z powodu różnych obowiązków i zobowiązań życiowych, to jak najbardziej można przyjąć Komunię, nie będąc na całości. Jeżeli więc komuś się zdarzy, że wszedł do kościoła na chwilę modlitwy i akurat zaczynał się obrzęd Komunii, może wtedy ją przyjąć. Oczywiście warto, jeśli to tylko możliwe, przygotować się do tego momentu, a po przyjęciu Pana Jezusa trochę się pomodlić, by godnie uczestniczyć w tym sakramencie.

**Czy dopuszczalne jest omijanie lub skracanie niektórych części Mszy Świętej podczas liturgii z udziałem dzieci?**

Nie, absolutnie nie. Osobiście nie przepadam za ideą Mszy Świętych dla dzieci. Oczywiście nie chodzi mi o dostosowanie kazań do możliwości percepcyjnych dzieci, bo na to mam pełną zgodę, ale omijanie czytań, skracanie psalmu lub zamienianie niektórych części Mszy na piosenki lub wręcz infantylne modlitwy to zupełnie co innego, co zdecydowanie nie powinno mieć miejsca. Można organizować nabożeństwa dedykowane dzieciom, które odpowiadają ich wrażliwości, a także w dostosowany sposób opowiadać o prawdach teologicznych podczas katechez. Niestety

w mszale można znaleźć formularze Mszy Świętej dla dzieci, które według mnie są bardzo słabymi tekstami banalizującymi Eucharystię. Trzeba uczyć dzieci Słowa Bożego i rozumienia go — to jasne, ale ograniczanie i pomijanie niektórych części Mszy do niczego dobrego nie prowadzi, a już na pewno nie uczy dzieci świadomego uczestnictwa w tym sakramencie.

**Czym są specjalne błogosławieństwa pojawiające się na końcu Mszy?**
Są to formuły, które stosuje się podczas uroczystości lub na specjalne okazje, na przykład ślub. Ich wyjątkowość polega na tym, że wykonanie nad ludźmi znaku krzyża w imię Trójcy Świętej poprzedzają trzy wezwania skierowane zazwyczaj do poszczególnych Osób Boskich — pierwsze do Ojca, drugie do Syna, a trzecie do Ducha. Specjalne błogosławieństwo to zatem po prostu rozbudowana forma zwykłego błogosławieństwa, wzbogacona o potrójną modlitwę nad ludem.

**Dlaczego niektórzy księża, gdy rozdają Komunię, po słowach:** Ciało Chrystusa **dodają jeszcze wezwanie:** Niech cię broni?
To dopowiedzenie prawdopodobnie wzięło się z modlitwy, którą kapłan wypowiada po cichu przed tym, jak sam przyjmuje Najświętszy Sakrament. Pełny tekst tej modlitwy to: *Ciało Chrystusa niech mnie strzeże na życie wieczne*. Tymi słowami prosi, by Ciało i Krew, które przyjmuje przeprowadziło go na drugą stronę, po śmierci do życia w Bogu. Być może więc ksiądz, rozdając Komunię, przedłuża tę modlitwę i prosi Boga, by Najświętszy Sakrament tak działał również w wiernych, którzy go przyjmują. Oczywiście dodawanie słów: *Niech cię strzeże na życie wieczne, niech cię broni* nie jest konieczne, wystarczy samo *Ciało Chrystusa*, na które my odpowiadamy: *Amen*.

**Czy modlitwa do Michała Archanioła, którą często odmawia się w kościołach przed błogosławieństwem, jest obowiązkowym punktem Mszy?**

Nie, to tylko pewien zwyczaj kultywowany w niektórych parafiach. Ostatnio rzeczywiście zyskuje on na popularności, ponieważ papież Franciszek bardzo zachęca do tego, by na końcu Mszy Świętej tę modlitwę odmawiać. Nie jest to jednak nic obowiązkowego, co zostało wpisane w strukturę Eucharystii, tylko pewna pobożnościowa praktyka.

**Czy podczas błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem powinniśmy się przeżegnać?**

Tak. Jeżeli na końcu Mszy Świętej nie udziela się normalnego błogosławieństwa, ponieważ jest wystawienie Najświętszego Sakramentu z powodu jakiegoś nabożeństwa, na przykład Maryjnego lub do Serca Pana Jezusa, to rzeczywiście, gdy ksiądz zrobi znak krzyża Najświętszym Sakramentem, wierni powinni wykonać znak krzyża na swoim ciele.

**Czy istnieją jakieś restrykcyjne wytyczne dotyczące tego, jak powinno się siedzieć lub stać podczas Mszy?**

Nie, niczego podobnego nie ma w przepisach kościelnych. Niestety jednak nie raz spotkałem się z tym, że różni księża lub katecheci szczegółowo określają, jak powinno się przyjmować poszczególne postawy. Na przykład uczą, że w kościele nie wolno zakładać nogi na nogę, że powinno się siedzieć ze stopami płasko opartymi na ziemi, że nie można przestępować z nogi na nogę, opierać się o ścianę lub krzyżować ramion. To oczywiście jest totalny absurd! Postawa podczas liturgii ma być godna, a więc ograniczona normami obowiązującej kultury, ale czymś zupełnie niepotrzebnym i wręcz głupim jest wyznaczanie szczegółowych wytycznych dotyczących poszczególnych postaw.

**Ile razy ksiądz może przyjąć Komunię w jednym dniu?**

Wszystko zależy od funkcji, w jakiej występuje podczas Mszy. Jeśli uczestniczy w niej jak każdy wierny, czyli jej nie odprawia, to obowiązują go takie same zasady jak każdego świeckiego — w ciągu dnia może przyjąć dwa razy Komunię, przy czym za drugim razem musi uczestniczyć w całej Eucharystii. Jeśli natomiast sprawuje Mszę, to na każdej liturgii może przyjąć Pana Jezusa. Gdyby się tak na przykład zdarzyło, że w parafii w niedzielę jest pięć Mszy, ale w związku z tym, że wikary gdzieś pojechał, proboszcz został sam, to taki ksiądz, mając do odprawienia pięć Mszy, pięć razy może przyjąć Komunię. W tym przypadku chodzi przede wszystkim o sprawowanie sakramentu, a nie o osobiste przyjmowanie Chrystusa. A zatem, ile razy trzeba odprawić Mszę ludziom, tyle razy kapłan może przystąpić do Komunii.

**Czy można odprawić Mszę, posiadając tylko chleb albo tylko wino?**

Nie można. Eucharystię wolno sprawować tylko i wyłącznie na chlebie i winie. Niedopuszczalne jest konsekrowanie samego chleba bez wina, ani też samego wina bez chleba. Zawsze muszą pojawić się te dwa elementy będące materią tego sakramentu. Chleb i wino razem obecne są konieczne do ważności Mszy. Jeśli więc ksiądz znajduje się w takim miejscu, w którym na przykład nie jest dostępne odpowiednie wino, nie może odprawić Eucharystii, posiadając tylko komunikanty. W takiej sytuacji musi pomodlić się jakoś inaczej lub duchowo przyjąć Komunię Świętą, ponieważ nie może sprawować sakramentalnej Mszy.

**Czy ktoś, kto ma postanowienie o niespożywaniu alkoholu, może pić Krew Pańską?**

Prawdą jest, że w konsekrowanym winie znajduje się alkohol, ponieważ, jak już to zostało powiedziane, po przeistoczeniu przypadłości wina

pozostają, zmienia się natomiast jego istota. Ale w trakcie Mszy, spożywając wino, nie przyjmujemy wina, ale Krew Pańską, więc mimo że materialnie jest to alkohol, to taka osoba nie łamie żadnych postanowień wstrzemięźliwości od alkoholu.

**Czy ludzie uzależnieni od alkoholu powinni przyjmować Komunię pod postacią wina?**

To zależy od danej osoby. Są bowiem ludzie, których problem z alkoholem jest tak poważny, że każda (nawet najmniejsza) jego ilość może rozpocząć w nich drogę powrotu do nałogu. Jeżeli ktoś wie, że jest w takiej sytuacji, rzeczywiście powinien poprosić księdza, by nie udzielał mu Komunii pod tą postacią, ponieważ mimo że istotowo jest to Krew Pańska, to pod względem przypadłości jednak alkohol. Znam wielu trzeźwych alkoholików, którzy spożywają Krew Pańską pod postacią wina, ponieważ są już na tyle mocni i silni, że ta niewielka ilość alkoholu w żaden sposób nie burzy ich trzeźwości. W tym przypadku trzeba więc działanie dostosować do konkretnej sytuacji człowieka.

**Jak należy się zachować, gdy Ciało Pańskie upadnie na podłogę?**

Po pierwsze trzeba robić wszystko, co w naszej mocy, by Najświętszy Sakrament nie upadł na ziemię. Po to zostały wymyślone pateny, które trzymają ministranci, by chronić Ciało Pana Jezusa przed takimi sytuacjami. Gdy już jednak niestety zdarzy się taka sytuacja, to koniecznie trzeba zareagować.

W swoim życiu miałem dwie lub trzy takie sytuacje i gdy tylko zauważyłem, że Pan Jezus spadł mi na podłogę, natychmiast Go podniosłem i spożyłem. Można też podnieść konsekrowany komunikant i włożyć go do waskulum, czyli specjalnego naczynka do tego przeznaczonego, szczególnie wtedy, gdy się mocno zabrudził lub wpadł

w piasek. Ja jednak zawsze spożywam Pana Jezusa, bez względu na to, gdzie spadł, ponieważ chcę, by od razu był w moim sercu, by móc Go adorować.

Jeżeli tak się zdarzy, że ksiądz nie zauważy upadku Najświętszego Sakramentu, można zwrócić mu na to uwagę lub po prostu samemu podnieść. Wiem, że powinniśmy z największą czcią traktować Najświętszy Sakrament, ale to nie oznacza myślenia, że tylko ręce kapłańskie są godne dotykania go. Dłonie kapłana nie są więc świętsze od rąk innych ludzi. Jeśli więc ktoś zauważy leżący gdzieś Najświętszy Sakrament, to jak najbardziej ma prawo paść przed nim na kolana, podnieść i zanieść kapłanowi, mówiąc: „Znalazłem, upadł na ziemię, przyniosłem”.

Z tą sytuacją związana jest jeszcze jedna rzecz. Jeśli w jakiejś parafii jest starszy ksiądz, który z powodu wieku lub choroby często upuszcza Pana Jezusa, to taką sytuację trzeba koniecznie zgłosić proboszczowi lub innemu księdzu. Nie będzie to żadne „kablowanie”, ale zwykła, dobra troska o to, by Ciało Chrystusa doznawało należnej czci. Taki starszy ksiądz być może już nie powinien udzielać Komunii, ponieważ jest do tego fizycznie niezdolny, co wcale nie jest upokarzaniem go, oskarżaniem go o coś lub umniejszaniem jako kapłana. Podobnie sprawa ma się z kielichem z Krwią Pańską. Nie można pozwolić na to, by Krew Pańska się rozlała, ponieważ księdzu trzęsą się ze starości ręce.

**Czy dopuszczalne jest, że wierni sami podchodzą do ołtarza i udzielają sobie Komunii?**

Nie, to zupełnie wbrew przepisom liturgicznym. Niestety słyszałem, że na przykład w Europie Zachodniej zdarzają się podobne przypadki, że ksiądz siedzi sobie podczas Komunii, a wierni sami podchodzą do ołtarza, biorą konsekrowany chleb, maczają w winie i spożywają. Takie praktyki są

zupełnie niedopuszczalne. W kwestii przystępowania do Komunii panuje bowiem jedna, nadrzędna zasada: Komunię Świętą się przyjmuje, a nie bierze. Jedyną osobą, która sama może brać Najświętszy Sakrament, jest kapłan sprawujący Eucharystię, ponieważ on podczas celebrowania Mszy stoi w miejscu Chrystusa. Nikt poza nim nie może sam brać sobie Komunii. Nawet księża sprawujący Mszę w koncelebrze otrzymują ją od głównego celebransa, on im podaje Ciało Chrystusa. Komunia jest darem, który się otrzymuje, a nie sięga po niego samemu. Do tej zasady trzeba dostosować wszystkie zwyczaje przyjmowania Najświętszego Sakramentu.

**Czy należy wykonywać znak krzyża, gdy kapłan podnosi Ciało i Krew podczas przeistoczenia?**

Nie, ponieważ w trakcie Mszy wykonujemy tylko dwa znaki krzyża — na początku i podczas końcowego błogosławieństwa. Czasem podczas dużych uroczystości, gdy akt pokuty jest w postaci aspersji (pokropienia wodą) lub gdy po czytaniu Ewangelii następuje błogosławieństwo ewangeliarzem, wtedy wykonujemy dodatkowe znaki krzyża, ale to są szczególne przypadki, rzadko zdarzające się w normalnym rytmie Mszy.

**Ile można spóźnić się na Mszę?**

Przyjęło się, choć to nie jest sztywne prawo liturgiczne, że ktoś nie jest na Mszy, jeśli przegapił Liturgię Słowa, czyli jeśli na Eucharystię przyszedł już po Ewangelii. Mówiąc potocznie, Msza jest „zaliczona”, tylko wtedy, gdy ktoś nie spóźni się na Ewangelię. Eucharystia to bowiem uczta dwóch stołów — Słowa oraz Ciała i Krwi. Jeżeli ktoś przychodzi później i nie zdążył „zjeść” ze stołu Słowa, to zasadniczo nie był na Mszy Świętej. Gdy więc wpadniemy na niedzielną Mszę w trakcie kazania lub na ofiarowaniu, to trzeba iść na drugą Mszę.

Ale uwaga! Jeśli ktoś spóźnił się więcej niż do Ewangelii, a nie ma możliwości iść na drugą Mszę, a w dodatku spóźnienie nie było jego winą, to taki ktoś nie ma grzechu. Chyba że z własnego lenistwa lub nieuporządkowania zlekceważył sprawę, to co innego.

**Czy adoracja lub inne nabożeństwo odprawiane tuż po Mszy mogą zastąpić kazanie?**

Po pierwsze adoracja po zakończonej Mszy to bardzo piękna praktyka. Myślę, że warto zapraszać ludzi, by zostawali chwilę dłużej w kościele i w ciszy uwielbiali Pana Jezusa. Ale! Nawet adoracja absolutnie nie powinna nigdy zastępować jakiejkolwiek części Mszy Świętej. Oczywiście, że kazanie nie jest najważniejszą rzeczą na Eucharystii, ale jest jej istotną częścią, więc w żadnym wypadku nie można go czymś zastępować. W ogóle homilie lub kazania powinny pojawiać się na każdej Mszy Świętej, również w dzień powszedni. Nie jest to obowiązek i konieczność, ale komentarz do Słowa jest ważną i pomocną rzeczą po jego wysłuchaniu, nie tylko w niedzielę.

# ZAKOŃCZENIE

Nie bez powodu mówi się o Eucharystii, że jest źródłem i szczytem życia chrześcijan. Wszystko z niej bowiem wyrasta, a jednocześnie do niej prowadzi i ku niej zmierza. Na koniec tego naszego wspólnego poznawania Mszy Świętej chciałbym zostawić jeszcze jedną podpowiedź dotykającą właśnie tej prawdy, że choć w naszym życiu na Eucharystię powinniśmy nieustannie wracać, to także cały czas z niej jednak wychodzić.

Taki pomysł na przeżywanie tajemnicy Mszy Świętej w codzienności dał nam sam Pan Jezus, który po Ostatniej Wieczerzy wyszedł z Wieczernika, mimo że prawo żydowskie wyraźnie tego zakazywało. Według tradycji świętowanie Paschy powinno odbywać się w murach miasta na pamiątkę wieczerzy, którą naród wybrany spożywał w swoich domach, zanim wyszedł z niewoli egipskiej. Jezus jednak złamał to prawo i w noc paschalną wyszedł z Jerozolimy, z domu, czyli z miejsca, w którym było dobrze i bezpiecznie, w którym byli zebrani bliscy i kochający (lub próbujący kochać) ludzie. Chrystus wiedział bowiem, że prawdziwa Eucharystia to Pascha, która jest wyjściem z domu w ciemność.

Jak podają ewangeliści, Jezus po Ostatniej Wieczerzy przemierzył potok Cedron znajdujący się za granicami Jerozolimy i wszedł do Ogrodu Oliwnego. A ogród to przecież miejsce, z którego wszyscy jako ludzie kiedyś wyszliśmy, to znak Edenu, czyli rzeczywistości, w której żyliśmy w niezwykłej bliskości z Bogiem. I tak jak na początku dziejów Adam w ogrodzie powiedział Bogu „nie”, tak po Ostatniej Wieczerzy Jezus idzie

do ogrodu, by powiedzieć swojemu Ojcu „tak”, by ten ogród uczynić znowu naszym domem, by nie było już podziału na Miasto Święte i nieświętą resztę świata, by zburzyć mur wrogości dzielący ludzkość, by przywrócić nas wszystkich swojemu Ojcu.

Jezus łamie prawo, ponieważ to prawo jest dla Niego za ciasne. Ono nie mieści Jego ogromnej miłości, która chce się rozlać i na nowo dać życie. Dlatego na koniec pierwszej Eucharystii Chrystus mówi do swoich uczniów, a dziś także do nas: *Wstańcie, idźmy stąd!* (J 14,31). I choć Msza Święta rzeczywiście jest pełnią wszystkiego, choć to prawdziwie najświętszy i najlepszy dom świata, to jednak Jezus pokazuje nam, że trzeba z niej wyjść i wziąć udział w Jego przejściu.

Na czym zaś polega Jego Pascha? Na umywaniu uczniom nóg. Chrystus wychodzi z miasta, zdejmując wcześniej swoje szaty i klękając przed swoimi uczniami. Wychodzi nie dlatego, że chce zbudować osobne chrześcijańskie państwo lub stworzyć enklawę, gdzie nikogo nie dotknie żadne zło. On wychodzi z miasta, klękając przed drugim człowiekiem. Jezus zdejmuje szaty i zostaje w samej tunice, co oznacza, że Bóg staje się sługą, wręcz niewolnikiem, który klęka nie tylko przed tymi, którzy Go miłują, ale także przed Judaszem, wiedząc, że za chwilę Go zdradzi. Wychodząc z Eucharystii, trzeba zatem jak Jezus złamać prawo, to znaczy zacząć kochać tak, jak ten świat nie potrafi kochać.

Jezusowy sposób wychodzenia z Mszy doskonale zrozumiała święta Matka Teresa z Kalkuty, która modliła się (a co za tym idzie także żyła na co dzień) słowami mocno przekraczającymi nasze granice kochania:

*Panie, gdy jestem głodna, przyślij mi kogoś, kto potrzebuje pożywienia;*
*gdy chce mi się pić, przyślij mi kogoś spragnionego;*

*gdy jest mi zimno, przyślij mi kogoś, kogo będę mogła ogrzać;*

*gdy odczuwam przykrość, ofiaruj mi kogoś do pocieszania;*

*gdy mój krzyż staje się za ciężki, pozwól mi dzielić krzyż innej osoby;*

*gdy jestem biedna, skieruj mnie do kogoś, kto jest w potrzebie;*

*gdy nie mam czasu, daj mi kogoś, kogo mogłabym wesprzeć przez chwilę;*

*gdy jestem upokorzona, spraw, bym miała kogoś, kogo mogłabym pochwalić;*

*gdy jestem zniechęcona, przyślij mi kogoś, komu mogłabym dodać otuchy;*

*gdy potrzebuję zrozumienia u innych, daj mi kogoś, kto czeka na moją wyrozumiałość;*

*gdy potrzebuję, aby ktoś zajął się mną, przyślij mi kogoś, kim ja mogłabym się zająć;*

*gdy myślę o sobie samej, to błagam Cię, zwróć moją uwagę na kogoś innego.*

To jest miłość za duża i za trudna. Miłość, która nas absolutnie przerasta, ale do której posyła nas Bóg tym, co robi podczas każdej Eucharystii. Wychodząc z Mszy, mamy bowiem do wyboru dwie drogi — możemy z niej wyjść jak Judasz, który zobaczywszy uniżenie Syna Bożego, wzgardził Nim, lub możemy wyjść jak uczniowie, którzy poszli za swoim Panem, może nieudolnie, bo potem Go zdradzili, ale poszli.

Słowo *pesach* w języku hebrajskim posiada dwa znaczenia: „iść skacząc” lub „iść kulejąc”. Bardzo możliwe, że niektórzy z nas wychodzą z Eucharystii, skacząc. Większość jednak z pewnością wychodzi, kulejąc, ledwo ciągnąc, czasem wlokąc się na kolanach. Mimo to jednak warto iść,

bo jak mówi Ewangelia, Jezus bardzo pragnie spożywać tę Paschę razem z nami (por. Łk 22,15), pragnie zaprosić nas do kochania, które jest za duże, którego ten świat nie rozumie i nie chce przyjąć.

Chrystus na każdej Mszy powołuje nas, by wyjść do świata i kochać, jak On to robi, oddając się cały w swoim Ciele i swojej Krwi, przekraczając wszelkie zasady i prawa, stając się niewolnikiem i sługą tych, których kocha. Jak zawsze pozostaje tylko jedno pytanie: czy uwierzymy Mu i odpowiemy na Jego gorące pragnienie spożywania tej Paschy razem z nami?

*Adam Szustak OP*

**Fundacja MALAK**

Jesteśmy organizacją nonprofit, której pomysłodawcą był ojciec Adam Szustak OP. Od 2012 roku organizujemy rekolekcje, wieczory uwielbienia, konferencje, spotkania i akcje charytatywne. Naszym patronem jest święty Jacek, a dominikański charyzmat głoszenia „wszystkim, wszędzie i na wszelkie sposoby” jest nam bardzo bliski. Od lat współpracujemy z ojcem Adamem Szustakiem OP i ojcem Tomaszem Nowakiem OP, którzy sprawują opiekę duchową nad naszymi wydarzeniami. Prowadzimy wydawnictwo i sklep, z których całkowity dochód przekazujemy na nasz główny cel – działalność dobroczynną i ewangelizacyjną.

**Chcesz razem z nami**
**TWORZYĆ, EWANGELIZOWAĆ, INSPIROWAĆ?**

Przekaż nam jednorazową darowiznę.
Wspieraj nas regularnie, dołączając do Bliskich Malaka.
Zrób zakupy w naszym sklepie internetowym www.sklepmalak.pl.
Pomódl się za nas i ludzi, którym pomagamy.

Dziękujemy za każde wsparcie!

Nasz nr konta: 13 2490 0005 0000 4530 3902 3336

Fundacja MALAK
pl. Na Stawach 1/1, 30107 Kraków
tel. 796 002 603

MALAK
fundacja

# Spis treści:


Okładka

Karta tytułowa

Wstęp

Część pierwsza Trochę teologii

Część druga Praktyka

- Rozdział 1

Rozdział 2

- Szaty liturgiczne
- Jak się ubrać do kościoła?
- Rozdział 3

OBRZĘDY WSTĘPNE

- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10

LITURGIA SŁOWA

- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14

LITURGIA EUCHARYSTYCZNA

- Rozdział 15

PRZYGOTOWANIE DARÓW

Rozdział 16
Rozdział 17
MODLITWA EUCHARYSTYCZNA
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
LITURGIA UCZTY OFIARNEJ
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
OBRZĘDY ROZESŁANIA
Rozdział 32
Rozdział 33
Zakończenie
Karta redakcyjna

Imprimi potest:
Prowincjał Polskiej Prowincji Dominikanów
o. Paweł Kozacki OP
Warszawa, 13 marca 2019 r.
Reg. Prow. 146/19

© Copyright by Adam Szustak
© Copyright by for this edition by Fundacja MALAK – Kraków 2019

Redakcja:
Zuzanna Marek

Korekta:
Wioleta Zielińska

Projekt okładki:
Aleksandra NowickaWszołek
i Miłosz Wszołek /Bless code/
www.blesscode.pl/

ISBN: 978-83-949146-6-0

Wydawca i dystrybutor:
Fundacja MALAK
www.fundacjamalak.pl
tel: +48 731 707 899
sklep@fundacjamalak.pl

Sklep internetowy:
www.sklepmalak.pl

www.facebook.com/FundacjaMalak

Strony Autora:

www.langustanapalmie.pl

www.facebook.com/langustanapalmie

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek